

PODGLĄD

Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Rok V • Nr 4 (23)

2020

J. Andrzejczak
A. Bańkowska
A. Bernat
J. Binkowski
T. Bochwic
T. Bóldak-
-Janowska
I. Christensen
A. Dorobek
P. Dunin-
-Wąsowicz
J. Durski
B. Dylan
K. Erős
E. Eysymontt
S. Gibaszek
L. Glück
A.M. Grabowski
Y. Hassan
J. Jagiełło
M. Jaksic
J. Katz
D. Koman
A. Książek
G. Kurylewicz
K. Lipowski
A. Lizakowski
W. Mandryka-
-Bukowiński

J. Marciniak
N. Matwiejewa
M. Milewska
P. Müldner-Nieckowski
A. Nasiłowska
M. Olbromski
W. Oramus
A. Patey-Grabowska
M.J. Piasecka
M.K. Piekarska
M. Pinkwart
K. Rodowska
K. Rudziński
K.S. Schreyer
J. Sendlak
A. Słomianowski
A. Sobolewska
A. Sobol-
-Jurczykowski
B. Sochańska
A. Stabro
M. Strękowska-
-Zaremba
K. Sutarski
A. Syska
D. Ślepówrońska
J. Śleszyński
K. Świegocki
G. Walczak



Agnieszka Osiecka 1996



**Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa**

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753

Rok IV Nr 4 (23) 2020

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>

e-mail: redakcja@podglad.com.pl

00-079 Warszawa

ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89

Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna

Małgorzata Karolina Piekarska

Prezes OW SPP

Zastępca redaktora naczelnego

Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodźńska

Kolegium

Krzysztof Beśka, Krzysztof Bielecki,

Michał Dąbrowski, Manuła Kalicka,

Małgorzata Strękowska-Zaremba,

Zbigniew Zbikowski

Korekta

Krzysztof Bielecki,

Małgorzata Strękowska-Zaremba,

Zbigniew Zbikowski

Typografia i skład komputerowy

Piotr Müldner-Nieckowski

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska

Kwiecień w grudniu,

czyli 12 tomików! 3

Anna Nasiłowska

O Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich . . 4

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Andrzej Sobol-Jurczykowski 8

DRAMAT

Anna Bernat

Niewidomi. 10

Tamara Bołdak-Janowska

Aisza, Można chodzić 14, 17

ESEJ – DIARIUSZ

Adam Lizakowski

Bob Dylan 26

Andrzej Słomianowski

Obrona słowa i konserwatyzm... . . . 38

Anna Sobolewska

Z dziennika czasu zarazy... 43

KRYTYKA

Jerzy Binkowski

Modlą się o świat 58

Pomiędzy dłonią a niebem 61

Sylvia Gibaszek

Saturator z awangardą. 64

POEZJA

Janusz Andrzejczak

Serce dzwony, We mnie, Ileż jeszcze . . 67

Jerzy Binkowski

Piąta po południu i inne wiersze . . . 69

Ewa Eysymontt

Wiersze 71

Sylvia Gibaszek

Przypowieść antydemokratyczna

i inne wiersze 76

Andrzej Książek

Epoka i inne wiersze 79

Gabriela Kurylewicz

Nie ma nas i inne wiersze 84

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Fraszki 86

Jerzy Marciniak

moja stacyjka, Sny 88

Piotr Müldner-Nieckowski	
Inny czas i inne wiersze	92
Alicja Patey-Grabowska	
Ważka i kroka, To dłonie, Kobieta pisze wiersz, Typy, Wir	96
Maria Jolanta Piasecka	
Dom, Białe na białym, Nasiona śmierci, Słowo, Pełnia	101
Maciej Pinkwart	
Po Trojenie	103
Krystyna Rodowska	
Lekcja, Tożsamość, Nisze, Napięcie	106
Krzysztof Rudziński	
Tryptyk katyński	109
Krzysztof Saturnin Schreyer	
Szczyt ewolucji i inne wiersze	111
Dagna Ślepówrońska	
Wizyta i inne wiersze	115
Jerzy Śleszyński	
Wiosna 2020, Życie	119
Andrzej Słomianowski	
Nie jest źle być Polakiem i inne ...	120
Konrad Sutarski	
Zaczęło się od ciszy	126
Kazimierz Świągocki	
Do zmarłego przyjaciela i inne ...	128
Agnieszka Syska	
stacja między rzec	131

PROZA

Janusz Andrzejczak	
Próchno	135
Paweł Dunin-Wąsowicz	
Leksykon detektywów warszawskich	137
Jacek Durski	
Proza	140
Andrzej Marek Grabowski	
Jonatan i Biały Kruk	142
Joanna Jagiełło	
To już nie ma znaczenia	146
Wiesław Mandryka-Bukowiński	
Chiny – skok nad brzeg wielkiej rzeki.	151

Piotr Müldner-Nieckowski	
Zepsuta powieść	168
Wiesława Oramus	
Duża i mała	172
Alicja Patey-Grabowska	
Masło – chleb	176
Krzysztof Rudziński	
Letnie, wieczorne pociągi.	178
Andrzej Słomianowski	
Tędy do nieba	188
Kazimierz Świągocki	
O ciszy	193
Grzegorz Walczak	
Moja odległa prowincja.	195

PRZEKŁADY

Adam Lizakowski	
Louise Glück (Nobel 2020).	200
Bogusława Sochańska	
Janina Katz, Yahya Hassan. ...	208, 213
Inger Christensen	216
Konrad Sutarski	
Kinga Erős.	221
Kazimierz Świągocki	
Nowiella Matwiejewa	224
Agnieszka Syska	
Psalm y Dawida i Salomona	228
Grzegorz Walczak	
Miodrag Jakić	235

KOLEKCJA LITERACKA

1. Teresa Bochwic.	242
2. Janusz Andrzejczak.	250
3. Anna Bańkowska.	256
4. Tamara Bołdak-Janowska ...	264
5. Monika Milewska	270
6. Mariusz Olbromski	278
7. Agnieszka Stabro	284
8. Dorota Koman	290
9. Anna Bernat	296
10. Andrzej Dorobek	302
11. Joanna Sendłak.	310
12. Krzysztof Lipowski	320

Na okładce: Agnieszka Osiecka, fot. Piotr Müldner-Nieckowski 1996.

Małgorzata Karolina Piekarska

Kwiecień w grudniu, czyli 12 tomików!

Jest taka bajka o dwunastu miesiącach. Ma wiele wersji, choć najpopularniejsza jest ta Janiny Porazińskiej, w której biedna dziewczyna idzie zimą w las po fiołki i poziomki, bo tak jej każe zła macocha. Na szczęście w lesie spotyka dwunastu braci, czyli dwanaście miesięcy. Gdy kwiecień siada na miejscu grudnia i dotyka ziemi laską, natychmiast pojawiają się fiołki... Myślałam o tej bajce całą jesień, bo... jako Oddział Stowarzyszenia zostaliśmy wydawcą dwunastu tomików książek, które w całości tworzą „Kolekcję Literacką”.

Każda z tych książek to jak inny miesiąc, choć przecież nie ukazywały się od stycznia do grudnia. Jednak tak jak miesiące zmieniają się w baśni miejscami, tak i nasze tomiki można czytać w innej kolejności, niż ta nadawana w ramach „Kolekcji literackiej”. A jest co czytać.

Znalazło się tu dziewięć tomików poetyckich, tom opowiadań, tom miniatur prozatorskich oraz powieść biograficzna. W tym, by wszystko poszło sprawnie, pomogło doświadczenie zebrane podczas pracy nad naszym Kwartalnikiem Literackim PODGLĄD. Dlatego nad tomikami pracowali twórcy z redakcji i współpracownicy PODGLĄDU, a także inni związani z naszym stowarzyszeniem. Ilustracje czy recenzje wewnętrzne to także dzieła członków naszego stowarzyszenia. Chodziło o to, by „Kolekcja” była spójną serią, a praca przy niej działalnością zbiorową środowiska, które dzięki temu przedsięwzięciu miało szansę się mocniej zintegrować.

W tym numerze mogą czytelnicy zajrzeć do wnętrza każdego z dwunastu tomów wchodzących w skład „Kolekcji Literackiej” i ocenić samemu, czy są to publikacje wartościowe. Zdaniem licznych znających się na rzeczy czytelników i moim – tak. Ich wydanie dla wielu autorów było wydarzeniem jak z bajki. Jakby w zimie wydawniczej, w której nic nie jest publikowane, brat kwiecień siadł na miejscu grudnia i machnięciem laski sprawił, że trzymana w szufladzie książka zakwitła wreszcie drukiem.

Zapraszam do lektury nie tylko numeru PODGLĄDU, ale i tomików. Fragmenty wielu z nich były publikowane już na naszych łamach. Teraz można zobaczyć, jak wyglądają w całości.

Małgorzata Karolina Piekarska

Anna Nasiłowska

O Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich na koniec 2020 roku

Prawie wszyscy marzyliśmy, by zamknąć już 2020 rok. Taka piękna data, parzysta, łatwa do zapamiętania, a taki niedobry czas! Pandemia, ograniczenie podróży i spotkań, czasem wręcz zamknięcie w domach, choroba, śmierć. Tymczasowe szpitale, brak możliwości normalnego leczenia się, niepewność. Ograniczenia dotknęły całą sferę kultury: odwołane przedstawienia teatralne i koncerty, zamknięte biblioteki, można zapomnieć o spotkaniach autorskich innych niż online. A co z rynkiem książki? Czy przetrwają księgarnie? Nikt nie wie. Wszystkie sprawy do załatwienia przedłużają się, wiele trzeba było przełożyć na bliżej nieokreśloną przyszłość. Zwykle w obliczu niebezpieczeństw ludzie wzajemnie się wspierają, ale teraz tego się nie czuje.

Dla Stowarzyszenia Pisarzy Polskich ten rok był szczególnie trudny. W listopadzie 2019, nieco później, niżby należało, obchodziliśmy trzydziestolecie naszej organizacji. W wypowiedzi na potrzeby filmu dokumentalnego *Niełatwo być pisarzem* (zrealizowanego przez Ewę Nawój przy wsparciu Jana Strękowskiego, dostępnego na YouTube) mówiłam o idei samoorganizacji różnych środowisk, związanej z Sierpniem 1980 i kultywowanej w ruchu niezależnym w latach 80. Pomysł ten polegał na tym, że pisarze stworzą niezależną organizację, która będzie miała wpływ na wiele spraw dotyczących polityki kulturalnej, zadba więc o nasze interesy, które najogólniej mówiąc, pokrywają się przecież z interesem ogólnym, bo chodzi nam o rozwój literatury, jej różnorodność, wolność dyskusji i wysoki poziom artystyczny. Takie to wydawało się proste... Z tych pierwszych lat pamiętam na przykład wypowiedź Marka Nowakowskiego, który na I Zjeździe SPP – choć nie najmłodszy – obwieścił, że „wszyscy jesteśmy debiutantami”. Wydawało się, że otwiera się jakiś nowy, wspaniały rozdział, znikną wcześniejsze ograniczenia, nie będzie cenzury, systemu ręcznego sterowania kulturą i będzie dobrze. Zniknie też natrętna polityzacja literatury, która doprowadzała do tego, że zamiast istotnych osiągnięć liczyły się gesty i życiorysy.

Po trzydziestu latach doświadczeń wiedzieliśmy już, że byliśmy na początku transformacji bardzo naiwni i że będzie trudno, ale że tak trudno jak w 2020 roku – nikt się nie spodziewał. Myślę tu nie tylko o głośnym kryzysie, który wybuchł w sierpniu 2020, gdy Instytut Literatury przyznał Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich środki na wydrukowanie 12 tomików dzięki środkom z „tarczy antykryzysowej”. Część środowiska, głównie pisarze o znanych nazwiskach, uznała, że tych pieniędzy nie należało brać. W ten sposób wskrzeszone zostały obyczaje z czasów stanu wojennego: chodziło o gest dumnej odmowy, rzucony wobec rządowej instytucji, jaką jest niedawno powołany Instytut Literatury, kolejna agenda Ministerstwa – wtedy Kultury i Dziedzictwa Narodowego, teraz Kultury i Sportu. W latach 80. XX w. istotne było jednakże to, CO się pisze, przypomnę tylko, że kilka znakomitych utworów o stanie wojennym ukazało się w państwowych wydawnictwach, jak na przykład „Kabaret Kici Koci” Białoszewskiego i „Wojna nerwów” Artura Międzyrzeckiego. Nie chcę omawiać szczegółowo tego konfliktu, który był po prostu objawem ogromnych napięć politycznych, których efekty widzieliśmy na ulicach w listopadzie i grudniu.

W tle była inna sprawa, o wiele mniej głośna. Jak wiadomo, siedzibą Zarządu Głównego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich jest Dom Literatury w Warszawie, w którym swoje biura mają również Związek Literatów Polskich oraz Polski PEN Club. Działa tu też biblioteka, obecnie pod opieką Biblioteki Narodowej w Warszawie. Całością administruje utworzona w latach 90. Fundacja Domu Literatury i Domów Pracy Twórczej. Dom ten nie jest jednak własnością ani Fundacji, ani stowarzyszeń; ma bardzo skomplikowaną sytuację prawną. Jest całością stworzoną w trakcie odbudowy tego fragmentu Warszawy, gdy jeszcze przed podniesieniem z ruin Starego Miasta postanowiono przebiec Trasę W-Z. Kiedyś były tu kamienica Johna i kamienica Prażmowskich, obie, niegdyś odrębne, w trakcie odbudowy połączono. Z zewnątrz widzimy trzy fasady, narożną kamienicę Johna, tę od Placu Zamkowego, a od Krakowskiego Przedmieścia – kamienicę Prażmowskich, z przytuloną do niej mniejszą kamieniczką, która należała do tych samych właścicieli.

O te nieruchomości wystąpili spadkobiercy w trakcie reprivatyzacji. Sąd orzekł w sprawie kamienicy Johna, że nie ma możliwości jej zwrotu; zwrot oznaczałby też prywatyzację słynnych schodów ruchomych, którymi wjeżdża się z trasy W-Z na Plac Zamkowy. To też są historyczne schody, tyle że z późnych lat 40. XX wieku, ich dekoracja jest kopią moskiewskiego metra. Poza tym wewnątrz Dom Literatury ma wspólną klatkę schodową

dla obu nieruchomości, aby dostać się do sali w kamienicy Johna, trzeba przejść po schodach w kamienicy Prażmowskich. W sprawie tej ostatniej – wciąż nie został zakończony proces reprivatyzacyjny, którego nie jesteśmy stroną. Że reprivatyzacja może spowodować groźne skutki – przekonaliśmy się w sprawie Obór, gdzie przez długie lata funkcjonował Dom Pracy Twórczej. Ostatecznie zwrócono pałac rodzinie Potulickich, a spadkobiercy go sprzedali. Zanim jednak to nastąpiło, prawnicy reprezentujący właścicieli usiłowali obciążyć literatów karami za bezumowne użytkowanie do czasu przejścia nieruchomości.

Dla nas, niebędących właścicielami, niepewny status prawny Domu Literatury oznacza, że co trzy lata powraca sprawa odnowienia dzierżawy z dzielnicą Śródmieście, która też nie jest właścicielem, ale na której terenie ta nieruchomość stoi. Trzy lata – to mało. Co trzy lata wraca stan niepewności. Jakie będą warunki? Już kilka kryzysów Fundacja przeszła, tym razem jednak rzecz była dużo trudniejsza. Poprzednia umowa dzierżawy kończyła się w grudniu 2019... początkowe podwyżki były bardzo wysokie... przeciągające się negocjacje zastopowała pandemia... pisaliśmy listy, nie otrzymując odpowiedzi... wszelkie terminy zostały przekroczone... niepewność rosła... pojawił się temat kar za bezumowne użytkowanie... Od wiosny 2020 roku, jako Prezeska Zarządu Głównego SPP, zastanawiałam się nie tylko nad sprawą kryzysu wokół pomocy z „tarczy antykryzysowej”, ale także i nad tym, czy moje stowarzyszenie nie stanie się wkrótce bezdomne. Jest samorządne i niezależne, wiemy już, że to oznacza: radźcie sobie sami.

Dopiero pod koniec listopada 2020, dzięki interwencji Biura Kultury Miasta Stołecznego Warszawy, nowa umowa dzielnicy z Fundacją została podpisana. Kończy się w 2022 (który nadejdzie szybciej, niż się spodziewamy); jej warunki, trudne do spełnienia w normalnym czasie, gdy pełną parą funkcjonowała kawiarnia Literatka, teraz – trafiają na czas w ogóle nieprzewidywalny. Ile potrwa zamknięcie? Czy gastronomia na Krakowskim Przedmieściu się utrzyma? Czy i kiedy turyści wrócą do Warszawy? Nikt nie wie.

W tym wszystkim kłopot, że w czerwcu 2020 upłynęła moja trzyletnia kadencja, wydaje się błahy. Przedyskutowaliśmy sprawę w gronie Zarządu Głównego, czekamy na możliwość odbycia normalnego zjazdu, z normalną dyskusją. Da się zrobić wybory online, ale byłby to jedynie substytut. W środowisku pisarzy z SPP narasta żal. Jest wiele powodów, ostatnio – bardzo niskie wypłaty z tytułu wypożyczeń bibliotecznych. Ponadto

– niezrozumienie sytuacji autorów książek „niszowych”, niskonakładowych, a także twórców, których książki zostały wydane dzięki dotacjom „z tarczy antykryzysowej”. Komentarze są różne, ale wyczuwa się ogromny żal, że nasi koledzy o sławnych nazwiskach nie rozumieją problemów poetów, którzy często muszą dokładać własne pieniądze do druku tomików. Bardzo jesteśmy też sfrustrowani z powodu niepewnej sytuacji Domu Literatury. W trakcie negocjacji w NASZEJ Bibliotece, która jest nasza jedynie ze względu na żywe uczucia, sentyment oraz poczucie przynależności do środowiska, odnalazły się dokumenty, świadczące o zaangażowaniu pisarzy w odbudowę Domu Literatury po wojnie. Zarządzały panie Janina Broniewska i Ewa Szelburg-Zarembina, na odbudowę poszły pieniądze z „funduszu martwej ręki”, resztę – dołożyło Ministerstwo Kultury i Sztuki, w którym też nie brakowało literatów. I w sprawie odbudowy Warszawy nie było ostrego podziału: my – oni, który pochodzi zresztą z późniejszych lat PRL. We wspomnieniach Putramenta jest opisany moment jego pierwszej wizyty w Domu Literatury. Przyjechał z Paryża, miał wcześniejsze oczekiwania według wzorów z Moskwy i Kijowa, uważał więc, że należy się PAŁAC. Ale popatrzył z okna na Plac Zamkowy, na rozciągające się ruiny Starego Miasta i machnął ręką, niech będzie. Teraz pisarze mówią: to nie może być tak, że my odbudowaliśmy, czy też odbudowano dla nas, ale teraz możemy stracić NASZE miejsce. To niesprawiedliwe! A pani prawniczka ostrzega: argumenty „słusznościowe” są słabe, liczą się akty notarialne, wpisy do hipoteki, postanowienia sądów.

Dla higieny umysłowej, żeby nie stracić w trudnych czasach busoli, co jakiś czas należy sobie odpowiadać na zasadnicze pytania: czy państwo polskie powinno wspomagać pewne dziedziny twórczości? Tak, nie, w jakim zakresie...? Jaką rolę powinny pełnić organizacje twórców? Jakimi środkami powinny zarządzać?

Oby rok 2021 przyniósł nam więcej spokoju!

Anna Nasiłowska
Prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Pierwodruk w: Pisarze.pl e-Dwutygodnik Literacko-Artystyczny

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Andrzej Sobol-Jurczykowski 1941–2020

Wspomnienie

Andrzej Sobol-Jurczykowski był wybitnym tłumaczem literatury hiszpańskojęzycznej na język polski (studiował filologię romańską na Uniwersytecie Warszawskim i historię sztuki na Universidad Autónoma w Barcelonie), cenionym w Polsce i na świecie znawcą dorobku Jorge Luisa Borgeasa oraz innych pisarzy hiszpańskojęzycznych. Jego translatorski dorobek obejmuje ponad czterdzieści książek i ponad sto krótszych utworów prozatorskich. Tłumaczył także z języka angielskiego, włoskiego, francuskiego oraz katalońskiego. Znał wiele języków obcych, poza wymienionymi, np. portugalski czy łaćniński. Przekładał również z języka polskiego na język hiszpański, np. wiersze m.in. polskich noblistów. Myszę tu o *Antologii poezji polskiej XX w.* wydanej na Kubie.

Debiutował jako tłumacz krótkich opowiadań w wieku piętnastu – szesnastu lat. Parał się wieloma zawodami, był m.in. pilotem wycieczek, a mieszkając w Hiszpanii, recepcjonistą, dyrektorem hotelu czy handlowcem (sprowadzał silniki elektryczne z Polski do Hiszpanii w firmie eksportowo-importowej). W 1975 roku otrzymał Nagrodę Pegaza za przekłady poetyckie, a w 1999 Nagrodę Polskiego PEN Clubu za całokształt pracy przekładowej.

Pierwszy polski przekład Borgeasa autorstwa Sobola-Jurczykowskiego ukazał się w 1966 roku. Potem były kolejne wybitne przekłady opatrzone licznymi przypisami tłumacza, objaśniającymi polskiemu czytelnikowi świat stworzony przez Argentyńczyka. Sobol-Jurczykowski w swojej pracy translatorskiej był niezwykle uważny i drobiazgowy, roztrząsał detale, nad jednym zdaniem zastanawiał się niekiedy po kilka dni albo i tygodni. Przetłumaczył niemal wszystkie tomy opowiadań, wierszy oraz esejów Borgeasa, opracował również *Wybór poezji* zawierający własne przekłady przeszło trzystu wierszy tego argentyńskiego pisarza. Jest także autorem *Przewodnika po świecie literackim J.L. Borgeasa* – niepowtarzalnej, jedynej takiej na świecie encyklopedii, obejmującej całą twórczość Argentyńczyka, objaśniającej ją w ponad czterech tysiącach haseł. Pracował nad nią w ostatnich latach życia i wiem, że szukał wydawcy, niestety nie znalazł.

Andrzeja Sobola-Jurczykowskiego poznałam w 2006 roku, kiedy to odwiedziłam go wraz z Katarzyną Boruń-Jagodzińską. Mieszkał wówczas przy Nowogrodzkiej 4. Kamienicę odzyskał prywatny właściciel, podniósł stawki czynszu i systematycznie przeprowadzał eksmisje lokatorów na obrzeża miasta. Próbowaliśmy pomóc w zmaganiach z właścicielem i staraniach o mieszkanie komunalne położone nieodległe od centrum miasta (chodziło o bliskość przychodni zdrowia, w których się leczył). Udar mózgu, który przeszedł, właściwie przykuł go do krzesła. Z trudem poruszał się po mieszkaniu. Od tego czasu odwiedzałyśmy pana Andrzeja corocznie przed świętami Bożego Narodzenia, już przy ulicy Olgi Boznańskiej (gdzie zamieszkał dzięki uprzejmości przyjaciół). W ubiegłym roku – ze względu na poważną chorobę K. Boruń-Jagodzińskiej – wizytowałam go sama. Nie sądziłam, że będzie to nasze ostatnie spotkanie.

Był niezwykle szarmancki, uprzejmy, uważny. Zawsze częstował nas słodyczami, których – jak twierdził – ma w nadmiarze, ponieważ dostaje je w prezencie od zagranicznych przyjaciół. Mimo tego rodzaju licznych dowodów pamięci był bardzo samotny. Właściwie miał tylko pracę, którą uparcie kontynuował mimo braku sił, pięknie kwitnące storczyki na oknach oraz ukochanego kota.

Sobol-Jurczykowski mówił, że jego życie wisi na włosku i że żyje na kredyt. Zawsze żegnał się z nami tak, jakby to miał być ostatni raz, ale my byłyśmy pewne, że za rok znowu się zobaczymy.

W rozmowie z Maciejem Libichem zamieszczonej na stronie dwutygodnik.com/artukul/9211-trzy-tygodnie-naprawde.html (dostęp 25.11.2020) powiedział o swoim ogromnym papierowym archiwum:

I wie pan, co jest najśmieszniejsze? Kilka godzin po tym, jak umrę, wszystko wyląduje na śmietniku. Bo po co komu taka makulatura? Ale to nieważne. Jestem z tym pogodzony.

Andrzej Sobol-Jurczykowski zmarł 2 listopada 2020 roku.

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Anna Bernat

Niewidomi

sluchowisko radiowe

występują: Grażyna Barszczewska, Franciszek Pieczka

Niewidomy Jestem niewidomy od urodzenia
zanim zauważyłem świt
moje niebo spaliło się w ciemność
i tak zasnąłem nad własnym życiem
wsparty o drzewo

Zadomowiłem się tutaj
jak wiatr w polu
jak wszyscy – na chwilę
kiedy będę odchodził pomyślę
że nigdy mnie nie było

Widząca Mówią, że mi w oczach do twarzy
i nawet w nocy dobrze widzę
odmawiam kwiaty jak litanie
słońce dojrzewa w moim winie

W polach już padły pierwsze kłosa
chmury jak łodzie z wiatru chore

Po każdym słowie tracę wiosnę –

Dłonie coraz lżejsze do ziemi
nogi jak z piór
fałszywy śpiew opuszcza gardło

gdybyś mnie poznał
z nieznanej mi strony
mógłbyś przestraszyć umarłą

- Niewidomy** Kładę dłonie na tarczy zegara
 czas drży na gałązkach wskazówek
 – długo czekałem aż Bóg mnie przeprosi
 z mężczyzny stałem się dzieckiem
- nikt nie otworzy dla mnie konwalii
 na wyspie mieszkam z powietrza
 potrafię tylko to co milczę
 jestem zepsutą rzeczą
- Widząca** Wzrok odbiera wrażliwość na niebo
 trudno ciągle się modlić do gwiazd
 oczy moje utkwione w ziemię
 jakby chciały przeniknąć w głąb
 od zamysłu zranione cieniem
 moje oczy wyjęte z gniazd
 małe ptaki co umierają w twarzy
- Niewidomy** Jeśli pisali wiersze niewidomi poeci
 jeśli pilnowali bram niewidomi dozorczy
 jeśli niewidomi krawcy szyli spodnie
 jeśli ślepną widzący
 ja stoję między nimi
 zrównany w prawach i obowiązkach
 z głową w błękanie
- Widząca** A ja do zmierzchu
 w czym jestem od ciebie bogatsza?
 przez miasto dźwigam oczy
 ciężkie od dymu –
 umiem rozpoznawać zakręty
 lecz nie dojrzałam bezdroży
 głowa od świata zamknięta w ból
- Niewidomy** Czasami kiedy drażnią mnie
 krzyki ptaków
 kiedy domyślam się

że kwitną sady
ogromne południe liże twarz
wtedy pragnienia ćwiczą mnie do krwi
uciekam w cztery ściany
nieruchomo siadam w fotelu

widzę płonące obłoki
wśród miliona odcieni czerni
przechodzą obrazy
światło płynie z każdego dźwięku
z każdego nerwu orze się znaczenie
poddaję się myślom wyjętym ze słońca
i słyszę jak gwiazdy dźwięczą
w ziemię trafiają strzały z nieba
anioł zwiastuje taniec wojny –

Jestem by mówić przeciwko sobie
jestem by wierzyć, że nie ma Boga

Cierniem ci z oczu bielmo zdejmuję
już wiem co myślą ludzie
i co schylony w noc przeczuwam

Widząca

Na jednej dłoni rodzi się człowiek
na drugiej pełźnie czas

Nie każdej nocy spowiadam głowę
oddechem sprawdzam dzień
myślę że widzę
a przecież ślepnę...

Tobie za oczy jasnowidzenie
z trzeciego oka oglądasz świat
kiedyś katedry zmienisz w motyle
a mnie zaklęcia brak

Niewidomy Twarz moja podobna stopom bez muzyki
 uśmiecham się do deszczu
 a przecież ludzie dostali oczy
 jako pociechę za śmiertelność

 Z mojego okna widzę wiatr
 coś mi usiadło na dłoni
 powiedz mi co?

Widząca To motyl

Niewidomy Jest szorstki

Widząca Nie, kolorowy

Niewidomy Z mojego okna widzę czas

Widząca Z mojego okna puste niebo

Niewidomy Dzień dobry

Widząca Noc dobra

Anna Bernat

Tamara Bołdak-Janowska

Aisza

Minispektakl Nr 6 – Tola i Tamary BeJot

BeJot to: Ona.

Tolo to: On.

BeJot gra dwie osoby, rozmówczynię Tola i Aiszę.

Na scenę „wpływa” oberwana dziewczyna, w długim wschodnim stroju, z nieobecnym wzrokiem. Jakby niczego nie widziała z zewnętrznego świata, przez chwilę udaje, że sypie kwiaty, jak robią to dziewczynki w czasie katolickiej procesji, albo może zachowywać się, jak się zachowują ludzie w czasie prawosławnej Panichidy – stoi nieruchomo, zasłuchana w śpiew liturgiczny, robi kilka kroków do przodu, cofa się, znowu zastyga, może wyciąga rękę, jakby chciała dotknąć leżącej w trumnie drogiej osoby, wzrok kieruje ku niej, a potem zaczyna skubać warkocz, przełożony przez ramię i spływający na pierś, i przytomnieje. Rozgląda się i widzi, że jest na scenie, i nie wie, czy to jej się podoba, czy nie. Po chwili, że to jest jej jedyne miejsce na świecie.

Ona: (Wskazując na siebie – kciukiem w serce, a przedtem raptownym ruchem zdziera lekka wschodnią szatę, którą łatwo zedrzyć, bo tylko imituje szatę jako taką, a jest to lekka narzuta) A cóż to tutaj za babie lato?

On: Ta Ofelia? Kogoś przypomina. Jest podobna do... podobna... Ależ tak. To ta oszalała Aisza z „Traktatu o lalkach” Tola Szaleńczyka. Biedna. Nigdzie nie może znaleźć miejsca dla siebie. Ale żeby ją aż tu przygnało?

Ona: Od dawna ona tak?

On: Już dobrych paru lat. Właściwie to nie wiem, od kiedy. Od dawna. Bo gdzie nie stąpi na naszym kontynencie, tam zawsze jakaś wojna. Mniejsza, większa, ale rujnuje domy i losy. I trwa, i trwa, ta jakaś wojna, jak nanizana na sznur. No to szuka sobie lepszego miejsca do życia, ale nigdzie nie może znaleźć. Stamtąd ucieka tu, a tu jej nie chcą. I tak w kółko. No i zwariowała od takiego nomadyzmu. Nie spłosz jej. Ona opowie ci swój życiorys, w skrócie, w sposób oszalały, i zmęczone nogi ją dalej poniosą. Nogi są coraz starsze. Cała starzeje się, uciekając.

Aisza: (BeJot/Ona okrywa się narzutą, przedtem rzuconą na podłogę sceny; narzuta jest porwana, z dużymi dziurami, jak od pchnięć nożem) Czy

ktoś mnie pytał? Czy ktoś mnie szukał? O człowieku powiedzą „urodził się, cierpiał i umarł”. Albo nie zdążył, bo się pozabijali na tym filmie.

Produkcja człowieka. Kosmiczne młyny miały i prasa wyciska warstwą za warstwą. Owijany w skórę – skórą jest ulica, horyzont, kraj – człowiek wyskakuje i krzyczy „jestem”, „jestem”! Formatowany, owijany, nalepiany, rośnie, blaknie i marszczy się.

A ja? Czym jestem? Mówią o mnie „odlepiona”. W oczach niosę wariant 3: „Ten sen ludzkości nie odbędzie się. Ktoś, kto akurat posadzi ma-lutkie wesołe drzewko... duże poważne drzewo mu nie wyrośnie”...

Kochałam taniec i lustro mówiło mi: „nie wpatruj się na wylot – tam strona głucha. Tam rumianki gubią falbanki, a twój książkę przypiął sobie skrzydła pytania, które nie może go unieść.

Tak, rozumiem jeszcze słowa, ale nie wszystkie. Większość słów jest nieprzydatna, wprowadza tylko niepokój, jak wentylatory. Ale nie cieszcie się, nie odfrunę – w kieszeniach noszę kamyki. Kamyki. Rzucam nimi w szyby niedoszłych samobójców w najbardziej wątpliwych momentach ich życia. To ich ożywia – jam jest, która jest.

Mój ojciec jest kuśnierzem. Preparuje stare gazety i robi z nich kozuchy. Na moim kozuchu przebija stronica z lokomotywą, ciągnącą za sobą dym aż za połę. Lokomotywa albo rakieta, i świat ogarnia ziąb. Ciągnę stary dym.

*Ach, z celofanu gdyby była głowa,
i lżejsza od słów: celofanowa, celofanowa...*

Nawet nie pamiętam, kiedy odlepiło się ode mnie moje imię. I twarz mi odpłynęła. Kim jestem, pytają i myślą: oto miara bezdomności.

Pamiętam jedynie słowo „mama”, ale to za mało, żeby sprostać każdemu wiatrowi. Czasem grzeje mnie moja kołysanka:

*Ma, moja Maa,
przestrach w oczach ma.
Kto zacisnął jej piąstki,
mojej malutkiej Ma?
Nikt jej nie zbudzi
z tego snu. Ma, Maa.*

Aisza (Powoli odpływa).

Poruszony do głębi On/Tolo, gorączkowo szuka czegoś po kieszeniach, w końcu wyciąga z siódmej kieszeni; trzy kieszenie ma w kurtce, trzy w spodniach, a jedną/siódma w rękawie kurtki; kostkę cukru z siódmej kieszeni; starannie odmuchuje ją, żeby nie było najmniejszego paprocha, i biegnie za Aiszą, Aisza znika za przepierzeniem.

On/Tolo (Mówi do siebie półgłosem) Tutaj sam Bóg jest świadkiem.

Ona: (Milcząc, wynurza się zza przepierzenia. Porwaną i pociętą szatą okręca laskę i przerzuca ją sobie na ramię jak karabin. Po chwili zdejmuje ten „karabin”, opiera się na okutanej w szatę lasce, szata spływa pod nogi w ten sposób, że jest to Aisza – spłynięcie szaty jest kontrolowane w sposób niewidoczny, żeby była to żywa osoba).



Rys. Tamara Bołdak-Janowska

7/ Można chodzić

(Piosenka idioty; Fioletowy umysł)

Minispektakl Nr 4 – Tola i Tamary BeJot

Będziemy robić próby w naszym Parku Centralnym. Będziemy grać nasz mini spektakl raz po polsku, raz po białorusku, a ściślej: w języku z Wielkiego Księstwa Litewskiego, który to język nazywano językiem prostym. Scenariusz przeznaczony dla sceny, ale w parku mamy mnóstwo miejsc, które możemy uznać za scenę. Spektakl szczególnie porusza, jeśli się zagra w języku prostym. Akurat temat pasuje, akurat wszystko w porę – można chodzić albo nie można chodzić. Tu pozwalają, tam biją.

Na pustej scenie w półmroku dwie osoby, Jana i Jon (w języku prostym znaczy to: Ona i On), ubrani, jak będzie powiedziane w didaskaliach, zgodnie z rytmem słowa. Jon gra na prastarych rodzinnych skrzypcach melodię wstępną, a pulpit muzyczny zastąpił małymi sztalugami. Melodia to własna kompozycja Jona – „Kroki”. Kończy grę, wstaje z małego składanego krzesła.

Jon: To my, Jana i Jon, każdy w swojej osobie.

Jana: To Jon. (Wskazuje na Jona ręką lub brodą).

Jon: To Jana. (Tak samo wskazuje na Janę).

Jana: Ja to ja na pewno. Komu innemu przyśniłyby się tulipany, wielkie jak dzbanki. Kwiat dzbankowy.

Jon: No to zaczynamy nasz mały spektakl.

Jana: A inwokacja?

Jon: Jaka inwokacja?

Jana: No kogo przywołamy na patrona?

Jon: To zależy, kto na nas cieplej popatrzy. Pan Bóg z wysoka czy kamera oko w oko?

Jana: Pytanie na czasie. Pan Bóg spojrzysz z wysoka, może nawet wychyli się zza swego bajecznego obłoku, i zaraz zapomni, bo takich jak my ma miliony na naszej mlecznej planecie. A kamery... o , te sobie wszystko zapamiętają, wyjawiają skarpetkę nie do pary, i minę ci narysują odpowiednią, słuszną, niesłuszną, i mają potem dowód.

Jon: Dowód?

Jana: Dowód w sprawie. Na przykład dowód stopnia twego wychylenia się z systemu. I zaraz krzyki płaczliwe i lamentacyjne. Bo się obraził cień ważnego imienia. Jakby emocje miały stanowić o etyce, a gusta mądrości były wykładnią.

Jon: Pozostaje nam zasłonić się czymś uniwersalnym. Przywołam ducha Szekspira. Jemu już nikt nic nie może zrobić:

*„Bądź tedy pozdrowione, powietrze,
nieuchwytnie,
które ściskam”.*

Jana: A ja pozdrawiam powietrze nasze zmęczone.

Jon: Dobrze, że słońce nie tak jak księżyc w nowiu – świat byłby jak duren, ciemny i z ciemnością potworów.

Jana: Mówią, że kosmos biegnie tylko z rozpędu, pędzi przed siebie jak automat bez pana. To znaczy, że jest ślepy.

Jon: (*Macha dłonią przez oczami Jany, jakby przecierał lusterko*) Moja Jana, ty się ocknij, tu mamy nasz świat, tu! Tu jest cała nasza ziemia obiecana. Mam tu nawet makatkę (*rozwija makatkę swego wzrostu*) i ta makatka posłuży mi za dowód w tej sprawie. Makatka ta może stawać się obrusem czy medytacyjnym dywanikiem – marki Szekspir. (*Prezentuje makatkę, na której są starannym dużym drukiem dopiero co cytowane słowa Szekspira: „Bądź pozdrowione, powietrze”*)...

Jana: Moża taki Szekspir, na majoj prastoj mowie:: Zdaroŭ, pawietra, koŭzkaŭ, a ściskanaja? Abo: Witaju cibie, pawietra, niŭławima, a abdynmana? Abo i tak: Budź pazdarowana, pawietra, ślizańka, a mocno ściskana?

Jon: Na makatce widnieje pierwsza wersja i niech tak zostanie. (*Chodzi z makatką po scenie w taki sposób, żeby ją mogli przeczytać bliżsi i dalsi widzowie*) Uniwersalna to rzecz – jest tym, co na górze, i tym, co na dole, prawą stroną na prawej i lewą na lewej o kącie adekwatnym. Składasz jak serwetkę w Pitagorasa, o, tak. O, tu mamy trójkąt Pitagora. To jedna z ważnych cegieł naszej doczesności.

Jana: A jak coś jesz, to o czym myślisz?

Jon: Jak to o czym. O powietrzu.

Jana: Jasne. Lepiej jedzenie widać.

Jon: Choć się nie dokrzyczysz do gwiazd, każda poświadczy przynajmniej noża twego blask. Zaczynamy, czy jeszcze nie?

Jana: Witamy was, dobrzy ludzie, a powietrza dziś wszystkim wystarczy.

Jon: To znaczy, że zaczynamy.

Jana: Z powietrza złowimy Nic i z Niczego różę zrobimy, i powietrze nią ozdobimy. Aktorzy tak z duszy liczne różę wykręcają.

Jon: My skromniej – w pamięci mając piękne Nic bardziej na słowo liczymy i ono jest wzorem, jakby para motylków ślepo szyła w powietrzu swoje Nic albo fastrygowała chwilę z chwilą, choć chwile sypią się jak piasek i za nic mają jakieś nitki.

Jana: Ali jeśli ja sztoś każu na prastoj mowie, ta heta ż Źże nitka. A kurtyny nie mamy. Kurtyna gdzie? A nasze spektakle czy też bardziej kurtyny już mi się śnią: kurtyna, choć często śpi, leni się i ziewa, to nigdy brzucha nie miewa. Taki wierszyk przyśniłam.

Jon: Przecież to wszystko na niby, moja dobrodusznia Jana. Wystarczy, że życie skacze nam do przetartego kołnierzyka i jego rów wypełnia śmiałą pętlą. A twój wierszyk to w sam raz na dziś. Rzeczywiście kurtyna nie może być. *(Śmieje się – uśmiech robi dłonią).*

Jana: A ja sobie kołnierzyki dawno poodpruwałam. Zresztą kto na to zwróci uwagę. My z powietrza. Powietrze w powietrzu.

Jon: My to ludzie. A oto moja kosmopolityczna przepustka do życia. *(Prezentuje karton, złożony w harmonijkę, rozkłada go i pokazuje co tam wewnątrz napisane)* Oto abrewiatura, a skrótowo brzmi: BOMZ. Po polsku: bez określonego miejsca zamieszkania. Po rosyjsku: biez opriedielonnogo miasta żytielstwa. Pa niemiecku: obdachlos, a szerzej: Ohne Dach über dem Kopf.

Powtarzałem to sobie kilka razy, aż wtłukłem w głowę: jesteś wolny. Pocyckaj filozoficznie sopel, zatkaj sobą ten kran: jesteś legalny, porzuć entropię. Du bist frei.

Jana: Na prostuju mowu twaja abrewjatura nijak ni pasuja, bo mo byłob: biez kankretnaho miesca życharstwa. Żywi jak aborwany listok?

Jon: Jeśli myśleć sezonowo... A moja abrewiatura zawiera sens szerszy od bezdomności. Zebrałem w niej wszystkich wygnanych z ojczyzny, wszystkich nielegalnych emigrantów, wszystkich wygnanych z kultury za niepoprawność polityczną i etniczną, czy za odwagę. Zebrałem ich i krzyczę: Bądź! Żyj!

Jana: A samo życie? Zapisałeś coś literami samego życia o osobie?

Jon: Nikt się do niczego nie zobowiązywał.

Jana: A do życia aż da naturalnej śmierci?

Jon: Akurat ta rzecz godna naśladowania. *(Nuci):*

*Zaskrzypiała kość do kości:
Bładaś jakaś dzisiaj cości.
– A nic takiego, wszystko gra,
może trochę szpiku brak.*

Jana: *(Powtarza piosenkę w języku prostym):*

*Zaskrypiła kość da kości,
ty za błedna siońnia sztości.
– A niczoho, ůsio tak-siak,
mo mnie krychu szpiku brak.*

Jon: Obawiam się tylko, że brat nasz...

Jana: Brat?!

Jon: ...i siostra nasza... wszystko widzieli, wszystko wiedzą, mają selfi-lusterka, znają się na aktualnych kierunkach świata...

Jana: A gdzie północ?

Jon: *(Pokazuje nogę)* Tam.

Jana: A jak stanę tak? *(rozkłada ramiona ukosem)*, albo tak *(staje jak do rozstrzelania „ręce do góry”)*, albo tak: *(staje tyłem jak do strzału w plecy – ręce na kark?)*

Jon: A ty tak nie stawaj, bo słońce zgłupieje. *(Rysuje jej na plecach, na białej koszulce, fioletową tarczę).*

Jana: Tak, tak. Prawe staje się lewym, a słońce nie wie, kiedy zająć, a cie nie dostają cudzej mentalności, a ludzie...

Jon: Ludzie to my!

Jana: I raptem za dużo bliźniego i odchodów jego.

Jon: Wtedy ogłasza się Dzień Człowieka – sezon globalnego zatykania ust i nosa, żeby mniej powietrza zużyć. A zresztą... Noc i tak wszystko zmiesza i zamieni dzień w szare i czarne karty, i sieczkę z nich robi. Prze-prosiłaś słońce? To zaczynamy. *(Szzsz! – szsz! – imituje rozsuwanie kurtyny)* Dwóch jest sprawców, Pan Bóg i pan człowiek. *(W tym czasie Jana rozciąga ekspander – na całość i na kawaleczek – tak pokazuje Pana Boga i pana człowieka).* *(Jana mówi: Jana chaciełab, kab zwierchu mihnulo Mahutny Boża poůnym hołasam i raptam zacichło, i jakby ů hety mih sztoś upało z hukam, jakby heta byů tresk ad szklanki, jakaja upała na betonawy tratuar. Heta mahłob być wykanalno).*

Jon: Raz się kręciłem przy ekipie filmowej. I mam trofeum – bluzę misyjną. Zachowałem ją tylko po to, żeby przyczepić medale. (*Zdejmuje odblaskową kamizelkę i pokazuje, co to za bluza i omawia medale, wykrojone z dykty i z odręcznymi napisami*) Ten duży za kampanię pod górkę, ten mały za szarżę z góry, a ten średni to standard za udział w wojnie, co na naszej planecie jest zaszczytem, a ten największy to wielka gwiazda pośmiertna, Gloria Mortis, potocznie zwana Chwałą, ale dali mi ją za życia, żebym mógł się nacieszyć. To bardzo humanitarne, co? Choć miało zabość. A jak nie włączysz się do wojny, to jesteś zajęć-filip, czy jak tam ty powiesz w swoim języku, haŋniak. (*Mruczy pod nosem swoją piosenkę*):

*Kula miała sekundę w nadmiarze
i jedną sekundę pierś miała.
Zlitował się żołnierz:
wchodź pomiędzy medale,
ogrzejesz się cała.
A plecak twardo ostygł,
a w nim czerstwa chałka,
pajda chleba, całkiem sina,
pięć zielonych monet
i migdałowe łezki trzy
od narzeczonej...*

Jana: (*Powtarza piosenkę w języku prostym*):

*Kula adnu sekundu miała,
i hruź adnu sekundu miała.
Żaŋnier kulu paszkadawaŋ:
ŋwachodź pamiż miedali,
ahrejaszsa cęła...
A rukzak chałodny, ćwiordo abastyŋ.
A ŋ jom czerstwa chałka,
chleba sinia skibka,
ziałonych pięć maniet,
i jaszczę
ad maładuchi mindalowy słozki try...*

Jon: Teraz zagramy prawdziwych idiotów. Będziesz szczęśliwa. (*Rozwija rulon białej ceraty*) Pomożesz?

Jana: (*Pomaga*) A czy mamy jakieś jeszcze rekwizyty?

Jon: Człowieku, toż idiota jest samowystarczalny. Własna głowa mu wystarczy. A co mieli Didi i Gogo, nasi krewni, a idiotami nie byli? Zamiast głowy rzodkiewka i marchew. A tobie wystarczy piłka, która zagra to, tamto i siamto. Moce, moce! Przywołam nieśmiertelnego ducha Rilkego. Ten duch cię ulula. (*Wkłada białą rękawicę, a przedtem zdejmuje bluzę ukazując się w białej koszuli. I zaczyna ustawiać Janę*): Stań tak. Nie. Może tak. Opuść głowę. Pochyl ją. Ale mina! Jana, ty minę idioty rób. Od razu jesteś idiotą. Masz być szczęśliwa. Poprowadzę cię słowami Rilkego.

Jana: Mam się głupio uśmiechać i chodzić po ceracie? Jednak mamy jakieś rekwizyty,

Jon: Cerata to cały twój świat. Rób mułowatą minę. Nie rozumiesz tego ducha, ale go czujesz. Bierzesz ciężar, dźwigasz, ale się cieszysz. Ciężar zagra piłka.

Jana: Piłka? To piłczysko.

Jon: Mów teraz za mnie.

Jana: (*mówi za Jona*) No i niech piłczysko. Sama wystroiłaś piłkę/piłczysko w swoją czerwoną bluzkę. Zapomniałaś? Bluzka rozciągliwa, leży jak trzeba. I ja ją zawiązałem w kitkę z drugiej strony. No i niebieska piłka, bo była niebieska, cała czerwona jest, i tylko trochę zerka niebieskością przez dekolt i otwarte gały, gdzie mają być rękawy, ona bez rękawów. Przecież tej bluzki już nie nosisz, obrzydła ci. Zresztą masz tyle ubrań, że ich nie znosisz do śmierci. Oszczędzałaś ubrania i w końcu modę dwudziestego wieku można przeglądać w naszych szafach, i wszelką modę przełomu wieków. Piłka to twój ciężar, duch, dusza twoja, słońce nasze i przedmiot, po prostu czerwona piłka, to znaczy niebieska, przebrana w twoją czerwoną bluzkę. Rób minę, krzyw się, zarzuć piłkę na plecy, dźwigasz potężny ciężar, a tylko idiota to robi, graj idiotę. Pod twoją grę przeczytam nieśmiertelny wiersz Rilkego, i trzeba to zrobić, bo ludzie to tylko zaczęli się rozmnażać i zapominają słowa wielkich poetów. To punkt, do którego mieliśmy dojść – graj pod to słowo. Przechylaj głowę, bo masz ciężar na potylicy, ale graj szczęście. Zakuj całym swoim Ja, że jesteś idiotą i szczęściem. Graj, to twoja chwila.

Graj milcząc. W pewnym momencie zrzucić swój chaplinowski kapelus, a włożyć starą lnianą perukę, będziesz śmieszniej wyglądać. A wszystko po to, żeby słowo poety nie umarło. (*Jon wykonuje te czynności za Janę*).

Jon: Mów za mnie dalej.

Jana: *(Mówi za Jona, a Jon gra wszystko, czego chce Jana – mieszają się osoby)* Bardziej zidiociej – zrób się bardziej szczęśliwa. Zajrzyj w perukę, kiedy ją zdejmiesz i zdziw się, że pusta. Graj tak, żeby było widać: ty myślisz, że peruka zdejmuje się wraz z głową, wraz z wierzchem głowy. Graj swoją szczęśliwość na przekór wszystkiemu, co dziś dusi człowieka.

Pamiętaj: ty śpisz, a twoja droga idzie.

A cerata wyjmuje cię z tego ruchu przyrody.

Graj, to twoja chwila milczenia, ale jaka ważna!

Możesz iść naprzód, i do tyłu, i tyłem naprzód, i tyłem do tyłu, i znowu powtarzać kroki, jak tylko zechcesz i jak długo zechcesz. Jesteś wyjęta z tego przekłętego ziemskiego statusu – „ty śpisz, a twoja droga idzie”, bo grasz na scenie. Scena wyrывa cię z rytmu dnia i nocy. Niech tak szczęście tutaj pochodzi w twojej osobie.

Jana: Teraz mówimy do siebie?

Jon: Bo tak miało być. Najpierw do publiczności, potem do siebie. Na luzie, bo tylko próbujemy, czy nam co wyjdzie. I z ostentacją staramy się, żeby wyszło. *(Pochylają się nad piłką)*.

Przypomnij sobie, jak wielki masz globus, taki zwykły, szkolny, ale dość duży, ma rozmiar twoich trzech głów. Spójrz na kontynenty i zobacz – nijak na nim siebie nie zaznaczysz. Niczym, ani ołówkiem, ani atramentem, ani kredką. Na tym szkolnym globusie nie istniejesz jako człowiek. I z kosmosu ciebie nie widać. No i nie ma czym zaznaczyć. Nie ma cię jako punktu. A tu masz białą ceratę i jesteś na niej taka wyraźna. Graj. Ciesz się chwilą. Jeśli cieszysz się chwila, zatrzymujesz czas. Naprawdę tak jest. Nic więcej nie zatrzymuje czasu – tylko szczęście chwili.

Jana: Ale ja mam jeszcze dudkę. Kiedy będziesz kończyć „Piosenkę idioty”, zacznę oddychać przez dudkę. Ścisnę ja obiema dłońmi i przez dudkę będę grać wdech i wydech, wdech i wydech. I tak świszcząc wdechem i wydechem wejść pomiędzy widzów. I z nagłą zacichnę. I powoli wrócę na ceratę.

Jon: Dobrze. Robimy to wszystko, teraz znowu mów za mnie.

Jana: Mówię za ciebie. I jeszcze ciesz się z tego, że Rilke zabrzmiał w języku prostym, i że możesz mówić w języku prostym, bo się z tego zawsze cieszysz. Przetłumaczyłaś Rilkego, ciesz się z tego. I na sam koniec oddychaj przez dudkę, aż wszyscy poczną, jak człowiek oddycha, i że oddycha. Tu możesz być zmęczona. Ostro oddychasz, aż już nie możesz. Graj oddech. Rób się tragiczna. Wychodzisz jak przez wąską przesiekę jak do życia

– do publiczności. Piłka niech jeszcze raz będzie ciężka jak kłoda, a raz lekka jak pierzynka dla lalki. Pchniesz ją z raz do mnie, a z raz odepchnę. A potem będziesz ją przywoływać jak pieska, czym sama przybiegnie. Tak pożyje twoja bluzka. Nie zasłoń słowa grą. Masz grać blado, ale wyraziście.

Przyroda wyhoduje kartofel, taki sam dla człowieka i dla świni, ale człowiek popchnie ziemię do tego czynu, zrobi ogród, ale może być i tak, że ziemia sama ten wspólny kartofel wyhoduje. A jabłko rozumnie pada z jabłoni, zgodnie z teorią Newtona, bo się tego nauczyło przed Newtonem. A tu jest cerata, biały prostokąt, scena i ty. Nie ma sufitu, ścian, kątów, i nawet Pana Boga nie ma, a jeśli jest, to jest jak ty – nasza pani człowiek – jedno wielkie szczęście idioty. I mój głos, i słowa poety. Na sam koniec zagram na skrzypcach kompozycję „Oddychanie”, a u naszych stóp będzie piłka w twojej czerwonej bluzce. Pamiętaj, grasz idiotę jako takiego, ogólnego. Nie jesteś ani kobietą, ani mężczyzną. Tuwim pisał kiedyś w liście do Micińskiego, że ludzkość to Wielka Idiotka, która ciągle robi straszne rzeczy, ale ty grasz co innego: płyniesz dobrym człowiekiem. Twój stan to: pełna ufność w kartofel, w jabłko, w Newtona. Nie wygłupiasz się z odgrywaniem ludzkości jako Tuwimowej Wielkiej Idiotki. Tu stan człowieka stwarzają słowa Rilkego: *Wie gut. Można tłumaczyć na „jak dobrze” lub na „Jak miło”*. A w języku prostym na: „Jak dobro”; „Jak miło”; „Jak dobro-miło”. Ty zostajesz przy „Jak miło”.

Jon: A teraz wielkie słowa:

Piesiańka idźjota

*Ni miaszajuć mnie. Chaj sabie chodzić.
Kažuć, heta ni moža paszkodzić.
Jak miło.*

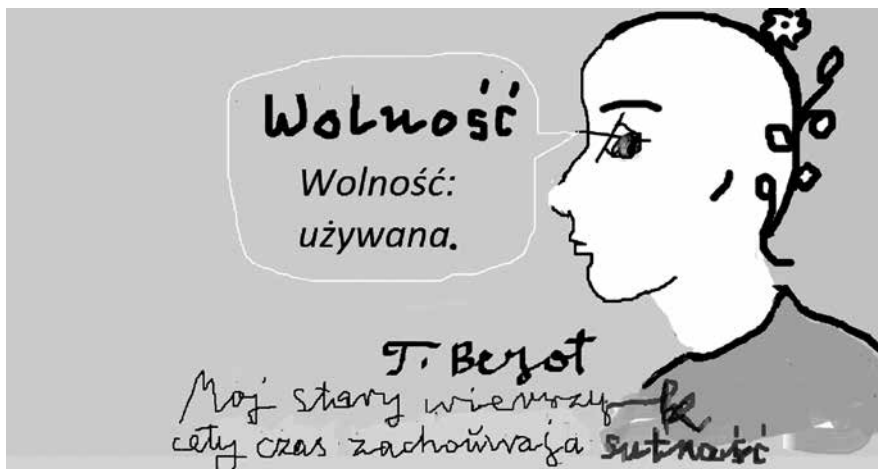
*Niczoho, niczoho. Ta ż ũsio na świecie
z światoho ducha biarecca.
Z jakohoś tam ducha (sami wiedajacia) –;
Jak miło.*

*Nie, nima czaho tut bajacca,
szto czymś pahrażajuć hetyja sprawy.
Praŭda, je kroŭ. Kroŭ heta hłyba.
Kamjakowa kahłyba. Kahłyby ciazaraść.*

*Czasam zdajecca mnie ni pad siłu.
(Jak miło).*

*Ach, ali szto heta za miaczyk wiasioły;
taki czyrwony i kruhły daskanalo.
Nu tak, zrabic jaho wam paszychawalo.
Ci, jak paklikać, ta sam prybiażoryć?*

*Szto za dziwosy, ũsio praliwajacca:
adno z druhocho curkom wyciakaja,
krychu nipeŭno, ali zyczliwo.
Jak miło.*



Teksty i rysunki Tamara Bołdak-Janowska

Adam Lizakowski

Bob Dylan

Like a Rolling Stone, czyli spadaj mała na łeb na szyję

(Część 1. Fragmenty)

Wśród licznych legend, mitów, półprawd i plotek krążących o Bobie Dylanie, szczególnie symboliczna wydaje się wymiana zdań między nim a Johnem Lennonem chyba w roku 1964. Muzycy „napaleni trawą”, niczym chłopcy w podstawówce, pomiędzy *chichy-śmichy*, zaczęli wymieniać się „uprzejmościami”. Dylan zarzucił Lennonowi, że Beatlesi nie mają w swoich tekstach nic do powiedzenia, a ten odwzajemnił się słowami: „Za to ty nie masz brzmienia”. Od tego momentu Dylan zaczął myśleć o grze na gitarze elektrycznej, a także o zespole, z którym mógłby wykonywać swe utwory, a Beatlesi – pisać dojrzalsze teksty nie tylko dla 13-letnich panienek, w stylu utworu *Love Me Do* (1). Piosenkę tę napisał Paul McCartney, gdy miał lat 16. Czas jej trwania to 144 sekund (2:22). Słowo *love* pojawia się w niej aż 24 razy, średnio co 6 sekund. W roku 1964 była ona pierwsza na liście przebojów w Ameryce, Dylan bardzo uważnie jej się przyglądał.

Love Me Do

*Love, love me do
 You know I love you
 I'll always be true
 So please, love me do
 Whoa, love me do*

5 x love

*Love, love me do
 You know I love you
 I'll always be true
 So please, love me do
 Whoa, love me do*

5 x love

Someone to love
 Somebody new
 Someone to love
 Someone like you 2 x love

Love, love me do
 You know I love you
 I'll always be true
 So please, love me do
 Whoa, love me do 5 x love

Love, love me do
 You know I love you
 I'll always be true
 So please, love me do
 Whoa, love me do
 Yeah, love me do
 Whoa, oh, love me do 7 x love

Historia ta, niezależnie od tego, czy jest prawdziwa, czy nie, dobrze ilustruje fakt, że dla Dylana słowa zawsze były ważniejsze od muzyki. Chciał być przede wszystkim poetą, a dopiero później muzykiem. Wiele razy mówił: *I consider myself a poet first and a musician second. I live like a poet and I'll die like a poet. (Myślę o sobie przede wszystkim jako o poecie, dopiero później o muzyku. Żyłem jak poeta i umrę jak poeta)* – powiedział w jednym z wywiadów (w 2004 r. w artykule opublikowanym w „Newsweeku” nazwano Boba Dylana „najbardziej wpływową obecnie żyjącą postacią kultury, i nie bez powodu) (2). Ale na muzykę słuchacze bardziej zwracali uwagę niż na słowa. Piosenki dobrze się sprzedają nie dlatego, że mają ambitne słowa, ale dlatego, że łatwo wpadają w ucho i można je nucić pod prysznicem czy w wannie lub przy goleniu.

Na festiwalu w Newport Folk w 1963 roku przyszedł laureat Nagrody Nobla, został entuzjastycznie przyjęty, wykonał wtedy swój sztandarowy utwór *Blowin' in the Wind* wspólnie z Joan Baez, Peterem, Paulem i Marią oraz innymi wykonawcami, którzy do nich dołączyli. W roku następnym, podczas Festiwalu Folkowego w Newport, wykonał ballady, które potem były łączone z przemianami społecznymi lat sześćdziesiątych: *With God On Our Side* i *Mr Tambourine Man*. Przez ostatnie miesiące roku 1964 i 1965

zapowiadał zmiany w swoim stylu życia, a także w muzyce. Co to miało być, wyjaśniło się w następnych miesiącach.

Na festiwalu w Newport Folk Festival 25 lipca w 1965 roku poeta wystąpił odmieniony pod każdym względem, wewnątrz i zewnątrz. Prasa podała do wiadomości: *July 25, 1965 at the Newport Folk Festival, the day when Dylan „went electric”*, co oznaczało, że Dylan gitarę akustyczną zastąpił elektryczną, czyli coś się skończyło i coś nowego się zaczęło. Zmiana instrumentu długo była komentowana w prasie i wśród jego wiernych wielbicieli. A wszystko zaczęło się w dniu koncertu, wspomnianego już 25 lipca, artysta miał paskudny nastrój, próba z zespołem trwała prawie do piątej nad ranem, a na dodatek ograniczono czas jego występu, który nie kończył festiwalu, jak było w planie, ale został umieszczony między produkcjami innych artystów.

Licznie zgromadzonej publiczności został przedstawiony przez Petera Yarrowa, ale nikt nie słuchał słów prezentera. Tłum reagował głośnie szyderstwami, jakby z góry wiedział, co za chwilę się wydarzy, a na dodatek podczas przedstawiania Dylana jego zespół ostentacyjnie głośno stroił instrumenty. Ludzie byli zdziwieni, że artysta folkowy wychodzi na scenę z gitarą elektryczną, którą uważano za coś gorszego. Zachowanie tłumu lekko zaskoczyło Dylana, był znany i popularny, i dotychczas przeważnie witano go entuzjastycznie. Jak nigdy wcześniej pisał i komponował przebój za przebojem, a jego pozycja umacniała się wysoko na listach rynku muzycznego w USA. Płyta *Bringing It All Back Home* sprzedawała się niczym butelki wody na pustyni, po kilkanaście tysięcy egzemplarzy tygodniowo, a ballada *Like A Rolling Stone* była na czele list Top 40 AM radio. Wszystko to układało się zgodnie z planem typowym dla Stanów Zjednoczonych, tymczasem stawały się zauważalne gołym okiem przemiany osobowości i światopoglądu artysty dokonujące się pod wpływem Europy, szczególnie Anglii. Oddziaływanie europejskich tras koncertowych na młodego twórcę było silniejsze niż lektura książek w salonach i sypialniach przyjaciół, u których zatrzymywał się na noc. Dylan się zmieniał i to było oczywiste. Właśnie powrócił z Londynu w czarnej skórzanej kurtce, czarnej koszuli, porządnej koszuli frakowej, i szpiczastych czarnych butach, tak zwanych Chelsea heels (szybyletach). W rękach trzymał solidną gitarę elektryczną. Na scenie obok niego znajdował się zespół, co było nowością, bo dotychczas przeważnie występował sam lub z panią Joan Baez. Obecność zespołu była tu symboliczna, oznaczała, że dla niego folk został daleko w tyle, a na jego miejsce wkroczył rock. Był zespół, co prawda nie jego,

ale o brzmieniu bluesowym, chociaż grupa z Chicago, ale blues nie chicagowski. To przyspieszyło przejście Dylana ku nagłośnieniu i elektryczności, a przede wszystkim ku gitarze elektrycznej.

Ale powróćmy jeszcze do pamiętnego koncertu. Ktoś z obsługi podłączył wzmacniacze do prądu i doszło do sprzężeń zwrotnych mikrofonów i głośników, rozległ się piskliwy jazgot.

Dylan był ustawiony przed zespołem Paula Butterfielda, przed muzykami Alem Kooperem, Jeromem Arnoldem i Samem Layem. Poeta rozpoczął głośno i dynamicznie od piosenki *Maggie's Farm*. Publiczność była zdumiona, zaskoczona tym, co zobaczyła i usłyszała, a raczej czego nie usłyszała. To nie był Bob Dylan, którego znała. Odezwały się gwizdy, buczenie, głosy niezadowolenia. Wzmacniacze jakby wtórowały niezadowolonej publiczności, one to coraz bardziej buczały, gwizdały. Nikt nie klaskał, gdy artysta zaczął śpiewać *Like A Rolling Stone*, balladę tak bardzo przez wielu lubianą. Dały się słyszeć okrzyki: *Go back to the Sullivan show!* Coraz więcej obecnych, zamiast słuchać artysty, wymieniało uwagi, śmiechy i żarty, na widowni robiło się coraz głośniejsze, aż wreszcie dotarło do świadomości Dylana, że coś jest naprawdę nie tak. Publiczność domagała się od niego czegoś, czego nie zrozumiał. Po raz pierwszy w życiu zszedł ze sceny na sztywnych nogach, wygwizdany. Różnie później to przedstawiano, mnożyły się relacje prawdziwe i zmyślane. Podobno ktoś za kulisami zauważył łzy w oczach artysty. Ten w późniejszych wywiadach temu zaprzeczał, twierdząc, że nie płakał, ale jedynie był „lekko dziabnięty”, że deszcz padał i tak dalej. Łzy pojawiły się także w oczach jego przyjaciela Pete'a Seegera. Sam Seeger ma kilka wersji tego, co się wydarzyło wtedy na scenie i poza nią, i dlaczego miał chwycić za siekiere, aby przeciąć przewody elektryczne prowadzące do gitary elektrycznej Dylana. Jak było naprawdę, chyba nigdy się nie dowiemy.

Najpopularniejsza jest teoria von Schmidta, zwana *Theory of Newport*, która *goes like this* (brzmi jak następuje): zespół The Butterfield z Chicago był po raz pierwszy na scenie w Newport, Dylan słyszał ich podczas warsztatów muzycznych grających bluesa, spodobał mu się, więc bez żadnego namysłu po prostu zaprosił ich, mówiąc: *Wanna do Maggie's Farm? Why not* – brzmiała odpowiedź. Zamiast prób zagrali razem przez chwilę i było po wszystkim. Bob w sumie planował grać tylko na gitarze akustycznej, ale skoro spotkał tak fantastyczny zespół, to dlaczego nie miałyby spróbować z nimi gry na gitarze elektrycznej, o której marzył od dawna, w duchu porównując się z Johnem Lennonem. Wspólnie trochę

podżeczowali wieczorem przed koncertem. Niektóre źródła podają, że grali razem przez całą noc, aż do rana, trzy piosenki, ale to przecież brakowi ich zgrania na koncercie. Poza Dylanem nikt z organizatorów ponoć nie wiedział, że zespół będzie grał z nim na scenie. Scena była nieprzygotowana od strony technicznej, chłopaki z zespołu po prostu weszli na nią i czekali na artystę. Tak bardzo im zależało, aby zagrać z Dylanem, że zapomnieli sprawdzić, jak działa sprzęt nagłaśniający. Mikrofony nie działały lub były wyciszone, a kolumny buczały. Nikt z obsługi technicznej profesjonalnie się tym nie zajął. Dylanowi nie przyszło do głowy, aby kogoś się o to zapytać, poza tym zawsze sprawiał wrażenie, że wie, co robi. Robił się coraz bardziej niemiły dla ludzi, więc woleli go o nic nie pytać. Był już gwiazdą i często lubił to podkreślać, niestety nie zawsze uprzejmie. W czasie występu śpiewał sobie a muzom, a zespół grał sobie w swoim stylu. W sumie mikrofon artysty nie działał albo on, nic o tym nie wiedząc, śpiewał do ściszonego mikrofonu. Perkusista Sam Lay walił w talerze i bębny „ile tylko wlało” i publiczność odnosiła wrażenie, że to nie Dylan tylko jakieś Butterfield boogie, tym bardziej że wyglądał jak londyńczyk, a nie chłopak ze Środkowego Zachodu Ameryki, w starych jeansach i flanelowej koszuli, do którego to wyglądu przyzwyczaili swoich słuchaczy. Zespół go zagłuszał, więc ludzie zaczęli krzyczeć: *We can't hear Bobby* (nie słysząc Boba).

I chyba to było sedno całej sprawy: ludzie nie słyszeli Dyłana. Wcale nie chodziło im o to, że Dylan wystroił się jak „europejski pajac z gitarą elektryczną”, ale o to, że go nie słyszeli. Dylan wpadł w zakłopotanie, bo nie wiedział, co się dzieje, tym bardziej że zespół nie grał jego muzyki, tylko jakąś swoją. Ludzie z przodu krzyczeli, *nie słyszymy cię*, a tłum z tyłu myślał, że ci z przodu wyzywają Dyłana, ponieważ grał na gitarze elektrycznej, która oczywiście im się nie podobała, gwizdali i buczeli, z tym że powodem ich niezadowolenia nie była gitara, ale sam występ jako taki.

Artysta zszedł ze sceny, nastąpiła chwila konsternacji, prowadzący koncert Peter Yarrow raz jeszcze podszedł do mikrofonu, zbity z tropu, nie za bardzo wiedział, co ma zrobić. Podniesionym głosem zawołał do publiczności: *Want to hear more?* (chcecie jeszcze słuchać?), dodając *Bob's gone to get his acoustic guitar if you want to hear him more* (jeśli chcecie słuchać, to Bob pójdzie po gitarę akustyczną). Ktoś z publiczności odkrzyknął: *Get his folk gitar!* (przynieś gitarę folkową). Konferansjer sugerował, że właściwie nic się nie stało i Dylan może wrócić na scenę, jeśli chcą, i nawet może już zagrać na gitarze akustycznej. Po chwili artysta był już na scenie i raz jeszcze rozpoczął swój występ, tym razem piosenką z drugiej strony

płyty, tej nierockowej, *It's All Over Now, Baby Blue*. Czarne chmury zostały przegonione, publiczność się rozchmurzyła, biła mu brawo na stojąco, krzycząc *More* (jeszcze). Ktoś krzyknął: zaśpiewaj *Mr. Tambourine Man*. Poprawił mu się nastrój, a i publiczności, więc ucieszony powiedział: *All right, people. I'll sing that for ya* (w porzo, zaśpiewam to dla was). I zaśpiewał, i publiczność razem z nim śpiewała, napięcie rozeszło się po kościołach. To, dlaczego Dylan zszedł ze sceny, dzisiaj stało się przyczynkiem setek najprzeróżniejszych spekulacji. Aby je wszystkie zebrać, zabrakłoby nie tylko cierpliwości, ale i papieru. Powstał mętlik w głowie artysty, który po raz pierwszy się pogubił, nie wiedział, co jest grane. W sumie koncert zakończył się po jego myśli, ale gitara elektryczna odniosła tylko połowiczny sukces. Do Newport powrócił koncertować po trzydziestu siedmiu latach, a kupioną za kilkanaście setek gitarę (jednak nie do końca wiadomo, czy tę samą), na której miał rozpocząć swój pierwszy „elektryczny koncert”, sprzedał na aukcji za prawie milion, bo za 965 tysięcy dolarów. To się nazywa mieć łeb do interesów.

W sobotę 27 sierpnia tego samego roku [1965 – przyp. red.] ponad 14 tysięcy ludzi zebrało się na stadionie tenisowym Forest Hill w Queens, dzielnicy Nowego Jorku. Przyszli tam dla niego, swojego idola. Ty razem artysta nie popełnił błędu z Newport. Wcześniej z menadżerem Grossmanem i swoimi muzykami, Robbiem Robertsonem i Levonem Helmem z zespołu Hawks oraz Al Kooperem i Harvey Brookse, sprawdzili wszystko, łącznie z kablami kolumn i mikrofonów, osobiście, czy całość jest zapięta na ostatni guzik. Zmienił swój wygląd z farmera robotnika ze środkowego zachodu na angielskiego pudła. Wyszedł na scenę słaby, bladej w czarnym garniturze i koszuli w paski, zapiętej pod szyją, w czarnych butach na wysokich obcasach, z rozczochraną grzywą. W rękę trzymał tylko gitarę akustyczną, na szyi miał umocowaną harmonijkę ustną. Przez 45 minut zaśpiewał siedem piosenek, żadna z nich tak na dobrą sprawę nie była w stylu folk. Ani *Tambourine Man*, ani *Love Minus Zero / NoLimit* z najnowszego albumu. Zagrał także piosenkę o kobiecie o imieniu Sara, która puszcza oko do życia i ma w nosie ludzi zniewolonych psychicznie, która jest za mądra, aby *to argue or judge* (dowodzić i przesądzać). Zaśpiewał także balladę długą na 11 minut, jak włoski makaron spaghetti, *Desolation Row*, absurdalny wiersz, napisany w taki sam sposób, jak się składa kolaże, słowa, frazy wycięte ze snów lub jakichś zwidów i majaków, mających przedstawiać Amerykę, a w szczególności piekło na ziemi. Osobiście nie dostrzegam w tym piekła na ziemi, natomiast w ten cały galimatias wmieszani są ludzie

z książkowych kart lub z krwi i kości tacy jak: Romeo i Kopciuszek, garbus, dzwonnik z Notre Dame, poeci T.S. Eliot i Ezra Pound, Albert Einstein i Robin Hood, Neron, Kain i Abel, i kilka innych postaci. Dylan pisze o nich tak: *All these people that you mention, yes, I know them, they're quite lame* (wszystkie te osoby, o których wspomniałeś, tak, znam je, są do kitu).

Zapytany na konferencji prasowej w San Francisco 3 grudnia 1965 roku, gdzie znajduje się *Desolation Row* (*Dzielnica Dziwek*), odpowiedział: „Och, to jest jakieś miejsce w Meksyku, jest po drugiej stronie granicy, znane z fabryki Coca-Coli”. Al Kooper, który przy pierwszych nagraniach *Desolation Row* grał na gitarze elektrycznej, zasugerował, że znajdował się na odcinku Eighth Avenue na Manhattanie, „miejscu opanowanym przez dziwki, obskurne bary i supermarkety z pornografią. Miejscu, w którym tynki spadają ze ścian a okna wypadają z okiennic”. Dziennikarz Polizzotti sugeruje, że zarówno inspiracja, jak i tytuł utworu mogły pochodzić od *Desolation Angels* autorstwa Jacka Kerouaca i *Cannery Row* Johna Steinbecka. Ostatnia, dziesiąta zwrotka ballady brzmi:

*Yes, I received your letter yesterday
(About the time the doorknob broke)
When you asked me how I was doing
Was that some kind of joke?
All these people that you mention,
Yes I know them, they're quite lame
I had to rearrange their faces
And give them all another name
Right now, I can't read too good
Don't send me no more letters no
Not unless you mail them
From Desolation Row*

*Tak, otrzymałem wczoraj twój list
(trzasnęła wtedy klamka w drzwiach)
Kiedy pytasz jak mi szło, to drwisz
To był twój żart, ze mnie kpisz?
Te osoby, o których wspomniałeś,
tak, znam je, są wszystkie kiepskie
Nie mogłem znieść ich pysków
Nadałem im wszystkim nowe nazwiska*

Teraz ciężko mi się czyta
 Więc listów nie pisz już
 Chyba że je wyślesz
 Z Dzielnicy Dziwek.

To, co zagrał dla publiczności, podobało się, otrzymał wielkie, ciepłe brawa. Jednak to nie uspiło jego czujności. W czasie przerwy miotał się i pouczał niczym trener bokserski: *If they start yellin' and booin' don't let it bother ya*. Dodawał: *Don't pay attention to anythin' the audience does*. Słowem, przygotowywał swoich muzyków na najgorsze, ostrzegał przed publicznością, że jeśli będą buczeć i gwizdać, oni mają grać, tak jakby nic się nie stało. Nie wolno im okazać żadnego zdenerwowania, bo publika taka jest. Po przerwie wyszedł pierwszy z elektryczną gitarą, a czterech muzyków za nim. Z boków dobiegły gwizdy, ale muzycy nie zwlekali ani chwili, pełną parą, na cały gwizdek rozpoczęli drugą część koncertu. Siłą dźwięku przygnietli tych, co gwizdali, a ci się uspokoili, usiedli i wysłuchali piosenki do końca. Gdy ta się skończyła, zaczęli krzyczeć: *We want the old Dylan* (*chcemy dawnego Dylana*), niektórzy gwizdali, inni klaskali. Cały występ chytrze zakończył piosenką *Like A Rolling Stone*, większość publiki śpiewała razem z nim. Zwycięstwa całkowitego nie odniósł, ale było znacznie lepiej niż miesiąc wcześniej w Newport. Jeszcze miesiąc później, we wrześniu, miał następny koncert w prestiżowej Carnegie Hall. Powtórzył scenariusz z Forest Hill. Część pierwsza – gitara akustyczna, przerwa, po czym część druga – gitara elektryczna. Cały koncert zakończył tak jak wcześniej utworem *Rolling Stone*, który zaśpiewał wraz publicznością. Ta szalała w zachwycie, były brawa i okrzyki radości. Dylan czuł, jak skrzydła wyrastają mu z pleców. *I knew they'd understand me* (*wiedziałem, że w końcu mnie zrozumieją*) – mówił. Następnie dodał: *Knew it wouldn't take 'em long to catch on* (*czułem, że nie zajmie im to wiele czasu*).

Rock miał ogromną przyszłość, Dylan szedł we właściwym kierunku, jego przyjaciele Phil Ochs, Dave Cohen czy Eric Andersen i wielu, wielu innych muzyków popierało go, mówiąc, że zrobił bardzo inteligentny ruch na szachownicy życia. Rock był tym gatunkiem muzyki, do którego każdy inteligentny młody muzyk musiał zmierzać. Ale przeciwnicy też nie czuli się całkiem przegrani, wystawili przeciwko niemu wielkie armaty krytyki, atakując przy każdej nadarzającej się okazji. Israel Young, mający kolumnę w piśmie „Sing Out!”, z którym od lat poeta był zaprzyjaźniony, nazwał go pionkiem we własnej grze (*a pawn in his own game*) i obwinił o to,

że przestał *his quest for a universal sound* (przestał poszukiwać uniwersalnych wartości w muzyce). Natomiast Arthur Kretchmer z the Village Voice napisał, że Dylan jest już skończony, ponieważ teraz będzie zmuszony grać dla tej strasznej publiczności, zamiast dla wybranych, tak jak dawniej, gdy poeci czuli się odpowiedzialni za swoje słowa. Inni krytycy jeszcze mocniej go zaatakowali, pisząc wprost, że Dylan udawał kogoś, kim nie był, nie miał w sobie żadnej wiary ani przekonania, gdy pisał swoje protest songi. Teraz jest skończonym dziadem i w ogóle szkoda dla niego słów. Dylan z różnym skutkiem się bronił przed zarzutami, i tak jest do dzisiaj. Broni się, używa różnych środków, tłumaczy się, że tak naprawdę nigdy nie uważał się za *a folk singer*, albo powiada, że ci, co mu stawiają zarzuty, nigdy nie mieli zielonego pojęcia, czym jest *folk music*. Lista zarzutów jest jednak bardzo długa. Oskarżała go nawet przyjaciółka i była kochanka Joan Baez, napisała nawet piosenkę, aby był sobą, ale to nie pomogło. Uparł się jak koza, zresztą jego pseudonimem artystyczny jest becząca koza. Aż w pewnym momencie wzruszył ramionami, tak jakby strząsał wszystkie zarzuty z siebie, mówiąc: *That's theirs problem. It doesn't matter what they say about me (to ich problem, a co o mnie mówią, nie ma znaczenia)*.

W sumie przestało mu zależeć na tym, co ludzie o nim myślą i mówią. Najważniejsze, żeby nie przeszkadzali robić tego, co robi. Nie miał najmniejszego powodu do narzekania czy żartowania, z tygodnia na tydzień stał się ikoną, której konto w banku bezustannie rosło i nadal rośnie. W zastraszającym tempie stawał się najlepiej zarabiającym człowiekiem w branży muzycznej. Nadchodziły bardzo tłuste lata dla niego, syna sprzedawcy żarówek, przełączników i czajników elektrycznych z Hibbing, który ostrzegał syna przed pisaniem wierszy i grą na gitarze. W ciągu następnych dwóch lat będzie zarabiał około 80 tysięcy dolarów miesięcznie (dzisiaj jest to około miliona). Gdzie takie cuda mogą się zdarzyć? Tylko w Ameryce, nigdzie indziej na świecie, tylko w Ameryce. Pieniądze nie uderzą mu do głowy, nawet nie będzie miał czasu, aby je wydawać. Dojdzie do tego, że będzie miał sto koncertów rocznie. Pracowity i uparty. Trasy koncertowe staną się treścią jego życia. Będzie od nich uzależniony. Armia ludzi będzie pracować na niego, począwszy od zmiataaczy podłóg, bileterów, kierowców ciężarówek, poprzez pracowników technicznych, akustyków, dziennikarzy, sprzedawców jego płyt i koszulek, a skończywszy na mass mediach i zarządcach firm płytowych, sal koncertowych, nie mówiąc już o sprzedawcach piwa i popkornu, marihuany, policjantach i ochroniarzach. Gitara elektryczna będzie jego berłem królewskim, nią będzie rządził, zdobędzie

prawie wszystko, a wtedy powie: *Folkowa scena muzyczna była niczym raj, który musiałem opuścić. Tak jak Adam. Byłem za dobry. Za kilka lat okaże się, że tkwię w gównie. Zacznie się wokół tlić i płonąć* (4). To są słowa z jego autobiograficznej książki, z ostatniego akapitu.

Opuścił folk dla rock&rolla, gitarę akustyczną zamienił na elektryczną. Chciał poderwać tłumy jak Beatles, chciał trafiać swoją muzyką do 13-15-latek jak chłopaki z Liverpoolu, ale to, co robił, nie było dla dorastających panienek. On tworzył dla ludzi, którzy obserwowali zmieniający się świat, wchodził w politykę, krytykował w swoich utworach bogatych, upominał się o biednych i poniżanych. Nie wyglądał na takiego jak tych czterech chłopaków z biednych robotniczych rodzin z Liverpoolu, których ojcowie albo uciekli z domu, albo ledwo wiązali koniec z końcem. Którym menadżer nadał wizerunek kogoś, kogo można zaprosić do domu na herbatę, pogadać o tym czy o tamtym, bo rozmowa z nimi właściwie do niczego nie zobowiązywała. Miło się rozmawiało z nimi o niczym. Rozmowa była łatwa i przyjemna, bo oni (jeszcze) nie zajmowali się polityką ani ruchem pacyfistycznym, nie pisali o tym ani o tym nie śpiewali. Ubrani w garnitury i białe koszule budzili zainteresowanie, byli dzieciakami z biednych rodzin, chłopcami, którzy nawet jeszcze nie musieli się codziennie golić. Jednak zdobyli zaufanie nastolatek i rodziców, a ci nie żalowali swoim pociechom pieniędzy na bilety, na ich koncerty. Jeszcze byli w tym, co robili, niegroźni, zabawni, słodcy, śpiewający o miłości nastolatek. Wszystko oczywiście do pewnego czasu, zanim zaczęli zajmować się polityką, religią, niesprawiedliwością społeczną.

Dylan był ich przeciwieństwem i nigdy nie zdobył takiej popularności jak ci chłopcy, piszący bezproblemowo. Największą skłonność do szukania problemów miał John Lennon, to on powiedział podczas wywiadu dla prasy w 1966 roku, w Anglii: *We're „more popular than Jesus”*. Dlaczego ubogi chłopak z rozbitej rodziny, wychowany przez ciotkę, powiedział, że jego zespół jest „bardziej znany od Jezusa”, nawet on sam dokładnie nie wiedział. Kilka miesięcy później po przedrukowaniu wywiadu w Ameryce nastąpiła fala masowej nienawiści do niego i Beatlesów. Nienawiścią szczególnie szalało południe Ameryki. Tych kilka nieprzemyślanych słów Lennona spowodowało, że od tego czasu zespół przestał koncertować, występować publicznie, zamknął się w studiu. Obracanie się w tej małej przestrzeni spowodowało, że zaczęli skakać sobie do oczu, oskarżać się o Bóg wie co, zazdrościć sobie nawzajem. To doprowadziło ich do upadku (ale o tym kiedy indziej, więcej).

Jak już zostało powiedziane, Dylan nigdy nie zdobył takiej popularności jak Beatlesi czy Rolling Stonesi. Chciał być głośny, zauważalny dzięki elektrycznym wzmacniaczom, kolumnom i to mu się udało. Przeciwnieństwem Beatlesów był zespół niegrzecznych chłopców Stonesów z Londynu. Inny był ich wygląd. Skórzane kurtki, buty na grubych podszewkach, rozczochrane fryzury, podarte jeansy, ręce w tatuażach, w rozciągniętych podkoszulkach. Ale przeważnie byli odbierani jako przedstawiciele ludzi z dołów społecznych, nawet nie tych, co pochodzili z klasy robotniczej, chociaż w przeciwieństwie do Beatlesów pochodzili z warstwy średniej w angielskim społeczeństwie o dwa stopnie wyższej. Klasa średnia kupiła ten wygląd, młodzież w buncie przeciw starym, zamiast czyścić buty, prasować koszule, dbać o wygląd zewnętrzny, poszła na łatwiznę, niechlujstwo. Łatwiej było żyć we flanelowej koszuli na grzbiecie, i rozdeptanych adidasach na nogach, bez skarpet, których nie trzeba było codziennie prać, niż z białym kołnierzykiem i krawatem, i w skórzanych butach. Kultura zwracała się w stronę ludzi głośnych, acz nieogolonych, niedbających o swój wizerunek, żyjących w wolnych związkach, bo „po co mi ten papier, drogi panie”, eksperymentujących z narkotykami i medytacją dalekiego Wschodu. Szkoła i poziom wykształcenia, i w ogóle samo wykształcenie, tak jak cnota, przestało być czymś ważnym czy cennym. Szkoła, studia, to było dla nieudaczników, to znaczy tych, którzy nie wiedzą, co w swoim życiu chcą robić. Natomiast ci wszyscy w podartych jeansach wiedzieli lepiej.

Dylan bacznie oglądał oba zespoły, zaprzyjaźnił się z ich członkami, uczył się od nich tego angielskiego podejścia do świata i ludzi, zazdrościł im. Dzięki nim zrozumiał fenomen telewizji, rozwój mass mediów, handel wytworami kultury, która stała się dobrem materialnym, funkcję dziesiątków, setek koncertów w dobie rozwiniętego kapitalizmu. To tysiące, a z czasem miliony dolarów, wpływające na konto. To go nakręcało. Małe zadymione kafejki nowojorskie z ludźmi gadającymi o polityce i wielkim świecie już go nie interesowały. Muzyka szybko się zmieniała, ta w roku 1967 już w niczym nie przypominała tej sprzed dwóch lat. Dylan nie wiadomo skąd, ale wiedział o tym, że tak się stanie. Jego teksty traktowały już albo o bieżącej sytuacji i ciążyły w kierunku protest songów, albo były całkowicie oderwane od rzeczywistości, surrealistyczne i metafizyczne. Marihuana królowała, a młodzi buntownicy oddawali jej pokłon. Cudownie smakowała i działała w szczególności popijana sokiem z pomarańczy. Pomagała w odkrywaniu siebie, świata, i osiągnięciu odmiennych stanów świadomości. Ale jeśli marihuana była królową, to królem była muzyka, powstawały dźwięki,

które wówczas określano jako psychodeliczne. Dylan polubił to wszystko i teraz z perspektywy czasu, gdy się spojrzy w tył, można nawet po polsku powiedzieć, że *innego życia nie miał*, a po angielsku *I love it*. Z czasem okazało się, że bardziej chciał być nowym Elvisem Presleyem, chciał też grać w filmach, nawet zamawiał kamerzystów, aby kręcili go w drodze z miasta do miasta z koncertu na koncert.

Cdn.

Źródła

Wszystkie cytaty w języku angielskim pochodzą z dwóch książek, z których korzystałem, opracowując balladę *Like a Rolling Stone*. Były to: *Bob Dylan. Chronicles, Volume One*. Published on October 5, 2004, by Simon & Schuster oraz *Bob Dylan Intimate Biography*, written by Anthony Scaduto. Publisher: Grosset & Dunlap; 1st edition (1971). Piosenki i ballady pochodzą z książki *Bob Dylan Lyrics 1962-1985*, published by Alfred A. Knoph, Inc. New York, 1998.

Przypisy

1. *Love Me Do*. Copyright © 2000-2019, AZLyrics.com.
2. Bob Dylan: *I'm a poet, and I know it!* Copyright © 1997-2008 by The Academy of American Poets; www.poets.org. (In 2004, a Newsweek magazine article called Bob Dylan „the most influential cultural figure now alive”, and with good reason. He has released more than forty albums in the last four decades, and created some of the most memorable anthems of the twentieth century, classics such as *The Times They Are A-Changin'*, *Like a Rolling Stone*, and *Blowin' in the Wind*).
3. *Małomiasteczkowy*. Track info: written by Bartosz Dziedzic & Dawid Podsiadło. Release Date June 6, 2018.
4. *Bob Dylan Intimate Biography*, written by Anthony Scaduto. Publisher: Grosset & Dunlap; 1st edition (1971).

Adam Lizakowski

Andrzej Słomianowski

Obrona słowa i konserwatyzm poety

Prywatny manifest poety na XXI wiek

*Prawdziwie wszechstronny światopogląd jest
absolutnie niemożliwy bez uwzględnienia poetów.*

Paul Feyerabend – *Trzy Dialogi o wiedzy*
(Blackwell, 1991)

„Obraz znokautował słowo” – powiedział nie tak dawno mój znajomy artysta plastyk. Powiedział to ze smutkiem w głosie, jako wielki przyjaciel słowa pisanego i książki w ogóle. Egzystencjalnie niezagrożony – w przeciwieństwie do poety – potrafił jednakże dostrzec niebezpieczną patologię w fakcie stopniowego wypierania słowa przez obraz w naszej nieustannie zmieniającej się rzeczywistości. Byliśmy zgodni, że na pewno nie jest to postęp, wbrew entuzjastycznym zapewnieniom adwokatów technologicznego postępu za wszelką cenę – owych technologicznych romantyków, jak się o nich czasem mówi. Telewizja, internet, cyfrowki, to wszystko tak, ale nie w miejsce słowa. Zacytowałem memu znajomemu linijkę, która przy okazji premiery nowego cyfrowego cuda-zabawki sama przyszła mi do głowy: „Obrazki, obrazki... Wracamy do jaskini – malować na ekranach obrazki”. Mój znajomy artysta plastyk skonkludował: „Musimy bronić słowa”.

Obrona słowa to obowiązek wszystkich, nie tylko poetów. Zastanówmy się, kim bylibyśmy, gdyby nie język. Wiemy z Ewangelii, że na początku było słowo, ale chwila refleksji uprzytomni nam, że na początku nie tylko było, ale również jest, i to zawsze, słowo. Najczystsza matematyka, czy teoretyczna fizyka, nie są możliwe bez słów – bez języka. Także logika nie jest możliwa poza językiem. W sposób oczywisty język jest nam dany z góry, jest niejako a priori. (Tak bardzo oczywisty, iż nie dostrzegamy tego faktu.) Zanim może pojawić się jakakolwiek formuła matematyczna czy fizyczna, musi być myśl sformułowana w słowach. I tak jest ze wszystkim: obraz, zanim świadomie jest dla nas obrazem, jest przedtem słowem „obraz”, jest nazwą, tak jak nazwami są słowa „fizyka”, „matematyka”, czy „komputer”, czy choćby słowo „digit”, znaczące po łacinie po prostu „palec”. Bez słów, bez języka, przestajemy być ludźmi, bez języka niemożliwa jest nasza

technologicznie tak bardzo zaawansowana cywilizacja. Da się z powodzeniem argumentować, iż najdoskonalszym komputerem jest język – i to nie tylko dlatego, iż nic nie kosztuje i nie pochłania dóbr natury.

Poeta ma dodatkowo jeszcze inną świadomość języka. Poetycka wrażliwość na język jest dlań darem, który otrzymał wraz z darem życia, a sam język określa jego powołanie jako poety w dużej mierze w służbie języka. Dobry poeta jest zarazem sługą i panem języka, świadomym pokus i pułapek, w które obfituje praca nad wierszem. Pisanie wiersza jest, jak każdy proces twórczy, procesem poznawczym. Tak to ująłem w wierszu *Świat i słowo*:

*Odgadnij mnie –
mówi świat
Odgaduję cię słowem
nieustannie
W słowie przestajesz
być zagadką –
mówi poeta*

Zaś niemiecki poeta Johannes Bobrowski (1917–1965) tak o tym pisze w wierszu *Język* (przekład A.S.):

*Drzewo
większe niż noc
z oddechem jezior w dolinie
z poszeptem
ponad ciszą*

*Kamienie
pod stopami
światliste arterie
długo w kurzu
na zawsze*

*Język
zmordowany
z umęczonymi ustami
na bezkresnej drodze
do domu sąsiada*

* * *

Konserwatyzm postrzegany jest dziś jako zjawisko negatywne. Na ogół kojarzony jest z zacofaniem, reakcyjnością, hamowaniem postępu, itd. Ale jak jest naprawdę, czym w istocie jest konserwatyzm? Wydaje się, że konserwatyzm krytykowany jest głównie dlatego, iż nie ulega modzie, a nawet jest jej zaprzeczeniem. Konserwatyzm zakłada, że szanuje się wartości i lubi rzeczy, które nie zmieniają się wraz z sezonowym dyktatem takiej czy innej mody. Konserwatysta nie pragnie być modny i jest wobec mody sceptyczny. Najbardziej sceptyczny jest wobec modnych poglądów. Moda z natury rzeczy jest czymś zmiennym, fakt zmienności to zasadnicza cecha każdej mody. Coś jest modne i potem musi ustąpić modzie na coś nowego. Hołdowanie modnym poglądom równa się brakowi własnych poglądów, czyli rezygnacji z samodzielnego myślenia.

Dyskusja o konserwatyzmie to pod spodem dyskusja o zmianie, o tym, czy trzeba coś zmienić (np. ulepszyć bądź zmienić na coś nowego) i o częstotliwości wprowadzania zmian w jakiś istniejący stan rzeczy. Próby ulepszenia często mają skutek przeciwny od zamierzanego, a zbyt częste zmiany są niekorzystne dla zdrowia człowieka, ostrzega medycyna. Przeciętny człowiek nie jest w stanie zaabsorbować zbyt dużej częstotliwości zmian w otaczającym go świecie i w efekcie im jest starszy, tym mniej ów świat rozumie. Dzisiejszy, powiedzmy, siedemdziesięcioletni dziadek z trudem może porozumieć się ze swoim osiemnastoletnim wnukiem. Jeden drugiemu wydaje się przybylszem z innej planety. Dzielące ich pół wieku przyniosło po prostu zbyt wiele rozmaitych zmian.

Mojemu własnemu konserwatyzmowi patronują dwaj Amerykanie: poeta T.S. Eliot (1888–1965) oraz pisarz, krytyk literacki, historyk, politolog i moralista Russell Kirk (1918–1994). Mój konserwatyzm wyraziłem w wierszu *Coś do picia*:

*Marchewka z miodem,
jabłko z winogronem,
jagoda z wiśnią
i gruszka z melonem.*

*Same mieszanki
na półkach z sokami
i stoi już nawet
kiwi z burakami.*

*A ja lubię z marchwi
po prostu, bądź z jabłka
samego, czy malin – bez smaku
jeszcze jakiegoś...*

*Tak samo z trunkami,
nie dla mnie mieszkanka,
lecz czysta, źródłano-zimna,
z innych przypalanka.*

*Przestaliby już dodawać,
rozpuszczać, rozcieńczać,
mieszać wszystko ze wszystkim,
organizm zadręczać.*

Europa popełnia samobójstwo – pisze brytyjski dziennikarz i autor Douglas Murray, w głośnej od paru lat książce (publikacja w 2016) *Osobliwa śmierć Europy*. Murray pokazuje, jak Europa na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci stopniowo odsunęła się całkowicie od prawie wszystkich wartości leżących u podstaw cywilizacji europejskiej.

Przyczyny są oczywiste: przez osiemnaście stuleci nosicielem europejskiej cywilizacji był człowiek – pojmowany i definiowany jako *homo sapiens*. W konsekwencji Rewolucji Francuskiej ów człowiek przemienił się w obywatela. Z kolei gdzieś od połowy XX stulecia obywatel zaczął się w szybkim tempie przeobrażać w konsumenta. Dzisiaj w całej Europie dominuje *homo consumens* – nieustannie zmuszany konsumować coraz więcej – a absolutnym władcą wszystkiego stał się globalny handlarz. Nosicielami czego mogą być konsument i handlarz?

Jako jeden z niewielu krajów europejskich Polska jeszcze nie daje się – Polska, ów wielokrotny mistrz świata w niedawaniu się. W Polsce, podobnie jak na Węgrzech, jest jeszcze nadzieja na ratunek europejskiej cywilizacji. Innym krajom zrobiło się, jak widać, wszystko jedno w jakiej cywilizacji żyją – byle, konsumpcyjnie rzecz biorąc, można było dzień w dzień cieszyć się, że szafa gra.

A poeta? Co ma robić poeta, jak ma żyć w tym technologiczno-konsumpcyjnym, iluzorycznym i tandetnym pseudo-raju, w owej krainie ułudy? Już dość dawno, bo jeszcze w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia przełożyłem na swój własny użytek zakończenie jednego z esejów

Eliota, powstałego jeszcze wcześniej, bo na początku lat trzydziestych. Te kilka linijek znam na pamięć i traktuję (dzisiaj zwłaszcza) jako drogowskaz dla poety. W istocie, nie mówią one niczego nowego:

Świat eksperymentuje, próbując uformować cywilizowaną lecz nie-chrześcijańską mentalność. Ów eksperyment nie powiedzie się. Oczekując na jego klęskę, musimy być jednakże niezmiernie cierpliwi, starając się przy tym „odkupić” czas – po to, by wiara mogła przetrwać żywa poprzez długie lata ciemności przed nami oraz po to, by móc odnowić i odbudować cywilizację – i uchronić świat od samobójstwa.

Nic dodać, nic ująć – powtarzam sobie dzisiaj często. Może tylko tyle dodać: nie dać się otumanić i omamić nikomu ani niczemu – po prostu nie dać się zwariować.

Andrzej Słomianowski

Anna Sobolewska

Z dziennika czasu zarazy. Początek

17 marca

Wróciłam ze sklepu jak zawsze z pełnym plecakiem. Kasze, makarony, olej i oliwa, puszki kocie. Dotąd Tadek chodził na bazar z wózkiem, ale dziś zdecydowaliśmy, że to dla niego zbyt ryzykowne. Tylko ja będę robić zakupy blisko domu. A zresztą bazar ma być zamknięty.

To już drugi tydzień kwarantanny. Zamknięto szkoły, kawiarnie, restauracje, teatry i wszystkie inne miejsca zgromadzeń na dwa tygodnie. Wydawało się, że to na długo, a teraz boimy się, że ten czas może się wydłużyć do lata. Wolę sobie niczego nie wyobrażać, nie planować, nie przewidywać.

Ale to nie znaczy: nie żałować. Żałuję każdego skrawka codzienności – porannego szykowania Celi do warsztatu terapii zajęciowej, pośpiechu w drodze do autobusu, nawet uciążliwego załatwiania spraw w centrum. Z żalem odebrałam telefony o odwołanych wizytach z Celą u ortodonta i w komisji ZUS-u. Byłby to dobry pretekst do jazdy taksówką i spojrzenia na miasto – jak teraz wygląda. Chciałoby się przejść Nowym Światem. Wiem, że to dziecinne i egoistyczne, dlatego staram się nie poddawać stanom lęku czy nostalgii i zachowywać pogodę ducha dla Celi i Tadeka.

Zwykle źródłem nostalgicznych wspomnień były cudowne chwile wakacji, a teraz przedmiotem tęsknoty jest monotonna codzienność sprzed dwóch tygodni! Przedtem niedoceniona i uciążliwa. Okazało się, że lubię zwykłe zakupy. Dla mnie kawiarnie i restauracje były nie tylko przestrzenią spotkań, ale także przyjemnym miejscem pracy – tam poprawiałam prace studenckie i czytałam referaty po lekturze „Gazety Wyborczej” i pism ilustrowanych. Najbardziej brak mi Green Café Nero w różnych punktach miasta. Monika powiedziała mi przez telefon: „Płaczę za moimi zajęciami” (zajęciami plastycznymi i warsztatami z wycinanki żydowskiej). Nikt już nie cierpi z powodu wypalenia zawodowego.

Nieraz przeżywałam w mieście i na wakacjach dojmujące doświadczenie utraty – likwidację prawie wszystkich małych sklepików w mojej okolicy na Bemowie, ulubionych kawiarenek i szmateksów w Zawoi, dzikiej plaży w Bułgarii. Znikały i bez koronawirusa, co roku czegoś ubywało. A teraz

wszystkim grozi strata pandemiczna, trudna do wyobrażenia. A wraz z nią ciężar życiowej klęski tych ludzi, którzy stracą miejsca pracy.

Należałoby zamienić tę przymusową deprywację wrażeń w znaną z jogi czy buddyzmu praktykę uważności – zanurzenia w chwili obecnej. Być „tu i teraz” – bez cofania się w przeszłość i kalkulacji na przyszłość; ze współczuciem dla chorych, ale bez żałowania siebie. Idę teraz do sklepu wolniej, codziennie inną alejką, obserwując oznaki wiosny. Czy te stany uważności nie mogłyby trwać bez koronawirusa? Praktyki świeckie i religijne nie muszą się różnić, gdy chodzi o przezwyciężenie egocentrycznych przywiązań i roszczeń. Jak radzi czytelnikom „Tygodnika Powszechnego” Piotr Sikora:

Może więc czas tej epidemii jest – z religijnego punktu widzenia – okresem postu od naszych religijnych przyzwyczajzeń i wspólnotowych pobożnych praktyk dających pociechę, a bardziej czasem osobistego duchowego ćwiczenia, w którym leczymy się ze złudzenia, że nasza tożsamość i bezpieczeństwo zależą od opanowania świata, który jest wokół. Ćwiczenie to zapewne niełatwe. Trzeba zmierzyć się z lękiem zamykającym w egocentryzmie, głęboko utrwalonymi schematami myślenia, ociężałością serca (P. Sikora, *Wspólnota leczy*, „Tygodnik Powszechny”, 22 marca 2020).

Niestety, trudność tej duchowej praktyki polega na tym, że nie można się zbliżyć do ludzi. Drugi człowiek jest zagrożeniem. W domach jesteśmy razem, solidarni, uważni. Wychodząc – jak najrzadziej – unikamy wszelkiego kontaktu. Na tym polega odpowiedzialna postawa w czasie epidemii – nie narażać innych. Siostra Małgorzata Chmielewska mówiła o poczuciu solidarności i budowaniu niewidzialnej wspólnoty. Zgadzam się z nią, ale trudno mi to odczuć. Ta pusta przestrzeń między człowiekiem a człowiekiem wywołuje stan depresji. Każdy może być nosicielem. Przechodnie na mój widok przyspieszają kroku, a ja co chwila zapominam o zagrożeniu i wydaje mi się, że wszystko jest jak przedtem. Bardzo trudno o empatię i solidarność bez kontaktu w kraju, gdzie i bez wirusa ludzie się nie uśmiechają i starają się na siebie nie patrzeć w miejscach publicznych. Może dlatego tak łatwo mogliśmy się przystosować do reguł fizycznego dystansu. Obawiam się, że tak zostanie, że ten dystans i nieufność się powiększą. Może nie będzie już podawania rąk i całowania z obejmowaniem na powitanie i „znaku pokoju” w kościołach? A może na odwrót – obcy ludzie zaczną się pozdrawiać?

Boję się nawet myśleć o sytuacji starych ludzi, czyli o naszym życiu, w czasie przedłużającej się pandemii. Teraz wszyscy jedziemy na jednym wózku, ale co będzie dalej?

Znajomi wymyślają różne strategie na czas zarazy. Niektórzy żyją w całkowitym zamknięciu, tylko jedna osoba wychodzi po zakupy; inni wybierają się na długie spacery w okolice, gdzie jest mało ludzi. Zdarzają się osoby lekceważące wszelkie ograniczenia z przekonaniem, że co będzie, to będzie. Brak odpowiedzialności prowadzi do tragedii. Jedna z pierwszych polskich ofiar koronawirusa zataiła podróż do Włoch i – zanim umarła – zaraziła cały szpital i przedszkole. Przed naszym sklepem stoi zwarta grupa młodych z komórkami i piwem.

Większość nie odwiedza się w domach i nie spotyka bez dramatycznej konieczności. Mieszkanie stało się centrum świata. Jak pisał Miron Białoszewski:

*każdy w bunkrze
na swoim cukrze*

Tadek wędruje z kijkami po okolicznych, nie używanych torach kolejowych. Ja wychodzę z Celą z rzadka, zawsze w rękawiczkach, nie dotykając żadnych klamek ani poręczy (drzwi się otwiera łokciem). Gorzej mają ci w blokach z windą. Robię szybkie zakupy, a Cela czeka na ulicy. A potem idziemy na spacer wokół domu, szukając śladów wiosny. Koło nas przy torach, które pięknie pachną smarem, jest teren bujny i bezludny, jak ze *Stalkera*.

Zdarzają się akty agresji. W aptece jedna pani zaatakowała młodą matkę z dwójką małych dzieci głośno wywodząc, że dzieci nie mogą przebywać w aptece – takie jest zarządzenie. Matka tłumaczy, że nie ma ich z kim zostawić. Nie może przecież zostawić dzieci na zewnątrz, tak jak ja zostawiam Celę w pobliżu sklepu. Przypadkowy atak kaszlu, związany z wiosenną alergią, może się skończyć agresją słowną i wyrzuceniem z autobusu: „Wypierdalał z tym kaszlem!”. A jednak przeważa cicha życzliwość na ulicy i pełna ekspresji w sieci.

Małgorzata Rejmer donosi z Albanii, jakie formy przybiera kwarantanna w Tiranie. Godzina policyjna o 18 – jak na wojnie. Wolno spacerować po ulicy, ale nie wolno przysiąść na ławce ani na schodkach. Zresztą parki zamknięte. „Dobrowolne uwięzienie” – pisze. My tu mamy skojarzenia z okupacją, a ona przywołuje lata komunizmu, kiedy cała Albania była więzieniem.

Sięgamy z Tadekiem do dzienników pisarzy – do Marii Dąbrowskiej i Zofii Nałkowskiej, które opisały szczegółowo okupacyjną codzienność.

Maria Dąbrowska cały dzień walczyła o sprawy bytowe – jarzyny, kawałek mięsa do zupy, poczta, leki, opał, zapomoga, praca na kursach spółdzielczych, ale były też spotkania przy stole z przyjaciółmi, pełne intelektualnych wyzwań, przy kieliszku wódki. Podobnie było za naszych czasów, w stanie wojennym. Odpowiedzią na represje władz i uciążliwość życia codziennego było bogate życie towarzyskie. „Tęsknię za stanem wojennym, kiedy rozmawiało się do rana” – powiedziała Misia.

A my żyjemy osobno, tylko z domownikami. We Francji trzeba mieć dowód oraz zaświadczenie o potrzebie wyjścia do sklepu lub do lekarza. W wielu krajach raczej się nie wychodzi na zewnątrz bez celu, a w niektórych miastach wcale – jak w czasie zarazy w Londynie w XVII w. Strażnik patrolował ulice. Wkrótce i u nas tak będzie.

Rano witamy się z Tadekiem cytatem ze *Szczęśliwych dni* Becketta: „I znowu cudowny dzień!” Pamiętamy tę wspaniałą rolę Mai Komorowskiej. Tadek z początku rzucił się na zapomniane polskie komedie obyczajowe z lat 60., jak *Ich dzień powszedni* Ścibora-Rylskiego. Jego wzruszały – mnie one irytują. Za to oboje doceniliśmy mistrzostwo Wojciecha Hasa w *Lalce* i w *Sanatorium pod Klepsydrą*. *Siódma pieczęć* miała być szczepionką na koronawirusa, ale w tym olśniewającym filmie żadna pociecha metafizyczna nie łagodzi losu Rycerza, który przegrał w szachy ze Śmiercią. Pozostaje tylko wiara w drugiego człowieka, w jego miłosierdzie i akt ofiary, gdy walczy się ze Śmiercią nie o własne życie, Rycerz bowiem ocalał w tajemniczy sposób swoich przyjaciół kuglarzy. Podobnie jak w filmie *Fanny i Aleksander* Bergman jest po stronie artystów, kuglarzy, ludzi wolnych, a nie biczowników, którzy katują siebie i innych w imię Boga.

W czasie epidemii zawsze panowały teorie spiskowe. Ludzie zagrożeni szukali przyczyny nieszczęścia, której uosobieniem był Obcy, najczęściej urojoną winą obciążano Żydów, a także prostytutki i czarownice. W *Siódmej pieczęci* Bergmana winna jest dziewczyna, która „obcowała cieleśnie z diabłem” i została skazana na spalenie na stosie. Dziś jest lepiej, bo nie tak łatwo jest spalić czarownicę czy zabić Żyda, a równocześnie gorzej, bo wszelkie spiskowe fantazje są powielane i zwielokrotnione w Internecie. Od osoby praktykującej jogę odebrałam takiego SMS-a: „Moja wersja jest taka, że Izrael użył broni biologicznej. Jednak ona działa, kiedy ktoś się boi. Jeśli wytwarzamy miłość i praktykujemy medytację, wtedy nie ma zagrożenia”. Czy więc koronawirus istnieje, czy go nie ma?

Każdy kraj kreuje innego demiurga zła. Dowiedziałam się, że koronawirus został wyprodukowany przez służby specjalne w Izraelu (nowa

wersja starego antysemickiego mitu) albo w Chinach. Chińskim władzom chodzi o panowanie nad światem i upokorzenie Ameryki. W wersji rozpowszechnionej w Azji wirus został wyprodukowany w Stanach Zjednoczonych. W Iranie pandemia to kara boska za homoseksualizm, a w Izraelu w ortodoksyjnych środowiskach jest to plaga wymierzona w świeckie państwo. Inni prorocy rozgłaszają groźbę promieniowania 5G, które przenika nas wszystkich. Czy to broń biologiczna czy elektroniczna? Jak donosi Grzegorz Wysocki, „ciocia Gienia już w styczniu dzwoniła, że ma wyginąć 60 procent ludzkości” (por. G. Wysocki, *Spirytus schodzi jak woda. Dziennik czasów zarazy*, „Rok Dobrego Życia” nr 3, „Gazeta Wyborcza” 21 marca 2020).

Inna formą zabobonu są dobre rady, jak pokonać koronawirusa. Jeśli nie wystarczy kosmiczna fala miłości, to można wykąpać się w płynie odkażającym, a nawet regularnie pić roztwór tego płynu – ten sposób walki z pandemią propagował Donald Trump. U nas popularne są subtelniejsze działania, jak koronki i łańcuszki do Matki Boskiej. Każdy naród ma inne remedia – w Rosji sprzedaje się specjalne plakietki ochronne, a w Indiach znachorzy radzą pić mocz świętych krów wraz z powtarzaniem mantry. Zastanawiam się, co robili jasnowidze, astrologi i wróżki tuż przed inwazją koronawirusa? Każdy opowiadał swoją pozytywną bajkę. Przed Sylwestrem otrzymałam pakiet ezoterycznych dobrych wróżb:

Energia 2020 roku: nowe życie, wyjątkowe możliwości, transformacja, przebudzenie i spełnienie, zaufanie Sobie, Wyższej Jaźni i Kreatywnemu Przepływowi Nieskończonej Mocy.

Jesteśmy już pod wpływem unikalnej konstelacji Plutona i Saturna: totalnych przemian, mocy, transformacji, wychodzenia z cienia i cierpienia ku światłu i szczęściu.

A w styczniu kupiłam dla siebie i przyjaciółki Sylwii G. wygodny kalendarz z napisem na okładce: „To będzie dobry rok”. To zwykły chwyt marketingowy, a jednak budzi irytację i nieoczekiwaną falę lęku.

Wielu hierarchów Kościoła głosiło podobną narrację, kojarzącą się z „pozytywnym myśleniem” – nie ma zagrożenia dla wierzących. Sprawdzone remedia to święcona woda, cudowny medalik ojca Rydzyka i obowiązkowy udział w niedzielnej mszy z tradycyjną ustną komunią. „Chrystus nie roznosi zarazków ani wirusów” – ogłosił arcybiskup Andrzej Dzięga. Chrystus nie zaraża, tylko pomnaża. A ks. prof. Tomasz Guz stwierdził, że „konsekrowane ręce” kapłanów nie roznoszą wirusa. Niestety „konsekrowane ręce” księży dzisiaj źle się kojarzą. W Korei Południowej jedna

wyznawczyni zaraziła w sekcie Kościół Jezusa kilkadziesiąt osób. W wielu krajach muzułmanie gromadzą się w świętych miejscach. W Rosji wierni nadal całują ikony. U nas metropolita prawosławny zabronił wchodzić do cerkwi w maskach. Na tle ciemnoty i arogancji kościołów wypowiedzi papieża Franciszka to głos innego Kościoła, nie feudalnego – jak ze średniowiecznych tańców śmierci – ale międzyludzkiego. Papież Franciszek dziękuje tym wszystkim, którzy ratują innych, prosi o współczucie dla cierpiących i zamiast pouczać, poleca piękny tekst Fabia Fazia „Wyciągnijmy lekcje z izolacji, uporządkujmy nas samych”.

We wszystkich czasopismach artykuły historyków na temat dawnych epidemii, a zwłaszcza dżumy – „czarnej śmierci” z XIV w. oraz reprodukcje stosownych obrazów, czyli tańców śmierci. Zaraza zawsze była żywiołem demokratycznym, atakowała wszystkich – od żebraka do papieża. Dziś jest tak samo, wśród zakażonych są osoby wszystkich profesji, ze wszystkich klas, także rządzących. COVID-19 nie respektuje ani podziałów społecznych ani granic. Wszyscy jesteśmy zagrożeni i śmiertelni. Boimy się jakiegokolwiek choroby i braku pomocy medycznej. Stopniowo osławiamy się z myślą, że możemy umrzeć.

Znajomi zadają zawsze to samo pytanie: Jak żyjemy w czasie epidemii? Co robimy na co dzień? To, co zawsze – piszemy, oglądamy filmy, „odrabiamy zaległości”, ale nie te rozrywkowe, tylko nadal związane z pracą. My akurat piszemy teksty o Mironie Białoszewskim, a Cela o zjawiskach przyrody zaobserwowanych w pobliżu naszego bloku. Rosną tu iglaki wszystkich gatunków, kwitną forsycje, pojawiły się karmniki dla ptaków i pierwsze kwiaty. Nie przypuszczałam, że mamy taką różnorodność przyrody koło domu.

Codziennie dzwoniemy do znajomych i wysyłamy dużo maili. Dowiedziałam się od przyjaciół z Sandomierza, że na Rynku w Sandomierzu widać tylko dwie osoby, kobietę i mężczyznę, którzy się „dezynfekują” za pomocą butelki z pobliskich Delikatesów. Teraz grozi im za to mandat. Oprócz spożywczych i aptek tylko dwa sklepy są otwarte – sklep erotyczny oraz sklep z bielizną pani Basi, który dotąd zwykle był zamknięty, bo pani Basia siedziała w kościele albo w kawiarni. Na Rynku pojawia się także mężczyzna z kurą i pawiem. Paw okazał się pawicą, wysiedzianą z jaja przez kurkę. Pawica często ucieka i się chowa, wtedy kurka jest niespokojna. U nas uważa się, że paw to zła wróżba, a ja ratowałam reputację pawia mówiąc, że w Indiach paw wróży szczęście, a w buddyzmie tybetańskim paw jest symbolem nieśmiertelności, bo – podobno – nie szkodzą mu trucizny.

(PS: Zastanawiałam się, czy kurka i pawica przeżyją Wielkanoc. Tak, obie nadal defilują po Rynku).

Gazety pełne są dobrych rad psychologów, filozofów, lekarzy i dietetyków na czas zarazy. Wracając z czasów starożytności stare szkoły stoików i maksymy poetów. Można wybrać ćwiczenia oddechowe, medytację jogi lub gimnastykę. Lekarze radzą teraz długo spać, osiem – dziewięć godzin, a jeszcze niedawno zalecali sześć do siedmiu godzin snu. Zawsze aktywni celebryci radzą czytać dobre książki i uzupełniać zaległości filmowe i teatralne on-line. Inni zachwalają uroki skromnego, prostego życia w zwolnionym tempie.

Te wszystkie rady dobre były na początku epidemii, teraz wydają się zbyt łatwe. Liczba ofiar powiększa się – z powodu zakażenia albo utraty miejsc pracy. Liczba strat jest bezgraniczna. Trudniej o radę, jak przemienić własną frustrację i lęk we współczucie dla tych, którym nie doskwiera widmo nudy, tylko bezrobocie i bieda. Najbardziej mnie drażnią morały, że pandemia to kara za konsumpcjonizm i zniszczenie planety, za jedzenie mięsa albo za weganizm i homoseksualizm oraz naiwna wiara, że cała ludzkość się nawróci na ekologię i wszelkie cnoty. Optymiści liczą na pozytywną zmianę stylu życia na bardziej ekonomiczny i ekologiczny. Czy zrezygnujemy z bezmyślnej konsumpcji? Prawdopodobnie jedni będą kupować mniej albo wcale, przestaną jeść mięso i latać samolotem, a inni na odwrót – powetują sobie przymusowe wyrzeczenia, jak Chinki z Wuhan, które natychmiast wykupiły cały towar w luksusowych butikach Hermesa.

28 marca

Wszystkie sposoby radzenia sobie z lękiem zawodzą, gdy się otworzy wiadomości w telewizorze. We Włoszech umarło w ciągu jednej doby ponad siedemset osób, jak przeczytaliśmy na pasku wiadomości. Dopiero widok rzędu trumien był porażający. We Włoszech w domu opieki pensjonariusze umierają bez pomocy jak przed wiekami w czasie „czarnej śmierci”. Czytam – bo wolę tego nie oglądać – o przepełnionych kostnicach. U nas w punktach epidemiologicznych zarażeni i chorzy na inne choroby czekają na badanie w wielogodzinnych kolejkach stłoczeni i głodni, niektórzy mdleją ze stresu i wyczerpania. W poczekalniach SOR-ów zarażeni kontaktują się z innymi.

Przyjaciół Ewy mieszkający w Anglii zadzwonił, by opowiedzieć, że jego znajoma znalazła się z koronawirusem w szpitalu pod Londynem. Nikt

jej nie leczy, nie pomaga, nawet nie podaje wody. U nas już bywa podobnie, tyle że chorzy umierają bez opieki w swoich domach na COVID-19 albo na inne choroby. Nie ma testów, a do szpitala trudno się dostać. W najgorszej sytuacji są izolowani i opuszczeni mieszkańcy domów pomocy społecznej we Włoszech, w Hiszpanii i u nas. Obawiam się, że ta pandemia może doprowadzić do stygmatyzacji ludzi starych, których egzystencja będzie traktowana jako zagrożenie i obciążenie dla budżetu państw. Boję się izolacji starych ludzi w przestrzeni publicznej, wykluczenia, które można by obłudnie tłumaczyć działaniem dla ich własnego dobra. Wolałabym jednak nie rozwijać tego tematu.

Wielka Brytania ponosi koszty nieracjonalnej strategii swojego przywódcy Borisa Johnsona. Premier długo zwlekał z ogłoszeniem restrykcji związanych z epidemią, zgodnie z koncepcją – absurdalną z medycznego punktu widzenia – odporności zbiorowej Brytyjczyków. Ale koronawirus to nie ospa wietrzna – nie da się uniknąć ofiar śmiertelnych. Wszystkie strategie lekceważenia tego wirusa prowadzą do narażania życia ludzi starych i słabych. U nas tę strategię wykorzystują niektórzy biskupi, protestujący przeciwko ograniczeniu masowych praktyk religijnych, oraz prezes PIS-u, który walczy o władzę absolutną, prowadząc swoją cyniczną grę bez względu na koszty. Orbanowi na Węgrzech już się to udało.

Wybory prezydenckie w trakcie pandemii byłyby szaleństwem. Jarosław Kaczyński – podobnie jak arcybiskupi Dzięga i Depo, który twierdzi, że koronawirus jest mniejszym zagrożeniem niż gender – lekceważy zdrowie i życie Polaków. W obu wypadkach chodzi o żądzę władzy. Kaczyński testuje granice swojej władzy, do której zawsze dążył i gotów ją utrzymać po trupach – dosłownie, czego zresztą nigdy nie ukrywał. Niech zdychają wszyscy – poplecznicy i przeciwnicy, niech giną zarówno nasi jak i „zdrazieckie mordercy”, byleby jego figurant dalej grał swoją rolę.

Niestety, zamiast wymaginowanego, wykreowanego wroga publicznego (uchodźców, elit, niepełnosprawnych, sędziów, osób LGBT) działa wróg realny – wirus. We Francji w wielu komisjach wyborczych były liczne przypadki zarażenia koronawirusem mimo największych ostrożności. Urny wyborcze łatwo mogą zamienić się w urny pogrzebowe. Urny zamiast respiratorów. Jak powiedział Donald Tusk: „Tylko wariat albo zbrodniarz mógłby proponować ludziom pójście do lokali wyborczych” (cyt. za Jarosławem Kurskim, *Kaczyński rozkazuje, by lądować we mgle*, „Gazeta Wyborcza”, 26 marca 2020). „Wybory są potrzebne dla politycznej stabilizacji” – twierdzi prezes (cyt. za M. Wojtczuk, *Wyborczy bunt burmistrzów*,

„Gazeta Wyborcza”, 28-29 marca 2020) . Tym razem jest szczerzy – każdy autokrata potrzebuje w końcu politycznej stabilizacji, nawet psychopata. Psychopaci zawsze dążą do pełni władzy nad ludźmi, tłumiąc ludzkie uczucia, jeśli je mają. Pielęgnują resentyment i mściwość, zamieniając własne poczucie winy i upokorzenia w nienawiść. Dziś używa się raczej pojęcia osobowość aspołeczna i rozszerza pojęcie psychopatii na różnych mistrzów manipulacji w rodzinie, w korporacjach, w polityce.

Wstydzę się przyznać, że momentami bardziej się przejmuję groźbą utrwalenia władzy PIS-u niż koronawirusem. Staram się nie poddawać falam lęku. Groźba zarażenia podlega prawom statystyki i losu, może wyzwolić stoicką *amor fati*, natomiast opresja polityczna budzi poczucie upokorzenia i permanentną złość. Pandemia koronawirusa to ślepa, biologiczna siła, żywioł atakujący wszystkich bez różnicy, a władza PIS-u to ludzka skaza, zło intencjonalne. Znaleźliśmy się w podwójnych kleszczach.

Kaczyński przypomina żywego trupa z horroru zamieniającego wszystkich wokół siebie w zombie – „polityczne eunuchy” (termin Ludwika Dorna), bezwolnie wykonujących jego rozkazy. Czekałam na jego kolejną rozgrywkę. No i dziś mamy mat – uchwalony w nocy 27 marca nowy, niekonstytucyjny regulamin wyborów 10 maja, dzielący wyborców na dwie kategorie, osoby po 60 roku życia mają głosować w Internecie albo zamówić ryzykowną urnę do domu. Już udało mu się skłócić opozycję.

Co nas czeka po epidemii? Już od kilku lat sięgamy po lektury dawnych i współczesnych dystopii. Wielkim powodzeniem cieszą się powieści Margaret Atwood i kontynuacja „Opowieści podręcznej”, „Testamenty”. W czasie rządów PIS-u powstał bogaty nurt polskiej dystopii; pisarze kreują światy, w których opresja polityczna łączy się z religijną. W Stanach powstał serial według powieści Philipa Rotha *Spisek przeciwko Ameryce*. Roth przedstawił współczesną Amerykę, która została opanowana przez rodzimy faszyzm z ksenofobiczną, antysemicką ideologią. Epidemie zawsze wywoływały fale ksenofobii. Można się o tym przekonać badając historyczne nazwy:

W 1918 r., zanim przyjęła się nazwa *hiszpanka*, Brazylijczycy nazywali tę chorobę *grypą niemiecką*, Senegalczyki – *brazylijską*, Polacy – *bolszewicką*, a Duńczycy uważali, że przyszła z Południa. Teraz obwinia się Chińczyków (por. L. Spinney, *Czarne msze i zamknięte granice*, „Forum” 2020, nr 7) .

W XVI w. Anglicy uważali, że *syfilis* pochodzi z Francji, mówili więc o nim „*franca*”. Francuzi, którzy uważali, że pochodzi z Neapolu, nazywali go „*chorobą neapolitańską*”. W Rosji była to *choroba polska*, w Polsce *turecka*, a w Turcji *chrześcijańska* (A. Kucharski, *Prawa epidemii. Skąd się*

epidemie biorą i dla czego wygasają. Cyt. za K. Jałochowski, *Epidemia, czyli czas*, „Polityka” 2020, nr 15).

3 kwietnia

W pesymistycznych rozważaniach o przyszłości publicyści najczęściej przywołują wizje filmowe z *Mad Maxa* i *Jokera* – plemienne walki o zasoby oraz bunt wykluczonych, który niszczy porządek społeczny. Regres cywilizacyjny może być nie tylko skutkiem pandemii, ale i celem działań politycznych. Stefan Chwin obserwuje, jak Kaczyński z żelazną konsekwencją wciela w życie swój projekt ustrojowy – państwo narodowo-katolickie z ograniczeniem praw obywatelskich i powrotem patriarchy. Zdarzają się również proroctwa pozytywne. Marcin Król obawia się egoizmu społecznego i zniszczenia państwa, a równocześnie dostrzega możliwość zmiany świadomości społecznej w kierunku racjonalizmu, odbudowy szacunku dla nauki oraz współpracy ludzi nauki w sferze polityki. Marcin Król nawołuje do współdziałania już teraz, w czasie pandemii. Dostrzega widmo pauperyzacji społeczeństwa.

Najgorsza fala zakażeń dopiero nas czeka. Kolejne kalkulacje prezesa to wybory on-line albo korespondencyjne, które nie podlegają kontroli społecznej, a wyniki mogą być sfałszowane. Każdy tryb wyborów korespondencyjnych jest faktycznie bezprawny. Co dzień przekraczamy granicę kolejnego kręgu zniewolenia.

„Nauka nas zawiodła, trzeba wrócić do religii” – stwierdził rzecznik prezydenta Dudy. Chyba po to, żeby modlić się o szczepionkę na koronawirusa. Kościół katolicki zdradził swoich wiernych, sprzedał ich za srebrniki władzy.

Czeka nas nowe średniowiecze? Niestety, nie chrześcijańskie, tylko narodowo-katolickie. Czy nowe oświecenie? Czy jedno z drugim?

30 kwietnia 2020 r.

Już szósty tydzień kwarantanny. Dobrze nam się żyje w domu. Jemy dobre rzeczy. Czytamy i oglądamy dobre filmy wraz z kotem ściśniętym w fotelu. Wracamy do Kiesłowskiego i Felliniego. Cela pisze swój *Pamiętnik, co robię w wolnym czasie* i ma spotkania Teatru 21 na Zoomie. Tyle jest do zrobienia, że mam problem z chodzeniem spać przed świtem. Tadek też za późno się kładzie i potem ma kłopoty z bólami w nogach.

Zmieniła się pora roku z przedwiośnia na gorącą wiosnę. Warzywa zgromadzone na balkonie na początku kwarantanny zaczęły się psuć. W piwnicy kartofle też kiełkują. Nie robimy już nowych zapasów.

Przed Wielkanocą przypomniały mi się klimaty PRL-u, gdy usiłowałam zdobyć coś lepszego na Święta. Przed naszym Lidlem ustawiła się wielogodzinna, zamaskowana kolejka. Zrezygnowałabym z zakupów, gdyby nie jeden pan, który wpuścił mnie z Celą przed siebie. Potem Cela usiadła na murku, a ja upolowałam wielką kurę, lepsze sery i wędliny, których nie ma w Żabce (choć ja sama nie jem mięsa).

Wiosna szaleje. W sąsiednim ogródku zakwitła magnolia, kwitną tulipany i bzy. Obserwujemy z Celą, jak formują się małe szyszczyki, zbieramy różne „kotki” wierzbowe i brzoźowe, umiemy odróżnić tuję, czyli żywotnik zachodni, od cyprysika nuskajskiego, sosnę od daglezji. W ogrodzie sąsiadów zakwitła magnolia, a bzy już się szykują do akcji. Aż się dziwię, że wcześniej nie dostrzegałam przyrody w mieście i nie śledziłam pór roku razem z Celą. To się nazywa *plant blindness* – ślepotą na rośliny. Od lat zbieramy minerały, łapiemy owady do pułapki (i wypuszczamy), ale potrzebny był koronawirus, żeby zauważyć bogactwo świata roślin. Doceniłam to, że w naszej dzielnicy zieleń jest różnorodna i zadbana. Teraz martwi mnie każde uschnięte drzewo. Nie ma różnicy między naszą działką a światem. Przynosimy do domu ze spaceru za tory bukiety polnych kwiatów. Tylko martwię się, że Tadek ze swoim Parkinsonem za mało chodzi.

A jednak mam wrażenie, jakbym patrzyła na ten piękny świat przez szybę. Świat przyrody sugeruje vitalność i siłę odrodzenia, a nam grozi zamrożenie rozwoju. Tadek powiedział, że czuje się tak, jakby oglądał wspańiałe przyjęcie, na które nie zostaliśmy zaproszeni. Pozytywne możliwości bycia w domu wyczerpały się, już nas nie kuszą nieprzeczytane książki, nieobejrżane filmy, domowe obiady, nowe smaki. Czai się depresyjka, „depresjunia”, jak mawiał Miron. Słabiutka, bo przecież trzeba na co dzień cieszyć się życiem wraz z Celą.

Tęsknimy za Warwarą, za naszym stołem w ogrodzie i plażą. Śni mi się pływanie. Tylko dlaczego w moich snach Morze Czarne jest zimne? W wyobraźni często szykuję się nad morze z Tadkiem i Celą, schodzę ostrożnie po stromych schodach na plażę i wypływam daleko. W drodze powrotnej wstępujemy do baru Warnata albo do Centralu na piwo lub rakiję. Justyna i Marek, Dorota i Dawid już tam czekają.

Obejrzelismy z Tadkiem film Mike'a Leigha *Mr. Turner* – to arcydzieło. Reżyser bada tajemnice sztuki malarskiej i ludzkiej psychiki. Mistyka światła jak na obrazach Turnera.

Zaczynamy się przyzwyczajać do kontaktów i zebrań w sieci. Wiernie służą nam Skype i Zoom, zainstalowane z wielkim trudem. Jak pisze Sylwia Chutnik, pytanie „słyszać mnie?” będzie powiedzeniem roku 2020 (por. „Wysokie Obcasy” 2020, nr 19). Na moim komputerze mnie nie słysząc, muszę korzystać z komputera Tadka. Ceka ma próby Teatru 21 oraz zajęcia ruchowe zwane *gyrokinesis*. Nasze majowe spotkanie poetyckie z przyjaciółmi odbyło się na Zoomie. Jak co roku, każdy przygotował kilka wierszy na zadany temat. Tym razem były to wiersze o kwiatach i ogólnie o przyrodzie: Leśmian, Tuwim, Gałczyński, Broniewski, Mandelsztam, Blake po angielsku, Leopardi po włosku. Najpierw jest wielka radość, że się widzimy i słyszymy. Poezja robi swoje – przez dłuższy czas trwa iluzja rzeczywistego spotkania. A na koniec melancholia z nostalgią, bo spotkanie na ekranie nie zastąpi bezpośredniego. W realu potrafiliśmy gadać godzinami, a wirtualne wizyty są dziwnie krótkie. Wieczory literackie i dyskusje w sieci są męczącym obowiązkiem. „Nie ma frajdy” – jak powiedziała Justyna. Krzysztof Gierat, dyrektor Krakowskiego Festiwalu Filmowego stwierdził, że ekran telefonu czy komputera „tłumi uczucia”. Ktoś porównał życie towarzyskie w sieci do „wyrobów czekoladopodobnych” z czasów PRL-u.

Co nowego na czas majówki? W kwestii dyktatorskich rządów PIS-u i absurdalnych procedur wyborczych zmieniających co dzień niewiele się zmieniło. Czekamy na decyzję opozycji, czy wziąć udział w wyborach korespondencyjnych, czy je zbojkotować. Opcje działania czy niedziałania nie dają większych szans kandydatom opozycji.

A co jest najgorszego, czego się nie spodziewałam? To hejt wobec lekarzy, pielęgniarek i ratowników medycznych. Jak mówi ratownik: „Dostajemy brawa na balkonach rano, a pogardę w sklepie wieczorem” (por. „Gazeta Wyborcza” z 17 kwietnia 2020). Dziś już nie słysząc oklasków, pozostały szykany – jak w rysunkowym dowcipie z facetem, który pod gabinetem lekarskim się zastanawia, czy bić brawo, czy bić w mordę. Dziecko lekarzy nie mogło zostać zapisane do przedszkola na przyszły rok; na piekarni pojawiła się kartka „Zarażonych i lekarzy nie obsługujemy” (właścicielka piekarni zdjęła kartkę i przepraszała). Sąsiedzi oblewają drzwi i auta pracowników służby zdrowia farbą, żeby się wynieśli z bloku. Przedmiotem hejtu stali się także ozdrowieńcy. Pewnie dalej zarażają zgodnie z nowym zabobonem. Prawem paradoksu jedni negują możliwość zarażenia, a inni

przeżywają stan totalnego zagrożenia z cudzej winy. Lęk przekształca się w agresję, a agresja domaga się szukania kozła ofiarnego.

Niechęć do medyków jest nie tylko podyktowana przez lęk i fałszywy obraz rzeczywistości. Pracownicy medyczni, a zwłaszcza osoby, które dobrowolnie zamknęły się w domach pomocy społecznej i na oddziałach zakaźnych, są godne szacunku i najwyższego uznania. Lekarzy, pielęgniarki i ratowników się piętnuje, bo ludzie nie lubią tych, którym coś zawdzięczają – to jedna z podstawowych i gorzkich prawd psychologii społecznej. To jeden z wielu czynników hejtu. Ludzie boją się uzależnienia od cudzej pomocy i dobrej woli. Przedmiotem hejtu w Internecie i czynnej napaści na ulicach stali się również Azjaci. Pobity został kucharz Chińczyk z polskim obywatelstwem i chińskie studentki. Dotąd właściciele i pracownicy orientalnych knajp cieszyli się sympatią. A teraz lud zawsze szukający winnego skojarzył ich z pandemią.

We wszystkich czasopismach straszy ta sama ilustracja – dawniej komiczny, a dzisiaj złowrogi wizerunek francuskiego medyka z XVII w. w masce z ptasim dziobem, długiej pelerynie i rękawicach – z dzisiejszej perspektywy to był całkiem praktyczny strój. Chętnie czytamy o dawnych plagach, wszędzie pojawiły się artykuły historyków na ten temat. Zaraza Antoninów w starożytnym Rzymie, plaga Justyniana i najślawniejsza pandemia dżumy z XIV w., w czasie której powstał *Dekameron* Boccaccia – remedium na apokalipsę. Wracamy do lektury *Dziennika czasu zarazy* Daniela Defoe. W średniowiecznej Italii zdarzały się nie tylko oskarżenia Żydów, ale także procesy przeciwko medykom i grabarzom o celowe rozsiewanie zarazy. Oskarżeni grabarze musieli wyznać urojone winy na torturach i zostali skazani na stos. W Polsce w XVII i XVIII w. również oskarżano grabarzy i cyrulików.

Umarł Jerzy Pilch. W „Polityce” czytam ze wzruszeniem jego felieton, chyba ten ostatni (napisany wspólnie z Kingą Strzelecką) *Wakacje za 7 miliardów*, w którym ironizuje na temat „bonu turystycznego”, nowego prezentu dla społeczeństwa, ale tylko dla pracujących na etatach, a nie dla opiekunów osób chorych i niepełnosprawnych, którzy najbardziej go potrzebują. Nie brak tu czarnego humoru, ale zamiast dowcipnej puenty jest gorzka refleksja o tym, że koronawirus wszystkich zrównał tylko pozornie, wykluczeni pozostaną na marginesie życia:

„Za sprawą kwarantanny weszliśmy w skórę osób wykluczonych: maseczki, rękawiczki, środki do dezynfekcji, izolacja od znajomych czy rodziny, brak rozrywek, dostępu do kina. To jest dokładnie to, co spotyka

niejednego chorego. Kiedy skończy się ten dziwny czas, wszyscy wrócimy do normalności, do obowiązków, złapiemy poprzedni rytm, dogonimy załegłości, a dla całej rzeszy ludzi nie zmieni się nic” (J. Pilch, K. Strzelecka, *Wakacje za 7 miliardów*, „Polityka” 2020, nr 22).

Historycy idei podkreślają niejednoznaczność zmian społecznych wywołanych przez pandemię, w czasie których pokutowali biczownicy, cieszyli się swobodą rozpustnicy, żerowały na zarażonych ludzkie hieny, a ludzie szlachetni służyli chorym pomocą. Plagi najczęściej hamowały rozwój cywilizacji, ale czasem przyspieszały bieg historii, na przykład w czasach Reformacji. Czy można mieć nadzieję, że obecna pandemia przyczyni się do pozytywnej zmiany świadomości społecznej?

Przeważają głosy pesymistów. Marcin Król przepowiada świat niedoboru, który zastąpi erę szalonego konsumpcjonizmu. Tadeusz Gadacz obawia się panowania chaosu i anarchii w rezultacie podważenia zasad moralnych i powszechnego łamania prawa (por. *Mdłości. Prof. Tadeusz Gadacz o władzy, bezprawiu i bezsilności. Rozmawia M. Święchowicz*, „Newsweek”, 1-7.06.2020). Wraz z pesymistami i optymistami, wierzącymi w moce odrodzenia ludzkości i nowy ład światowy, wypowiadają się czarnowidze, zwani po angielsku *doom-mongers*. Modnym terminem stał się „klif Seneki”. W liście do przyjaciela filozof stwierdził, że cywilizacje rozwijają się powoli, stopniowo, a upadają w trybie przyspieszonym. Jeszcze niedawno popularna była teza Francisa Fukuyamy o powszechnym panowaniu demokracji liberalnej. To miał być kres historii, korona dziejów. Dzisiaj również natrafiamy na wróżby końca historii w postapkaliptycznych powieściach i filmach. Są to przepowiednie nie tylko kresu neoliberalizmu i rozpasanej konsumpcji, ale powrotu do średniowiecza – jak w powieści Roberta Harrisa *Drugi sen* – albo do stanu „wojny wszystkich przeciwko wszystkim”.

Teraz nie mówi się o czasie kwarantanny (w szerokim sensie), tylko o czasie zamknięcia, czyli z angielskiego *lockdown*. Z nowych wyrażen najbardziej pożądane jest „spłaszczenie krzywej zachorowań”.

Zastanawiam się, co będzie dalej? Już na początku pandemii prof. Flisiak, lekarz zakaźnik, powiedział, że ten wirus zostanie z nami. Wtedy nie uświadomiłam sobie, co to może znaczyć. Dopiero teraz dotarł do mnie sens tej wypowiedzi. Epidemie nie wygasają całkiem. Koronawirus może powrócić szerokim frontem, a może też tlić się i zakażać niewielką liczbę osób. Czy ograniczenia sanitarne mają z nami zostać na zawsze? Młodzi łatwo się przyzwyczajają do stanu permanentnego ryzyka i przystosują.

A starzy? Czy będziemy musieli unikać spotkań, kawiarni, kin i teatrów? Czy trzeba będzie wybierać między bezpieczeństwem a życiem towarzyskim? To perspektywa nie do zniesienia.

Czy odważymy się żyć normalnie?

Anna Sobolewska
2020

Jerzy Binkowski

Modląc się o świat

Kruchość Krystyny Koneckiej jest piękną książką. Jak aksamit. Tę książkę prowadzi harmonia.

Zadaniem czytelnika jest rozpoznanie akordów. Trzeba usłyszeć piękno dźwięków.

Słowa i architektoniczne piękno sonetu trzeba wydobyć spośród tajemnicy kruchości tego, co w fotografiach ma kontury, a jest szare. Trzeba przyjąć perfekcję obrazu za mgłą i dramatyczną samotność poetki. Wtedy wszystko będzie na swoim miejscu. To jest *cantata sonetti a corona* – wzruszające delikatnością i smakiem artystycznym połączenie obrazu, muzyki słowa i ich sensu.

Już wyjaśniam pewną tajemniczość powyższego akapitu. Znam wiele książek prezentujących twórczość poetów. Najczęściej białą przestrzeń kartki wypełniają równo wydrukowane słowa. Gołe słowa. To z nich autor tworzy rytmy, sensory, gry, metafory. Wiele książek zawiera ilustracje, które są obrazami o treści wspomagającej znaczenie słowa poetyckiego. Tym razem oprawa graficzna, cały wysiłek edytora skupił się na tworzeniu nastroju poprzez styl prezentowanych zdjęć. W szarościach obrazów-fotografii Krzysztofa Korotkicha gubią się kolejne sonety. Trzeba szczególnego skupienia oraz wstępnego szacunku dla starożytnej formy wiersza, aby przyjąć perfekcję obrazu za mgłą i potem dotrzeć do poważnej muzyki klasycznej wierszy Krystyny Koneckiej:

V

*Ktoś przyjazny śle zdjęcie, bym podziwiać mogła
świat natury. Odległy od nas zatrzaśniętych
w klaustrofobicznych klatkach. W blokowiskach pięter
gdzie każdy śni oddzielnie. Jak samotny obłok.
Nie chcę wierzyć, że woda i pełnia księżyca,
i ten kadr z podtopioną chybotliwą kładką,
i ten z bezkresnym niebem to kwestia przypadku.
Leśny dukt... Na zmurszałym pniu drżąca kapliczka...*

*Zjawia się myśl. Niepewna jak szept fal u brzegu.
 Stanie się metaforą? Czy będzie mi sprzyjać?
 Nikt nie wie (to Owidiusz) co wiersz w sobie kryje.
 Dlatego każdy szuka w nim czegoś innego.*

*Może słowem osłonię przed mgłą i chaosem
 nad jeziorem poezję zachodu. Tymczasem.*

Motywy rozpoznane na fotografiach: woda, pełnia księżyca, kadr z podtopioną a chybotliwą kładką, bezkresne niebo, leśny dukt... Pytasz, czy to tylko kwestia przypadku? Nie, Krystyno, to nie kwestia przypadku. Niektórzy gotowi odczytać takie znaki harmonii i wzajemnej inspiracji jako znaki z Nieba, jako znak Opatrzności. Uzupełniacie się wzajemnie fotograf i poetka. Jesteście kompatybilni. Współgrający. Z pewnością efekt ten jest zasługą osób redagujących książkę – kanadyjskich projektantów „punkt.ca”. Ich uważność i empatia doprowadziły edycję do estetycznego i poetyckiego mistrzostwa. Dodatkowo, w ośmiu obrazach z szesnastu fotografii zatrzymany jest wiatr. Proszę sprawdzić. Książkę zamyka kadr, zatrzymujący nie tylko wiatr, ale i czas. We mgłę nie ma czasu. Mgła trwa. Gdy mgła znika, a jesteśmy wewnątrz obłoku mgły, spostrzegamy, że unosi się ona w górę i odzyskujemy poczucie rzeczywistości. Rzeczywistość spostrzegamy jako chaos, gdy docierają do nas fakty trudne do zrozumienia i bywamy przestraszeni.

Kruczość Krystyny Koneckiej jest pierwszą znaną mi poetką reakcją na dramat rozprzestrzeniania się wraz z wiatrem – śmiertelnego zagrożenia, które dotyczy społeczności wszystkich kontynentów. Jedyne trumny i cyfry przybliżały dramat: ...*A obok Tanatos / niepostrzeżenie groźny w niewidzialnych szatach.*

VIII

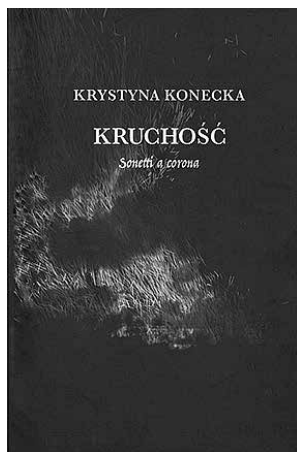
*Niczym wygasający elektrokardiogram
 znika dziecięca ufność. I poczucie złudne
 bezpieczeństwa. Gdy oto mierzymy się z trudem,
 by zło napierające odsuwać od dobra.
 Przysiadamy. Gdziekolwiek. Nie jak przed podróżą
 i nie jak wypatrując niewysłanych listów
 zza morza. Lecz jak biedny frasobliwy Chrystus
 ocalający ptasi i nasz los przed burzą.*

Byliśmy nieostrożni. Beztroscy. I ślepi.
 Dzisiaj zatem – jak pisał poeta anielski
 Andrzej Sulima-Suryn w liście kanadyjskim
 „modłę się o świat – bo nie wygląda najlepiej”.
 I zapytuję wolne ptaki – przerażona
 gdzie się skryć? I czy można? I w czyich ramionach.

„Kruchość przynosi w tej mierze sugestywną i jedyną na tak sformułowane pytanie odpowiedź: w pięknych i mądrych wierszach. A szerzej: w sztuce! Ta tylko bowiem nadaje sens naszej ulotnej egzystencji. I tylko ona będzie jedynym śladem, który po nas zostanie”.

Powyższe zdania zawarł Edward Zyman w *Posłowniu* prezentującym zwartą biografię literacką Krystyny Koneckiej i zachwyt nad najnowszą publikacją sonetów autorki. To właśnie Edward Zyman był inicjatorem i *spiritus movens* przedsięwzięcia edytorskiego grupy Polaków zamieszkałych w Kanadzie a zrzeszonych w Polish-Canadian Publishing Fund. Książkę starannie wydrukowano w Białymstoku, w Drukarni Biały Kruk.

Jerzy Binkowski



Krystyna Konecka
Kruchość. Sonetti a corona
 Toronto 2020
 Str. 48

Jerzy Binkowski

Pomiędzy dłonią a niebem

Przydrożne kapliczki

Ktoś chciał objawić wiarę, nadzieję i miłość. Postawił na swoim polu kapliczkę. Przechodząca ścieżką osoba widzi sylwetkę mężczyzny, wyrzeźbioną w lipowym drewnie. Mówi: „O, świętek. Czy to święty Józef?”. Postać młodej kobiety zazwyczaj odzianej w blask bieli i w niebieską niebieskość nieba, wzrusza nas szczególnie. „O, Niepokalana” – mówimy. O cierpieniu i bólu przypomina nam sylwetka mężczyzny, którego głowę wieńczy korona cierniowa. Mówimy: „Chrystus frasośliwy”. Zwyczajne kapliczki. Ludowe, a więc z ludu, ludzkie.

Przez wieki na polskiej ziemi stawiano znak więzi między Niebem i Ziemią – *religio*. Po co ludziom kapliczki? Odpowiem pytaniem: Po co ludziom Niebo? Od zawsze człowiek wyciąga dłonie w stronę nieba i szepcze: Panie, czekasz na mnie, prawda? Patrzysz na mnie z nadzieją, czyż nie? Panie, gdzie jesteś? Niebo odpowiada natchnionym milczeniem.

W ciszy sięgamy po najdelikatniejsze, najcichsze literki, z których złożymy słowa. Swoimi słowami będziemy się modlić. Modlitwa poetycka. Stawiamy je, obok naszych marzeń i tęsknot, jak bukiet wielobarwnych i pięknie pachnących kwiatów – konwalii, maciejki, goździków, floksów. Tęsknimy za miłością wstrząsającą, ostateczną, wieczną. Kwiaty w kapliczkach są wyrazem naszego spazmu płaczu, ale i śpiewu, głębokiej samotności i uwielbienia, niepewności i dziękczynienia. Zwyczajne wariactwo w gąszczu historii pytań bez odpowiedzi. Wiara. Stoimy jak ludowe świętki w kapliczkach naszych słów, naszych wierszy.

Redaktorki, znane poetki, Regina Kantarska-Koper i Joanna Pisarska, zaprezentowały około 300 wierszy w antologii poświęconej pamięci Ojca Świętego Jana Pawła II, która ukazała się w maju 2020 roku, pt. *Pomiędzy dłonią a niebem*.

Antologia została włączona do międzynarodowego projektu „Dar na stulecie”, zainicjowanego przez Instytut Tertio Millennio z okazji setnej rocznicy urodzin świętego. W ten sposób razem z wieloma ludźmi dobrej woli redaktorki chciały zbudować duchowy pomnik serc i umysłów w myśl

słów: „Człowiek staje się wolny poprzez dar z siebie” (Jan Paweł II, *Centesimus Annus*).

Przypomnę, że pojęcie antologia wywodzi się ze starożytnej Grecji, gdzie *anthos* oznacza ‘kwiat’, a *lego* ‘zbieram’. Dosłownie więc *zbiór kwiatów*.

Kwiaty poetyckie 20 autorów o znanych nazwiskach umieszczono w kaplicach: *W zmaganiu*, *Nie zgubić wartości*, *Wołam do Ciebie, Panie, Matka, która pod krzyżem stała*, *W cieniu krzyża*, *kapliczki*, *ikony*, *Poblask Ewangelii*, *Wewnętrzne sanktuarium*, *Spotkanie z człowiekiem*, *Pomiędzy światami*, *Niebiescy opiekunowie*, *Papież z Wadowic*. I właśnie przed tą „kapliczką” – *Papież z Wadowic* umieszczono jedyny w tym tomie wizerunek Jana Pawła II – rysunek kilkunastoletniej Julii Magdaleny Koper. Możemy się domyślać, że Julia jest wnuczką Reginy Kantarskiej-Koper, co wskazuje na istnienie sztafety artystycznych pokoleń. Rysunek przedstawia uśmiechniętego Jana Pawła II, który wzniesioną lewą dłonią wskazuje kierunek. Wzwyż. To jest także przesłanie tej książki.

Bez ogromnego zaangażowania poetek Kantarskiej-Koper (*łac. canto, cantare* – *śpiewać*) i Pisarskiej (*pisać*), ta wielobarwna łąka poetycka nie zaistniałaby w świadomości społecznej. Wszyscy autorzy złożyli hołd świętemu papieżowi, jednak przede wszystkim dzięki Paniom redagującym książkę otrzymaliśmy znak duchowości poetów kręgu Nauczycielskiego Klubu Literackiego.

Wyraz *kaplica* ma etymologię od średniowieczno-łacińskiego *kapla* ‘kazanie gnieźnieńskie’ (XIV w.), z tego wzięło się też zdrobniałe *capella* ‘kapliczka’, wszystko za pośrednictwem staroczeskiego *kapla*, zdrobniałe *kaplicě*, i niemieckiego *Kapelle*. Jest to niewielka chrześcijańska budowla sakralna. Dzięki kapliczkom widzialna stała się duchowość. Czy ktoś widział duchowość? Czy ktoś widział gorączkę? Jest niewidzialna. Natomiast wszyscy, jak żyjemy, znamy objawy gorączki. Mimo tej samej temperatury wskazywanej przez termometr, objawy przy tej samej wysokości wskaźnika, bywają różne u różnych osób. Objawy, nawet u tej samej osoby a przy wskaźniku na przykład 38,9°C, bywają różne w odmiennych okolicznościach.

Żeby zaprezentować objawy swej duchowości, osoba musi mieć podwyższoną temperaturę serca. Wskaźnikiem temperatury serca jest dynamiczne życie wewnętrzne. Wśród tłumu wyodrębni się ta osoba, która zaznaczy swoje indywidualne cechy, konkretne sprawności, decyzje, talenty,

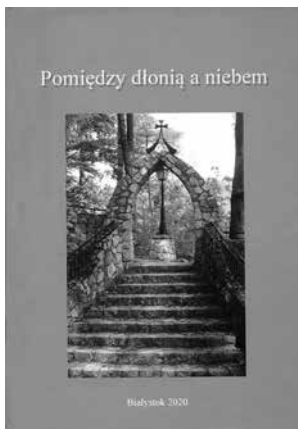
wartości, którym podporządkuje styl i jakość swego życia. To jednak nie wszystko. Więc co musi się wydarzyć, aby duchowość zobaczyć?

Religijność bezobjawowa nie jest religijnością. Dziękuję za wszystkie poetyckie refleksje, modlitwy, znaki zapytania i wykrzykniki.

Jerzy Binkowski

Pomiędzy dłonią a niebem

Red. Regina Kantarska-Koper, Joanna Pisarska
Nauczycielski Klub Literacki w Białymstoku
Białystok 2020
Str. 204



Sylvia Gibaszek

Saturator z awangardą

Festiwal teatralny Saturator odbywający się w Garwolinie już drugi raz za gościł na kulturalnej mapie Mazowsza.

Przed rokiem między 13 a 15 września Mazowiecki Instytut Kultury, Miasto Garwolin i Centrum Sportu i Kultury w Garwolinie zaprosili wszystkich miłośników teatralnych wrażeń do udziału w wyjątkowym wydarzeniu. W programie były przedstawienia dla dzieci i dorosłych, spektakle teatrów ulicznych z Polski i zagranicy, występy zespołów lokalnych oraz parada teatralna ulicami miasta.

W dniu 12 września bieżącego roku ponownie miałam okazję uczestniczyć w powyższym wydarzeniu.

Festiwal, jak piszą organizatorzy, odbywał się pod hasłem „Mimo wszystko”. Pomimo szalejącej nadal pandemii covid i związanych z kryzysem ograniczeń budżetowych, Garwolin kolejny raz zorganizował imprezę niezwykle wysmakowaną artystycznie. Prezentowane były spektakle działającego od wielu lat miejskiego Teatru Rękawiczka oraz prace z gatunku video art młodych lokalnych twórców, jak również widowiska znanych w Polsce i na świecie artystów scenicznych.

Organizatorzy Saturatora postawili na awangardę, co bardzo mnie ucieszyło. Nie wszędzie na co dzień można obejrzeć spektakle, które są widowiskami multimedialnymi i bardzo brawurowymi przedsięwzięciami, wręcz eksperymentami społecznymi. Mam na myśli projekt *Arka* Teatru Ósmego Dnia, z ruchomą sceną w postaci pływającego okrętu, który był prezentowany na najważniejszych festiwalach europejskich, a także w Singapurze, Meksyku czy Wenezueli oraz „Cykl” Teatru Usta Usta, mocno zacierający granice między tym, co realne i wirtualne.

Największe wrażenie na tegorocznym Saturatorze zrobił na mnie jednak monodram *Krzywe zwierciadło wielkiej K*, autorstwa garwolińskiego aktora Teatru Rękawiczka, Michała Lasockiego. Artysta napisał niezwykle ciekawy tekst, mocno osadzony zarówno w kulturze popularnej, jak też wysokiej. Monodram Lasockiego można czytać na wielu poziomach. *Krzywe zwierciadło wielkiej K* to satyra wyszydająca kanony piękna kultury pop, oparte na sztuczności – plastiku i silikonie. Każdy wartościowy tekst satyryczny zawiera oczywiście głębsze pokłady znaczeniowe. Wówczas

śmiej jest upiorny albo przez łzy. Czarny humor dostarcza zwykle powodów do gorzkich refleksji.

Michał Lasocki śmiał się jak bohater znakomitego dzieła filmowego minionego roku pt. *Joker*. Kto oglądał Joaquina Rafaela Phoenixa w roli tytułowego „żartownisia”, pamięta złowieszczy nerwowy chichot. Był to histeryczny atak śmiechu jako wyrazu bezradności człowieka, który nie odnajduje się w otaczającym świecie. Jest inny, słaby psychicznie i dlatego wyrzucony poza społeczny nawias. Joker z powodu zaburzeń osobowości, kruchości emocjonalnej doświadcza permanentnie odrzucenia, przemocy i upokorzeń. Przemoc rodzi przemoc i okazuje się, że nerwowy śmiech poprzedza akty potwornego zła. Arthur z ofiary staje się katem – zaczyna zabijać ludzi. Według mnie nawiązanie do filmu *Joker* ma kluczowe znaczenie w zrozumieniu monodramu Michała Lasockiego.

Autor *Krzywego zwierciadła wielkiej K* staje w obronie – nawiązując do tytułu najnowszej książki Magdaleny Środy – wszystkich „obcych, innych wykluczonych”. Oni też mają swoje historie, są ludźmi współtworzącymi społeczeństwo. Pragną tworzyć, kochać, pracować i być po prostu akceptowanymi. Michał Lasocki zadał pytanie, jak to się dzieje, że poszczególni ludzie w wymiarze indywidualnym są tolerancyjni, otwarci, a jako społeczeństwo stają się zbiorowym szaleńcem? Podobne pytanie postawił pod koniec lat 80. poeta Jacek Podsiadło w utworze zatytułowanym „Społeczeństwo”, gdzie obnaża hipokryzję ówczesnej polskiej zbiorowości i przeciwstawia społeczeństwo ludziom. Ci traktują siebie i innych podmiotowo. Odpowiadają za swoje czyny i starają się przestrzegać zasad moralnych. Społeczeństwo zaś jest bezkarne, nie utożsamia się z konkretnymi przejawami zła, które tu i teraz dzieje się. Społeczeństwo nie odpowiada za dyskryminację owych „obcych, innych, wykluczonych”.

Michał Lasocki w swoim monodramie zdaje się wtórować słowom Jacka Podsiadłego:

*społeczeństwo utrzymuje odmieńców i zapewnia im fachową opiekę
w klinikach psychiatrycznych*

*społeczeństwo buduje dla odmieńców zakłady penitencjarne
by mogli być przywróceniu społeczeństwu*

społeczeństwo jest zdrowe pełne zapału do pracy

W tych słowach czuć gorzką ironię. Przekaz Michała Lasockiego wydaje się być bardziej wprost: społeczeństwo, które jest zbiorowym szaleńcem, nie lubi odmieńców, wypowiada im wojnę. Ostatnio społeczeństwo wciąż słyszało, że LGBT to nie ludzie, to ideologia. Zatem dla „innych” nie trzeba otwierać klinik psychiatrycznych i zakładów, trzeba ich po prostu zwalczać i eliminować.

Niestety, ta postawa ma swoje konsekwencje – nerwowy, złowieszczy chichot Jokera, chichot, który poprzedza tragedię. Jeśli wciąż obsadzamy „innych” w rolach ofiar, krzywdzimy ich. To spowoduje, że prześladowani w końcu też odpowiedzą agresją. Ofiara stanie się katem. Tak też było w przypadku carycy Katarzyny, bezwzględnej, opresyjnej, okrutnej władczyni. Jako dorastająca osoba doznała wielu krzywd i upokorzeń ze strony swojej matki.

Nikt nie jest z natury zły. Zło jest zaszczepiane człowiekowi przez człowieka.

Jeśli będziemy zwalczać ludzi za ich odmienność, w końcu obudzimy się w „społeczeństwie jokerów”, którzy wzajemnie się mordują. Nastąpi regres cywilizacji do stanu przed kulturą, gdzie, mówiąc słowami słynnego filozofa Thomasa Hobbsa „jesteśmy w stanie wojny każdego z każdym”.

Po obejrzeniu monodramu Michała Lasockiego nasuwa się pytanie, czy o to nam chodzi w demokratycznym państwie w XXI wieku? Oczywiście autor unika moralizatorskiego tonu, wtedy nie byłby przekonujący, zraziłby do siebie słuchaczy. Jego komunikat jest ukryty pod warstwą szyderstwa, humoru i sokratejskiej ironii. Dlatego tak mocno przekonuje swoją autentycznością i bezpretensjonalnością.

Michał Lasocki jest artystą obdarzonym niezwykle charyzmą, mentalną siłą i ekspresją wyrazu. To postać, która w przyszłości może zmienić oblicze nie tylko teatru, ale obudzić na większą skalę świadomość społeczną poprzez sztukę.

Sylvia Gibaszek

Janusz Andrzejczak

Serce dzwonu

A gdy umilkną dzwony
i od gwiazdzistych sklepień
odbije się rozpaczliwe echo

i gdy ostatnie organów tony
przyniosą zgon
piszczałkom i miechom

średniowieczne katedry
do małych kapliczek
skurczą się w bólu

Ale i tak nie zgaśnie
i nie zamilknie
wieczne światółko

gorejące serce
w tabernaculum

We mnie

Niebo się gwieździ
i las się lesi
kto go tu rozsiał
niebo rozwiesił

Kto srebrne koło
w noc czarną wtoczył
kto pozapalał
te wszystkie oczy

Co mnie popycha

że muszę w drogę
„Idź” – ktoś mi mówi
„Nie wracaj.
Z Bogiem!”

Ileż jeszcze

Ileż to razy nawłóć
ileż to razy wrotycz
ileż razy dla siebie
dotyk, usta i oczy

Ileż piaskowych kocanek
krwawników i koniczyn
wiatru, deszczu i liści
któż zmierzy
któż policzy

I ileż znowu ptaków
z miłości nie pomieszczę
I czy w ogóle będzie
jak dotąd
jakieś
jeszcze

Janusz Andrzejczak

Jerzy Binkowski

Piąta po południu

Godzina 16:00

Przytula moje dłonie do swoich drżących piersi.
W wiklinowym koszyku przy oknie płacze Marysia.
Stoję wyprostowany. Oto dowódca żołnierskiego serca.

Godzina 16:15

Biała koszula pod szarą bluzą dziwnie niewinna.
„Jakbyś wybierał się do ślubu, nowożeńcu” – szepcze.
„Warszawa jest naszą żoną, siostrą i matką” – uśmiechamy się.

Godzina 16:30

Drzę na myśl, że spełnia się złoty sen o godności.
Zaciskam dłoń na chłodnym metalu pistoletu.
Anna podaje mi lśniące jabłko. Kocham cię.

Godzina 16:45

Stawia znak krzyża na moim czole.
Biegnij – mówi. Z Bogiem.
Żegnaj – mówię.

Pali się człowiek

Żagwie wojny w naszym domu.
Stos zapalek: komu, komu...

Gorze, gorze ludzki świat.
Rozdmuchuje iskry wiatr.

Czy zostaje tylko płacz?
Panie, pożar ten zgaś.
W nas.

Taksówkarz

Milczała elegancko.
Uważnie słuchała.
Mówiła wyciszona jak aksamit.
Naturalnie powściągliwa.
Dama.

I on słuchał.
Niewiele słyszał.
Milczący nieelegantko.
Skulony na tylnym siedzeniu taxi.
Mąż zdradzony.

Tyle powabu nie dla niego.

Zima tuż

Wietrzyska z gór wstrząsają okolicą
Zrywają dachy i łamią stare drzewa

Wody jesienne spływają w studnie
Gospodarz każe napełniać stągwie

Grafsztyny antonówki krąselki bojkeny
Dojrzewać będą poprzez zimę – winne

Smakowity zaczyn marzeń i tęsknot za Życiem

Jerzy Binkowski

Ewa Eysymontt

* * *

Kto dziś w niebo patrzy prostopadle...
C.K. Norwid, z *Assunty*

Historię odmieniam przez przypadki

Mianownik niepodległość
Biernik wojnę
Narzędnik z narodem

Wołacz
zwołujący harujący wół
jęk i polot

Wołacz
ku niebu spojrzenie prostopadłe
i prosto padła z nieba na ziemię
odpowiedź
odkrzyk
okrągłe Jego Serca
O.

Czerwiec–lipiec 2020. Do tomu: „Con-Cordia”

* * *

Pamięci Anny Iwaszkiewiczowej

Jego żona dom
schronienie
okno
po burzy
haust ozonu.

Jego żona lustro płaszcz
nadzieja w ciemności.

Bezimienna żona Lota
pominięta
drabina do nieba
z nieba płacz.

Kiedy odeszła
jego utracone serce.

Czerwiec 2020. Z tomu „Con-Cordia”

* * *

Pani Cierpieńko zaprosiła Radochnę
do Lublina w samym środku lata.
Mimo upałów, Radochna
musiała jednak poleżeć z gorączką.
Wstała bardzo słaba.

Panią Cierpieńko odwiedziła znajoma.
– Pani Werunia do Pani Wery –
śmiały się,
wszystkie młode i piękne.
– Jak się teraz czujesz, Radochno? –
pyta Pani Werunia naprawdę.
– Zjadłabym rosołu z lanym ciastem.
I dużą ilością koperku. –
Śmieją się znowu.

Radochna pierwszy raz widzi Panią Werunię,
a przecież zna ją dobrze:
to ta z sewrskiej porcelany,
przez którą słońce
prześwieca cały rok.
Ma oddech pachnący lawendą,
niski wzrost i krzepiącą siłę.

Umówiły się
na wspólny, pierwszy po chorobie
spacer Radochny
przy Lipowej, u bramy cmentarza.
Radochna słyszała od dawna o Lipowej.
Ze starodrzewem, nieco zarosłymi alejkami,
przychylnością
pamiętanych i niepamiętanych.

Teraz odwiedzały ich kolejno.
To Pani Cierpieńko, to Werunia
wpisywała w młodą pamięć Radochny
kolory, okruchy
znane już tylko im –
z topniejącego ciągle stadka synogarliczek.
Osobno płacone kawy z ciastkiem u Rutka.
Wątki, których nikt nigdy – poza śmiercią –
nie urywał,
choć ze znajomymi bywało się,
jak one dwie dzisiaj,
na „Pani”.
Ach, tak, tak...

Zaszły do Zbyszka Jakubika,
pokłoniły się przed jego
Chrystusem Frasobliwym.
Poziomki na innym grobie raziłyby.
Ale nie tu, gdzie słyszało się grzechot kul
z Janowskich Lasów.
Zbyszek, jak baron Münchhausen,
odrzucał je przez wiele lat
życia po wojnie.
Pomilczały więc. Przyniosły poziomkom wody.

Potem stanęły, nadal bez słów,
przy drugiej bramie.
Trudno było powiedzieć nagle:
„No, to do widzenia...”.

Pani Werunia z wahaniem
wyciągnęła ku towarzyszkom zawiniątko:
spośród pomiętych gazet
wystawało wieczko słoika.

Radochna usłyszała
w cichym wstydzie Weruni:
– Dziś gotowany, z lanym ciastem. –
Pomiędzy gazetami załśnił w słońcu
szlif rosołu.
Zapamiętały zielone iskry
drobno siekanego kopru.

Roześmiały się wszystkie trzy.
Radochna patrzyła prosto
w lniane oczy Pani Weruni.

Była młoda. Nie mieszkała w Lublinie.
Jeszcze nie wiedziała, jak się dziękuje
za powojenne, zgrzebne,
owinięte w gazety
dobro.

Z tomu Pani Cierpieńko, czyli album z tajemnicami

*Dedykowane Paniom: Teresie Waszak, Elżbiecie
Perekładowskiej-Jakubik, Zinaidzie Szczuckiej,
Jance Jasińskiej, Lili Lewińskiej, Irenie Bahnowej*

* * *

Umierając
widział również Wasilija Błochina
tak ochoczo
otwierającego strzałem
krwawe kwiaty na potylicach
skazanych przez Stalina
tysięcy z list katyńskich

Wiedział

Na to, co się wprost nie mieści w wierszu
i nigdy
nie da się też „przebić piórem” *,
otworzył przebity bok.

Zobaczone – krwią własną zrosił.
Obmyte – na wieki zasadził
w nieprzepastnym Sercu.

Z tomu „Con-Cordia”

* Cytat z wiersza Zbigniewa Herberta „Potwór Pana Cogito”

* * *

Usłyszeć trzask fiolki
zacisnąć zęby na goryczy wiersza
Przeżyć
dzięki wierze
Wierzyć
w cud swojego życia
w które nikt nie wierzy
Nieśmiało
zza firanki
z opuszczonymi powiekami
szeptem.

Ewa Eysymontt

Sylwia Gibaszek

Przypowieść antydemokratyczna

Robotnice czczą królową jak relikwie
polerują komórki do których składa jaja
niczym złoto najwyższej próby
z pietyzmem urządzają woskowe komnaty

wachlują
wycierają pyłki

nie myślą wiedzione czystością rasy miodowych genów
modlą się nektarem do swojej pani
celebrytki od urodzenia

królowa pszczół przychodzi na świat z wielkim rozgłosem
natychmiast po wykluciu gwizdże jak lokomotywa

z pozostałych mateczników odpowiadają tym samym
o kilka sekund a nawet minut spóźnione wice królowe

echolokacja niezwykle przydatna
od razu wiadomo, gdzie są te które natychmiast
trzeba przekłuć świeżym żądłem jak włócznią
w świecie pszczół liczy się władza absolutna
ślepe posłuszeństwo feromonom

Układy izolowane

na zawsze wgrany
algorytm więzi
miłość w czasach zarazy pachnie lizolem
zawiera też dużo lateksu
ciała hermetycznie zapakowane nadmiernie wibrują
Słońce wypala nam zmysły w układach izolowanych

2020

Ani Sobolewskiej

To będzie dobry rok!
 obwieszczał napis na
 zielonej obwolucie kalendarza
 pełnego girland kwiatów ziół
 przepisów vege
 To dobry rok!
 zakpili z nas drukarze kalendarzy
 w makro skali
 W tym roku uwięzieni
 w czterech ścianach
 podziwiamy zza firanek wiosenne słońce
 w podczerwieni ultrafiolecie
 kwarki wirusy
 superstruny
 wirują szybciej niż chora planeta

Neverending story

być jak John Malkovich
 od absurdu po erotyki dopięte na ostatni guzik świeżo
 [wykrochmalonej koszuli]

pisać jak Adam Zagajewski
 żyletką albo brzytwą po ścięgniach istot
 rzeczy

mieć temperament Kasztelanowej Kossakowskiej z Ksiąg Jakubowych

w przebraniu Zorro nabijać fajkę
 za mocnym dla wielu mężczyzn tytoniem

wspierać Wolnomularzy
 samej otworzyć na oścież łóżę masońską

na sali gimnastycznej liceum
gdzie uczę filozofii

W ogóle przegiąć tak
żeby popękały wszystkie sprężyny
stały pracowite zegary
a stolica pozostała bez prądu
na długie historie
przekazywane z ust do ust
wszystkimi arteriami

Pierścień Gygesa

I am invisible man – śpiewa Freddie Mercury
gdy premier pije kawę na tarasie czterdziestego czwartego piętra
spogląda z wysokości na śpiące miasto

gdyby tak mieć pierścień Gygesa
oddawać się namiętnościom
nierządowi władzy absolutnej
incognito – myśli

tymczasem nad uchem premiera
przelatuje pneuma

z prędkością światła zmienia
bieg świata
paraliżuje płuca
układy scalone
samoloty
uwięziła ludzkość w sieci
jak ławicę szprotek

Niepotrzebny wcale pierścień Gygesa
I am invisible...

Sylvia Gibaszek

Andrzej Książek

Epoka

Cząsteczki materii przemieszczają się.
To tu. To tam.
Bez – władnie.
Kontury rzeczy zlewają się z tłem.
Płynnie.
Naprzemiennie.

Cyrkowy gabinet luster. Gra
światła i cienia.
Początku i końca
który jest początkiem.
Strony zamieniają się miejscami.
Góra jest dołem.
Doły górują nad krajobrazem.
Nad rekonstrukcją
historycznej
bitwy.

Koniec epoki

Wojny i zniszczenia nie zakłóciły dobrego
samopoczucia.
Dążeń celów błędów
nieporozumień.

Wiara w postęp nie zastąpiła wzniosłych
budowli.
Ciągłe byliśmy blisko. Słyszeć szum.
Szelest przewracanych kartek.

Nie obcy był nam apolliński spokój.
Sokratejska pewność.

Granice przesuwane były w miarę dojścia.
 Utopie w dalszym ciągu decydowały
 o kierunku i
 szybkości
 jazdy.

Opis

To życie. Nad nim legendy mity.
 Na pierwszym planie rzeczywistość.
 Realna aż do przebudzenia.
 A to już wyobrażenia skojarzenia wrażenia.
 Strumień sączy się z gór
 na urodzajne niziny.
 Samochód pokonuje opór
 powietrza.

Projekt *(wersja druga)*

Obraz róży nie pachnie.
 Wyobrażenie kobiety nie jest kobietą.
 Na wzór i podobieństwo.
 Robot posłusznie wykonuje
 polecenia.
 Umysł i jego zawartość.
 Granice trudno przekroczyć.
 Rzeka w tym miejscu jest szczególnie
 niebezpieczna.
 Sterowanie z głębin podświadomości.
 Z mroków przeszłości.
 Zdalnie.
 Organiczne ograniczenia.

Niedosyt I

Na pustyni
wyrastają pojedyncze
kępy traw.
Dopóki trwa. Ten upór.
Ta siła. Niedosyt istnienia.
Nieustające pragnienia.

Natura

Dopóki trwa.
Wiatr
chmury
śnieg
przebiśnieg.
We mnie prawo.
Jasny punkt w tunelu.
Poręczenia poręczy.
Twarda nawierzchnia.

Opcja, optyka

Czarno
 białe
kolorowe
nici.
Splecione.
Splątane.
Nienawiść.
 Zazdrość.
Euforia.
Wzburzone fale.
Wyciszone morze.
Zachmurzone niebo.
W nocy rozjaśnione
spadającymi meteorytami.

Niedosyt II

Mgła opada na spragnione
kielichy kwiatów.
Deszcz wsiąka w wysuszoną ziemię.
Mchem porastają powalone drzewa.
Zamknięte naczynia.
Nadmiar niebytu
Niedosyt.
Pragnienie istnienia.

Wydarzenia

Czas jak piasek przesypuje się między palcami.
Chwila wraz z upływem czasu.
Kamień spadając pociąga
lawinę.

Medytacja

Cierpienie radość zawiść gniew.
Wiatr ustał.
Morze uspokoiło się.
W lustrze wody przegląda się księżyc.

Krajobraz

Dywan z kwiatów mleczy na tle zieleni.
Mrówki wokół mrowiska.
Słońce wysoko.
Księżyc tak nisko zagląda do okien.
Kamień na kamieniu.
Między kamieniami kwitnący powój.
Krajobraz utrzymany w tonacji pierwszych wiosennych
traw. Pierwszego pocałunku. Pierwszych miłosnych

uniesień.
Czas wymyka się z ram.
Wartkim nurtem rzeki
płynie i
płynie.

Ojcowizna

To jest ziemia przodków
królów hetmanów.
Przeorana gąsienicami czołgów.
Śpiew ptaków długo był zagłuszany
hukiem armat krzykiem
pomordowanych.

To jest moja ziemia.
Znów brzemienna.
Gałęzie uginają się pod ciężarem
owoców.

„Nie całkiem odejdę”

Kto przejdzie do historii.
Przemknie. Bezimiennie.
Kto obecnie...
Kamień wrzucony do stawu.
Zatacza kręgi
które znikają
u brzegu.

Andrzej Książek

Gabriela Kurylewicz

Nie ma nas

Nie ma nas,
choć jesteśmy przecież
lub nam się tak wydaje.

Moi rodzice zasnęli
w głęboką bezpowrotną
podróż.

Pies Filozoficzny
traci sprawność nóg.
A ja –

Wciąż biegnę
zasilana podejrzanym
duchowym napędem.

Warszawa, XII 2019

Nowa normalność

Nowa normalność
chodzi z nowymi psami.
Nie potrafi spacerować,
tylko wali środkiem.
Wali i śmieci
plastikiem opakowań
antybakteryjnych,
antywirusowych,
sztucznością,
proceduralnością,
chytrnością
nowej mowy.

Nawet jeśli wszyscy,
doprowadzeni do histerii,
nową normalność by przyjęli,
nie będzie to normalność,
kraj, który jest jak zdrowie,
gościnny,
ukochany,
w którym normą, zasadą
jest dusza.
Naturalnie psów żal,
starych ludzi
i niewinnych dzieci.
A my? Nie możemy
dać się zwieść,
nie możemy ogłuchnąć.
Prawdziwa muzyka
nie jest hałasem,
jest sumieniem.

26 III 2020

Zapisuj

Zapisuj strofki,
które Ci przychodzą
do głowy, Mariuszu.
Nie lekceważ tego.
Choćby w środku nocy,
wstań i zapisz.
Potem śpij dalej
i rób to wszystko,
co w życiu potrzebne.
Bo widzisz, wiersz
nie jest potrzebny,
jest konieczny.

1 VII 2020

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Fraszki

Załącznik dojrzałego mężczyzny

Ty jesteś hojna,
ja jestem szczodry.
Czy wolisz pod kołdrą,
czy bez kołdry...?

Załącznik dojrzałej kobiety

Wiara czyni cuda,
gdy kobieta jeszcze chce,
a mężczyźnie się uda...

Arrivederci

Do tych, dla których „wirtual”
zaczyna dominować nad „realem”
i droga do szczęścia co raz dłuższa.
Dłuższa o seans zatracenia w marzeniach.
Gdzie w pyle gwiezdny szukają Jutrzenki
potykając się o chorobę swej duszy...

Podajmy im dłoń, bo odlecieli tylko na chwilę.
Nim stopnieją lody, dzień zrówna się z nocą,
zakwitną kaczenie a nie uschną żonkile...

Jeżeli nie podróżują z prędkością światła,
to jeszcze zdążymy.
Ostatni pociąg odjeżdża za pięć współ-pożądania...
Powrotnego nie ma, gdy brak współ-kochania.

To tenHam on a Ziemia Obiecana Wojna plemion

W Tyskolandii złoto, kadzidło i mirra.
Każdy kombinuje jak wy..bać Kraj nad Wisłą,
powie ci to eunuch docent i zdzira.
I w Warszawie, i w Brukseli, a nawet w Erewaniu i w Gizie.
Z szambelana Króla robią, a gdy czar już jego prysnął
emigrować chcą, plują, w błocie się tarzają,
krzyczą, innych za nic mają.
„Ja pier...łę, ja wyjeżdżam, zgarnę tylko wszystkie plusy i zabiorę
[jakąś cicię...
W d..ie mam i Mieszka, i Batoiego, a nawet Reja i Sobieskiego.
Ja tam wolę Putina, Macrelę i Angelę,
po co mi przestrogi Piłsudskiego!?
Tam przynajmniej chłop z chłopem,
baba z babą, i nie muszą chodzić do kościoła w niedzielę.
A gdy przyjdzie taka chwila,
gotów jestem pod piramidami
i wy..bać krokodyla...!”

Warszawa 30.09.2020

Jerzy Marciniak

moja stacyjka

mała stacyjka. na niej podróżni jak lalki bez ciała. wśród nich mój dziadek. jak stary Bóg. przed każdym podróżnym wysoki próg. przed każdą lalką mały pajacyk. a los przeznaczenia zakłada przynęty na ostry haczyk.

czekając
widzą jak mrok jasności z nocy zrywa
szepczą modlitwy
słuchają dzwonów na Anioł Pański
nikt nie odchodzi
nikt nie przybywa

patrzą
jak nocą kamienie z rzeki na drogę wychodzą
w poprzek stają
że
nie można ich ominąć
jak tyraliera poległych żołnierzy
biegnących do boju
by po raz drugi przegrać lub zginąć

mała stacyjka bez konduktora. bieleje w nocy jak brzozy kora. przy torach stoją słupy milowe. dziewczyna biegnie przez pole minowe. czas stoi w miejscu. nic się nie zmienia. psi zew od strony wioski wieczorny wiatr gna. stare historie. dziadek w mundurze a obok niego młody... ja.

noc
pociągu nie ma
nadziei brak
słuchają
dopóki świt szepta przydrożnych kamieni
w milczenie nie zmieni

moja stacyjka. tęsknota tęskniąca bez końca. nie ma wiatru a stare drzewa w podmuchach się gną. odchodzę. kamienie brzegiem drogi ruszają. jakby chciały być... mną.

*Na (zlikwidowanej) stacji w Dębowym Gaju,
z której kiedyś odjechałem w Świat. Wczesna wiosna 2020 r.*

Sny

tramwaj do Cieplic

nocami
opowiadałem cudze sny na przystankach
i ulicach miasteczka
pełne ciekawych treści o niczym
lub o kobiecie z kresów
wtedy
moje usta
były jak turkot kół po szynach
a noce otwarte jak konduktorki stara teczka

*ona była ranna w Rzeźni Wołyńskiej
kulą
niektórzy mówili na nią Róża (Luksemburg)*

wychodząc
z domu zabierałem z sobą wiersze
przeważnie o mnie
pisane przez nieznanne mi osoby

ostatnie i pierwsze

*ojcem konduktorki był nacjonalista
ukraiński zastrzelony po wojnie
w Bieszczadach*

chodząc

między przystankami powtarzałem starą prawdę
nigdy
nie jesteś do końca sam bo kładąc się wieczorem
masz
ze sobą sumienie

spąłem w dzień

z brzaskiem
wracałem ostatnim autobusem do konduktorki
samotnej jak ja
odartej z istnienia
której przeszłość i przyszłość to był ten sam wyraz
westchnienie

wieczorami słuchałem jej śpiewu

nieraz
chodziliśmy po zapomnianych torach tramwajowych
do Cieplic
zbieraliśmy skasowane bilety i wspomnienia

w jej łóżku wylegiwałem się za dnia
pod obcym nazwiskiem

*matką konduktorki była nauczycielka
muzyki ze Lwowa zamordowana
w Gross-Rosen*

konduktor
nie brał ode mnie pieniędzy
chuj z tobą
mówił życzliwie
może i ja będę miał sen
na który czekam od dawna

*ze wspomnień nauczycielki historii
z Soboty Jadwigi Iwanowskiej*

później dodawał smutnie płacziwie
jakby mówił w głąb siebie albo tylko
sobie

sen
o dziewczynie z kresów
w której kochałem się kiedyś jako ktoś inny

jak ta konduktorka w tobie

Schronisko Samotnia wiosna 2019 r.

Jerzy Marciniak

Piotr Müldner-Nieckowski

Inny czas

(lata latają fruwią)

Chcesz powiedzieć,
że tamto już nie wróci?
Tak, my też tak chcemy,
my wszyscy cieszymy się,
że tamtych czasów
już nie ma.
Nie może być tamtych czasów,
ponieważ minęły.
Przypomnij sobie.
Twoje wczorajsze
już nie jest dzisiejsze.
Dostałeś pałką w plecy
na dziedzińcu Uniwersytetu.
Ale to było dawno.
1968.
Teraz widzisz to inaczej,
nie ma żadnych pałek.
Ilekoć tam idziesz,
słyszysz kłaśnięcie gumy
na twoich plecach
i wylew krwi z nosa.
Szumi twoja krew,
ile razy jesteś
na Uniwersytecie Warszawskim,
a przecież to było wtedy,
bo stanąłeś na pozycji opozycji.
Wtedy było uderzenie,
a teraz jest tylko
brzmiący w uchu pamięci
słodki odgłos klapsa,
pacnięcie sonej śliwki.
Jak w ten przedszkolny dzień,

gdy pani biła po łapach linijką
 za radość po meczu
 Polska – Związek Sowiecki
 dwa jeden Stadion Śląski.
 Lucjan Brychczy podaje.
 Strzela Gerard Cieślik.
 Dawno ich nie ma, a jedenastoletni
 Piotrek Müldner ucieka po schodach.
 Podstawówka numer trzynaście – 1957.
 Jednak znowu tak się zakręciło,
 że ani się obejrzałeś
 a już jesteś na pozycji opozycji,
 im bardziej tamto zostaje
 w historii.

2012.

To jest zupełnie zupełnie co innego,
 lecz pilnuj, żeby cię nie oszukali
 i nie wcisnęli, że nic
 nie wróci.

Na razie spokój.

2019.

I zacznij się rozglądać,
 co się z tamtym dzieje,
 jak się ma, czy zdrowe, silne
 i czy aby nieby nie trzyma noża, co błyska,
 gdy zaczynasz mówić.

To nie ty

To nie ty jesteś winien,
 że pociąg odjechał.
 To pociąg nie może zrozumieć,
 że nie jesteś temu winien.
 Pociąg pełen ludzi,
 pociąg wiezie setki mózgów,
 a nie wie, że nie jesteś winien.
 Twój przyjaciel wie,
 bo to on puszcza pociągi,

po to by setki mózgów
 nic nie wiedziały
 o twojej miłości do ludzi.

Pociąg wypuszczony przez
 twojego przyjaciela
 przyjeżdża tylko wtedy,
 kiedy zechce przyjaciół,
 a ty nic o tym nie wiesz.
 Nie wiesz, nie zgadniesz,
 dlaczego odjechał przed czasem.
 Dlaczego kłody leżą pod nogi
 jedna po drugiej,
 a żona przyjaciela maluje paznokcie
 i nie wie, że nikt do niej nie jedzie.

Przyjaciół i od niej odjechał.
 Nigdy nie miała przyjaciela,
 była okłamywana,
 ale może, ale może
 nie przez ciebie.
 Kłamałeś? Nie wiesz?
 Tak, lepiej, abyś nie wiedział,
 co kryją ruchy pociągów,
 maski przyjaciół i welony żon –
 kłamstwo to rzecz najstraszniejsza.

Punktacja myśli i zamiaru

Lepsze – zero punktów
 Lepsze ponieważ – sto punktów
 Lepsze niż ponieważ – dwieście punktów
 Lepsze niż ponieważ aczkolwiek – trzysta punktów

Ale sam wiesz że proca zwycięża rewolwery
 bo nie zabija
 chyba że jesteś Dawidem

Dwie rzeczy

Dwie najstraszniejsze rzeczy:

- wyłamanie zęba
 podrzuconym do ryżu kamykiem,
 podobne do strzału w głowę dziecięcia
- wojna która wypełnia sobą oczodoły

Budzę się spocony – lecz nie z lęku – bo
po treningu przed bitwą na pojęcia

Piotr Müldner-Nieckowski

Alicja Patey-Grabowska

Ważka i krowa

Niech krowa zrozumie ważkę
– nie zrozumie –

Dla niej brzęczenie muchy
marsz żałobny

Szczek psa
monolog o powinności

pięć listków koniczyny
odarte z symbolu

horyzont w kręgu żuchwy

Niech krowa zrozumie ważkę

W karnawałowym tramwaju

W karnawałowym tramwaju
zasznurowani w maski
chowamy twarze głęboko
pod grubą warstwą tektury.
Wokół cyrkowi ludzie:
arlekiny i błazny.

Na ustach pieczętki:
n i e o t w i e r a ć

lub zerwane zwisają sznurki od plomb.

Jedne ze sklepu „Uśmiech”
obdarzone w uśmiechy –
cienkie fałdki zadarte wokół ust.

Są też gładkie jak płótno
 naciągnięte na wałek.
 Maski – pewnie najdroższe
 Nic nie oznaczają.

To dłonie

To dłonie nasze zajaśniały światłem
 widzisz że można noc przemienić w świt
 i śmierć delikatna jak cichy lot ważki
 a ból bezwonne palenie skrzydeł ćmy

To dłonie nasze –księżyc gwiazdy słońce
 nagły wybuch róży zatrzymanie rzeki
 ożywa kwiat którego przeznaczeniem popiół
 zakwita śnieg

Kobieta pisze wiersz

Między garnkiem
 i kołyską
 powstaje wiersz

Wyskakuje
 jak Filip z konopi –
 nieproszony gość

Dziecko płacze
 garnek przypalony
 Śwąd

A on
 śmieje się
 chichocze
 prosi:
 Zapisz
 Pisz

O czym?

O tym
że dziś
a nie jutro
i co włożyć
do garnka którego
już nie ma

Filozofia życia
bytu
codzienności
tak ważnej
że aż
przeradza się w ból

2 VII 2020

Typy

W pudełku pudełka z drzwiczkami i bez,
z kratami, szybami, okiennicami zamykanymi na zatrzaski
lub kłódki z mosiądzu.

Jedne otwierają się bez wołania
i pokazują aksamitne dna,
dna mokre,
bogate
lub zimne i puste.

Inne na zakłęcie: „Sezamie, otwórz się”
wolno, uważnie odmykają zielone okiennice.

Do jednych trzeba pukać długo, natarczywie,
nim błysną czerwonym okiem w judaszu.
A jeszcze innych nie otworzy nic.
Groźne
milczące

zamknięte w sobie
niebezpieczne naprawdę
lub tylko pozornie
strzelają kolecami
jak jeź.

Wir

*...zanim wstąpił w wir
Powrócił ku młodości i życie powtórzył
wznosząc się i spadając...*
Thomas Eliot *Ziemia jałowa*

Co mówi morze
w krzyku fal
których grzbiety
wygięte w łuk
jak ciało węża
a nocne chmury
nabrzmiąle czernią
za moment przyduszą wodę

Co mówi morze
gdy w świetle latarni
kołyszają się nasze cienie
złączone dłońmi
a dźwięk syreny widmowego statku
przeszywa powietrze
jak pocisk

Drobne ziarenka deszczu
spływają na piasek
To płacz chmur
wciśniętych w ramiona fal

Tak mówi morze:
– Płacz

Jutro słońce i cisza
a błękit nieba
przejrzy się w ciemnym lustrze

Po nocy dzień –
 tak mówi morze
Zmienność!
Zmienność kolorów
kształtów
ciał

W górę
 w dół
z dołu
 do góry
kręci się koło

I nasze cienie
przy świetle latarni
stapiają się w jedno
jak morze z niebem
jak niebo z morzem
 Zostaje szept
jednostajny szum
powtarzający się rytm
 w łańcuchu życia

Alicja Patey-Grabowska

Maria Jolanta Piasecka

Dom

śnieg na rzęsach drży gdy czytam twój list
twój śnieg opadł na mnie białą smugą snu
czy wzór płatków zamieni w żar
chłód twych dłoni

śnieg łąsi się czule do stóp
czy otuli nas jego cud
prowadząc tam
gdzie nasz dom

Białe na białym

w milczeniu szliśmy po śniegu
przez białe pola białą drogą
pod białymi obłokami

w milczeniu zajaśniał świat
jakby dało się pojąć
pola drogę obłoki

poprzez śnieg
przez śnieg

Nasiona śmierci

mama nie żyje ojciec zmarł
list o przyjacielu który odszedł
– nowy telegram z czarną obwódką
„gdzie jest dziadziuś?”
„z aniołami synku”
nasiona życia rozsiane po ziemi

a kto połata cię kosmosie dziurawy
od nieobecności

Słowo

góra z górą się nie zejdzie
a słowo ze słowem tak tylko tyle
by żywi i zmarli odnaleźli się
wystarczy wziąć ich na język
ze szczyptą gramatyki
i bez trzęsienia ziemi
zmartwychwstaną
przystaw pieczęć znaku
każde odczytanie dorzuci mu znaczenia
i człowiek już nie rozłączy
tego co słowem złączył

Pełnia

księżyc rozsypał się po śniegu
w drobinki luster
lśni na dole
tak jak świeci na górze
w zwiłokrotnionej pełni
tu i tu cisza
podnoszę wzrok i opuszczam
tak tak
tak tak
kiwam głową ziemi i niebu
na zgodę

Wiersze pochodzą z tomiku „...i reszta”, Anagram 2020

Maria Jolanta Piasecka

Maciej Pinkwart

Po-Trojenie

Koń trojański

Gwiazdy zaglądały przez oczy
drewno butwieje we mgle
idącej znad Skamandra
i tylko sztuczna cisza
dzwoni w drewnianych uszach
myślisz głośno
więc jesteś próżny
podstęp Odysa
nie został wypełniony treścią
Przechodniu powiedz Sparcie
że z wielkich idei
zrobią teraz wielkie ognisko
którego dym zaćmi oczy
ślepego poety.
Nie umiając pisać
opowie wszystko niedokładnie
przez głuchy telefon mitologii

Orzeł trojański

Między trzepocącymi bezradnie
skrzydłami bez piór
bije puste serce bez krwi
ale wznosi się w niebo
opuszczone przez bogów
a fioletowy księżyc
rzuca złowróżbny cień
ptaka pustej śmierci
na rynek pustego miasta
gdzie sny Hektora

śnia się snom Achillesa
Słowa Kassandry wyścielają gniazdo
w którym bezskrzydła orlica
wysiaduje węże Laokoona

Papuga trojańska

Został tylko kolorowy dywan
z przewagą barwy czerwonej
a przecież powinien być błękit
paryski
jak jego oczy
wyłupione strzałą
skoro już nie mógł mnie widzieć
podziwiać
kochać
umarli tylko nienawidzą
wstałam i odleciałam
tam skąd mnie porwano
a mąż na widok mojej urody
udał, że Troja
to był tylko taki film
niezbyt udany zresztą

Żółw trojański

A więc powiadasz, drogi Zenonie,
że jeśli dostanę pół dystansu for,
to Achilles nigdy mnie nie dogoni?
I nawet nie zastrzeli, bo tak naprawdę
strzała zawsze znajduje się w jakimś miejscu
a zatem naprawdę nie leci?
O, bogowie, nie czas teraz na
elejskie paradoksy
kiedy metę wyznacza
nieistniejący horyzont zdarzeń

a boski Achilles
leżał w czarnej dziurze niepamięci
z zatrutą strzałą Parysa
która jednak utkwiała w słabiźnie piętowej
Zapewne, kulejąc, zmierza do łodzi Charona...
A ja, z ciężącą coraz bardziej
skorupą nieczułości na grzbiecie,
podążam przez zgłiszcza wspomnień
do niewiadomej mety
by zmienić się w proch
z którego powstałem.
Wolny jak żółw
i wolny jak ptak
pewny jednak zwycięstwa
w grze z jednym życiem
w której wygraną dają
nie sprawność zawodnika
lecz ustalone odgórnie
reguły gry.

Świnia trojańska

marudna taka
hałaśliwie zadowolona
upasiona nienawiścią
jedyne żywe coś
w martwym mieście
już tylko na deser
wyjada pogasłe oczy
nieśmiertelnych bohaterów

Maciej Pinkwart

Krystyna Rodowska

Lekcja

*darowanemu koniowi
nie zagląda się w zęby*

nie tego pragnęłaś
co samo przychodzi

z góry albo z dołu
z przywidzeń z podszeptów

darowane z groźbą
(zęby mogą ugryźć)

darowanemu (przez kogo? co? po co?)
pozwoliłam się wcielić

w moje słowa intonacje
cisze zabierać mi głos

bez pytania wrastać
w moją skórę

bo ciało słowem się staje
częściej niż odwrotnie

aż z którymś nie zapisanym
w porę oddechem

poniesie cię z toru mowy
twój spłoszony koń

2–5.07.2020

Tożsamość

*Kim jest ta krew, ściegna, oczy,
Ta dziwność, ta pradawność?
Rafael Cadenas, Podejrzenie*

Przychodzi kiedyś pora na skok. Może to skok nastaje na porę?
Wypadłam Gorzej lub lepiej, to pewne
Odtąd rozbijam się na porachowane (przez Instancję) kości
i zachodzące mi za skórę kolejne ciała, z których ani jedno
nie zmartwychwstanie Żadne z naniesionych
(przez lustra, fotografie, cudze spojrzenia) ciał
nie zostanie duchem mojej cielesności

Więc czym jest to, co tłucze głową o mur ciała,
mur, który sam z siebie się wykrusza?

1972–2009

Nisze

chwile pod powiekami
przedporanne
nisze dla ćwierćbycia

wprowadzają się tam czasy
przenikają obrazy
drzew poskręcanych
branych na tortury
przez mistral i pędzel van Gogha
dochodzi cichnący odgłos
rozpędzonej karetki na sygnale
podczas gdy rozchyła wciąż wargi
nie wiedząca nic o sobie
zadumana a może bezmyślna
dziewczyna z perłą
pochłania wszystko senny
zapach deszczu za oknem

szczękanie psa przez ścianę jakby nigdy
nie miał wyjść z domu na otwartą przestrzeń

Tam nic nie jest śmiertelne
trwa kojąca przerwa
w biegu z przeszkodami

5.07.2020

Napięcie

„wyprostowana jak struna”
w luźnej gotowości spoczywam
(ale to jeszcze nie *odpoczywanie*)

zanim struna się zerwie
zdążę
wydać dźwięk?

Krystyna Rodowska

Krzysztof Rudziński

Tryptyk katyński

Katyń

*Alicji Patey-Grabowskiej,
pamięci jej ojca
ppor. Kazimierza Grabowskiego
zamordowanego w Katyniu*

Za cud nad Wisłą Polsce uknuł
tutaj bolszewizm zemstę kacią
o nazwie miejsca, aby mógł nią,
tym bardziej ranić z lasu straceń.

Ale gdy zamiar już ugrzesznił
zapiękle sycąc żądze kacie,
takim imieniem własnym zbrodni
sam swoje wyznał imię czarcie.

Moskiewska „prawda”

Głosili ją skarłałą
i nawet wydawali
jako „oficjalny organ”
w służbie kłamstwa, mijała się z tą z Katynia
bez jednego słowa...

Zwycięstwo katyńskie

W tym zwierciadle – co twarzą z Całunu
najwymowniej zaprzecza rozpaczy
ich męczeństwa – w chwili zmartwychwstania
każdy z nich własną twarz zobaczy.

Krzysztof Rudziński

Krzysztof Saturnin Schreyer

Szczyt ewolucji

Poprawkę bym zrobił w konstrukcji człowieka,
aby kożę połknąwszy cały tydzień czekał
jak wąż boa, a w chwili wolne od jedzenia
miał czas na sjęstę w słońcu i sporo wytchnienia.

Futro focze ochroną byłoby na chłody
więc śniegu by się nie bał, ni wiatru ni wody.
Gdyby go zaopatrzyć jeszcze w ptasie skrzydła
nie byłoby na świecie większego straszdyła,
zwłaszcza gdyby prócz skrzydeł miał coś z ośmiornicy,
na przykład długie macki. Wówczas bez różnicy
mógłby cierpliwie czyhać w dennych rozpadlinach
albo płynąć za łupem w największych głębinach,
zwłaszcza gdyby posiadał dobry pęcherz pławny.

A gdyby na dodatek nos miał taki sprawny
jak u wyżła, po polach grasowałby w nocy,
mając, ma się rozumieć, jeszcze kocie oczy.
Żadne by mu się wtedy zwierzę nie oparło,
już na sam groźny widok ze strachu by marło.

I byłby to niezwykle okaz ewolucji –
istota o wybitnie wszechstronnej konstrukcji,
której wtedy zupełnie nie potrzeba głowy,
choć... mogła by zostać jako twór szczątkowy –
mózdzek dla równowagi, może zbiornik jadu,
którym można ustrzelić byka do obiadu.

I nie byłoby wtedy wątłego golasa,
który sobie bez przeszkód po planecie hasa,
a w rękach maszyny ma do mordowania.

I tutaj bardzo ważne rodzą się pytania,
które muszę wyrazić otwarcie i śmieie:
otóż, czy mózg nasz wielki w dosyć wątłym ciele
zastępując nam macki, skrzydła i pazury
nie jest jednak najlepszą konstrukcją natury?

A te częste posiłki? – ileż to radości!
Jakież motor postępu dla głodnej ludzkości!

Koniec lipca 2015

Winorośl

Czy jest na świecie roślina
tak bliska ludzkiemu sercu,
jak ta, co źródłem jest wina?
Zieleni się w maju i w czerwcu

i pnie się szybko do słońca.
Owoców skromne zawiązki
zwisają niżej gałązki,
gdzie słońce nie jest palące.

To źródło życia ogniste
i soki z pramatki gleby
wnikają w perły soczyste,
by z dziwnej ludzkiej potrzeby

stać się po czasie zbioru –
w magii poznanej od wieków –
płynem o sile tych leków
co w najsmutniejszym z potworów

słoneczną zaszczepią radość.
Złote, różowe, czerwone
schłodzone i nie schłodzone,
rozgrzeje, słabym da śmiałość

mocnych pozbawi szorstkości,
a zakochanym podpowie
jak mówić o swej miłości.
Poetom zakręci w głowie,

w tchórzach bunt wzbudzi powstańczy
i filozofów omami –
wszak i Sokrates zatańczył –
ten napój nad napojami!

Chodź miła, weź słodkie grona.
Niech cię ich magia pokona,
jest w nich szaleństwo ludzkości,
a smak ich smakiem miłości.

19 II 2020

Pył marzenia

Dlaczego pośród chwil strapienia
błysk szczęścia nie do uwierzenia?
Drzewa przemokłe i wiosenne,
w kałużach blaski słońca zmienne,

a gdzieś na końcu tej alejki
majączy postać czarodziejki.
Ręką rozsiewa pył marzenia –
może tej wiosny do spełnienia?

Jedno

Kiedy się w jedno zlewają ciała
ogień palący jest jak miód słodki
Rozbija tamę fala wezbrana
i płomień oczu przeszywa mroki.

Nie ma ciężenia – jest przyciąganie,
i dusz tęsknota i przenikanie.
Niebo się z ziemią w objęciach zмага
i czułość naga i pasja naga
jak grom symfonii poza słowami
i tak się stało, stało się z nami.

Krzysztof Saturnin Schreyer

Dagna Ślepowrońska

Wizyta

Wpuściłam cię
pokazałam białą izbę
gdzie ikony
leją łzy z wosku

Ale byłeś i w czeladnej
patrzyłeś w osmalone ściany
wdychałeś słodki
smak dziegciu i sadła

Przy kuchennym stole
jadłeś polewkę, chleb czarny
wszystko sercem
pragnęłam okraścić

Najdłużej bodaj
bawił cię bydlętnik
tu było najcieplej
grzałeś ręce

Drażniły nozdrza
sierść psa pot konia
te moje harce galopady
głupia wierność

Zostań rzekłam
powiedziałaś żegnaj
ot lapsus językowy
zwyczajna pomyłka

A jednak nie ma cię
siaduję na ganku

tyłem do chałupy
do samej siebie

Nie tęsknię nie czekam
chwilę pogadam
z brzaskiem z wiatrem z liściem
wiem one też na chwilę

Kiedy chmurne krowy
płyną o poranku
dziwię się że niebo
zstąpiło tak nisko

Idę miód rozpachnić
przed sercem ikony

Pani Z. przeprasza pana B.

Wybacz, że ciągle
zawracam Ci głowę.
Gdy wyjdę późno
Zsyłasz mi autobus.
Zawracasz kontrolerów
Gdy nie mam biletu.
Wciąż musisz świecić
Za mnie oczami.
Szukać kluczy,
Pocieszać wśród burzy.
Sprawiać by Z. nie pomyślał
Albo choć przemilczał.
Wybacz.
I jeszcze raz pomóż
Znaleźć okulary
Bym dostrzegła diabła
Tkwiącego w szczegółach

* * *

Tamte dzieci
swoim wnukom
nucą kołysanki
a ty wciąż
jesteś gołębiem
ugodzonym kamieniem
tamtego strasznego popołudnia
ciągle krwawisz
otoczona ich śmiechem
Niemo skarżysz się mamie
lecz ona tak samo
jak za życia
nie słyszy twego milczenia

Zmiennoskóra

Budzę się
nagim młodym myszy.
Wiezorami przechadzam kotem
ocieram się o ciepłe okna
świecę gołym okiem

Pochyła brzoza

Pochyła brzoza
w mym ogrodzie trwaj
Wszak twoje ciało
dla moich kóz raj
Choć pobodą cię rogami
Choć cię zdepczą racicami
Dla mnie zawsze trwaj

O święta brzoza
cóż że cię boli

z twojego ciała
wystrugam stolik
twoim sokiem się opiję
twoją witką kogoś zbiję
Trwaj choć cię boli

Przecudna brzozo
na nic tve żale
jeśli mnie znudzisz
zaraz cię spalę
twoim ogniem się ogrzeję
twe popioły wiatr rozwieje
na nic tve żale

Dagna Ślepowrońska

Jerzy Śleszyński

Wiosna 2020

Wszystko wraca do normy
kapusta rośnie na gnoju
królik zjada kapustę
wilk zjada królika
człowiek zabija wilka
wirus zabija człowieka
i kapusta ma na czym rosnąć

Życie

To nie my
żyjemy

to nie my wybieramy życie
to życie wybiera nas

wskazuje palcem
jak przy decymacji
jak na peronie selekcji

temu przydziela kalectwo
tamtej ojca alkoholika
a tamtemu niewierną żonę

rozdane karty
ustawiona szachowa pozycja
ślalom nie do pokonania

co wybrałeś w swoim życiu
co wybrało ciebie

wrzuceni w nie
toniemy

Andrzej Słomianowski

Nie jest źle być Polakiem

Pożyjesz poza Polską pół wieku,
czyli kawał życia,
i zobaczysz i przeżyjesz to i owo
i niejednym pochodzisz brukiem,
jak wielu z nas,
zdarzyć się może któregoś dnia
moment (gdzieś w Paryżu,
pijąc w bistro kawę na stojąco),
w którym ci do głowy sama
przyjdzie myśl, że mimo wszystko
nie jest źle być Polakiem.

Z niejednym będziesz rodakiem
dyskutował i spierał się o rzeczy
niezrozumiałe dla tych nie
z waszego plemienia,
a między których los was
zapędził, naznaczonych tym unikalnym
znakiem... I nawet kiedy
będzie ci źle i będziesz dzień
w dzień na swój los pomstował,
nie pomyślisz nigdy, że chciałbyś
być kimś innym niż Polakiem.

Kiedy wreszcie po latach tułaczki
i dryfowania, dobijesz w końcu do
rodzimego brzegu (jakbyś był gdzieś
zagubionym statkiem) i zobaczysz kraj
odrodzony po pieklach historii,
przeżegnasz się odruchowo krzyża znakiem,
nie ogarniesz wszystkiego od razu,
nie zrozumiesz,
ale wzruszysz się, łzę uronisz –

i będziesz się cieszył,
że jesteś Polakiem.

Obiad z Pułkownikiem

*Pamięci płk. Ryszarda Kuklińskiego,
w dziesiątą rocznicę śmierci (1930–2004)*

We will not be shipwrecked on a vain reality.
Henry David Thoreau – *Walden*

Przeżyłem go z bliska: można
nawet powiedzieć, że zjadłem
obiad w jego towarzystwie, na
Nowym Mieście w Warszawie,
w restauracji Samson.

Cenię sobie pamięć tego obiadu.
Dlaczego? Bo dziś szuler królem,
a na bohatera wylewa się łajno.
Pułkownik to mój bohater, obok
„Nila” Fieldorfa i Pileckiego.

Siedzieliśmy nie dalej niż dwa
metry od siebie, on we wnęce,
z bliskimi i ochroną, ja przy
stoliku bliżej okna, profilem do
powściągliwego bohatera.

Byłem z młodą tłumaczką, nic
jej nie mówiąc. Pułkownik i ja
jedliśmy nasze zrazy w wolnej
Polsce, o którą walczył. Był
początek maja, rok 1998.

Pewnie czuł mój podziw, gdy na
niego patrzyłem. Kochaliśmy to

samo: wolność, Polskę, Amerykę,
Conrada, i wiedzieliśmy obaj, co
znaczy herbertowska wierność.

11 lutego 2014 r.

Obrusy we Francji

Pamięci Jerzego Lisowskiego (1928–2004)

Najcięższe życie we Francji
mają obrusy.
Nie bezrobotni
emeryci
wdowy i inwalidzi,
ale obrusy.

Obrus – *la nappe*,
bez przerwy coś nań
chlap albo kap;
najczęściej wino chlap
(na przykład burgund),
albo sos.

Ożywiona rozmowa: gość
w emocjonalnym geście
potrąca *ballon*
i już rozlane Bonne Mares
albo Richebourg,
oh là là!

Wina szkoda,
ale i obrusy biedne.
Sosy przednie,
dajmy na to *La meurette d'oignons*,
albo *Sauce provençale*
okropnie brudzą.

Obrusy się płoszą,
 gdy kelnerzy wnoszą:
La soupe du pêcheur,
 a na drugie
Le navarin de mouton,
 a na deser powiedzmy

La bûche des rois mages;
 a jak ktoś zechce
Le sorbet au cassis
 i takie jeszcze
 różne delicje
 jak lody – *les glaces*,

już nie mówiąc
 o *La mousse au chocolat*,
 albo o kompocie z gruszek
 w czerwonym winie –
 nie daj Boże
 jak na stół popłynię!

Tak, obrusy we Francji
 mają ciężkie życie.
 Ich biografie obfite, lecz nikt
 nie czyta ich pamiętników.
 Szybko wyrzucane na śmietnik,
 ich żywot gorszy niż zwykłych ręczników.

Poeta i język polski

W obcej ziemi, w grocie mrocznej
 pod stalaktytami, śpi poeta już sto lat
 na katafalku szklanym, śpi głęboko,
 pod ziemią głęboko...

Ale oto kroki lekkie słychać gdzieś
 wysoko, tam gdzie schodów krętych

tysiąc i sto, ktoś zbiega szybko w dół,
zbiega lekką stopą...

I wnet rzednie mrok, kiedy młodzik
światlisty staje obok śpiącego, płaszcz na
nim biało-szkarłatny, w ręku ma prosty krzyż,
krzyż z drewna jasnego...

Dotyka nim piersi poety i mówi: – Już
pora! Wstań i idź do plemienia twego
i wszystkie siły zbierz, bo zmora
dręczy mnie, ohydna zmora...

Rwie się oddech miarowy i jęk głośny,
ból pełen, dobywa się z piersi poety,
ramiona mu drgają i drgają powieki,
w szarej twarzy powieki...

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!
Obudź się! Wstawaj, mówię ci! Już dość
snu twojego! Do kraju musisz iść, do
kraju ojczystego...

Poeta otwiera oczy. – Panie z wysoka,
ratuj! Ratuj! – mówi. – W mym boku
zatrutej strzały grot truciznę sączy,
zarazę sączy...

Nim słońce wejdzie, będziesz zdrów i rano
ruszysz do swoich. O mowę ojczystą bić się
będziesz, wraz z tymi co ją jeszcze kochają,
co język plemienia kochają...

Tam Wieża Babel i Sodomia w jednym, i gorzej
jeszcze! Mowę ojczystą niszczy bałwan
obcy, a oni nic tylko „kur...” i „kur...”,
„kur...” i nic więcej...

Zapadła cisza, wody słysząc plusk,
poeta oddycha z trudem. W twarz jasną
patrzy i mówi szeptem: – Na Krzyż, Panie,
na Krzyż ślubuję...

Pójdę tam i innych pozbieram. Do skutku
bić się będziemy. A co nam obcy narzuci
bałwan, Słowem odeprzemy,
Krzyżem odeprzemy.

W drogę!

Dla Eriki

Zima i jej wierna towarzysza
ciemność zwolna wycofują się,
światło dnia robi się coraz
mocniejsze, a noc coraz krótsza.

Z przewlekłego zimowego snu
budzą się stare i nowe drogi
i zarażają nasze stopy
świerzbującym niepokojem.

Nareszcie ostatnia noc tutaj.
W korytarzu stoją rzędem
spakowane walizki, a na dole
czeka już furman.

Czy na pewno mamy wszystko
ze sobą? Pamiętałaś o czerwonych
rękawiczkach? A co z kluczami?
Zostają? A więc w drogę! Czas na nas...

2018

Andrzej Słomianowski

Konrad Sutarski

Zaczęło się od ciszy

Zaczęło się od ciszy
niesamowitej głuchej przenikliwej ciszy
której nie można było wytrzymać
poza tym pustka była i nicość
Cisza ta potęgowała się pęczniała
aż wreszcie pękła
rozsypując się po niebie gwiazdami
Bóg musiał schować się głęboko
by go odłamki tych olbrzymów nie zatłukły

Tak powstał wszechświat
z pustki i nicości
z nich ukształtował się człowiek
by w tej pustce i nicości
nauczył się odróżniać dobro od zła
i życia w świetle z dala od ciemności

Dlatego długo trzeba było czekać
lat tysiące
wszczynać wojny nie do wygrania
by zgłiszczą po nich i ruiny zostawały
upadki państw wędrówki ludów
aby ludzkość rozwinęła się wreszcie
w kłębowisko ras kultur i nędzy
a media w poprawność kłamstw
gdzie nikt już nie odróżnia dobra od zła

i tak nastała cywilizacja chaosu
gdzie pieniądź stał się największą potęgą
ziemia i wody musiały się mu podporządkować
i powietrze mu służyć
by on był jedynym strażnikiem chaosu
i ludzkiej nędzy

Kiedy już i cała ludzkość przejęła ideę chaosu
a chaos nadal potęgował się i pęczniał
pękł wreszcie z nadmiaru pychy
i rozpadł się w pustkę i nicość

Bóg uznał że owa pustka i nicość
doskonalsze są od chaosu
wyszedł wtedy z ukrycia
i z ulgą odetchnął

2020

Kazimierz Świągocki

Do zmarłego przyjaciela

Pamięci poety Feliksa Rajczaka

*teraźniejszość pełna jest przyszłości i obciążona przeszłością (...)
w najmniejszej substancji oczy tak przenikliwe, jak oczy Boga,
mogłyby wyczytać cały ciąg rzeczy wszechświata*

G.W. Leibniz, Nowe rozważania dotyczące umysłu ludzkiego

W podbiegunowyś zaszedł krąg,
gdzie wszystko trwa w półcieniach,
gdzie nawet gwiazdy, jeśli są,
to są pół światłem, pół wspomnieniem.

W śnieg się obraca każda rzecz
i świat się staje bielą.
Tu nie ma drogi wprzód ni wstecz
poza ostatnią sferą.

Zamknięte koło. Ucichł czas.
Bóg jeszcze się nie zjawił.
Żywi szukają go wśród gwiazd.
Ty – wielki swoją śmiercią – spraw,
by ktoś te gwiazdy zbawił.

Ty cichy tak jak siewca traw,
które nad ciałem jego wzeszły,
ucisz i oświeć nas choć w snach,
w co się obraca przeszłość.

Bo twoja postać przecież trwa,
choć nigdzie cię tu nie ma.
Słyszę twój głos, odczuwam wzrok
i czekam oświecenia.

1987, 1992

Nad Baczyńskim

Odszedłeś, jak odchodzą ptaki,
gdy pan ich pieśni mówi: dość,
przerwać śpiew i do Itaki
wracać do gniazd na Wielki Sen!

A nas tu kto ocali w słowach,
które są krzywdzie, bólowi miłość?
i odchodzącym stąd kto powie,
że ziemia grzechy tylko śniła?

Słowo jest czynu testamentem,
kto czuł karabin w dłoni – ten
i krzyż, i śmierć już zapamięta,
choć nie wie, miłość czym, czym gniew.

Twa śmierć jak czas niedotykalna
powiększa nas o pamięć gór.
Ludzie mijają w nienawiści
jak szelest czarnych ptasich piór.

1968

Baśń wigilijna

Nie chodź matko do lasu w wigilię
po kadzidło, chrust, mirrę i złoto,
bo cię wilcy-herody zabiją
i złe drzewa runą i przygniota.

Ale Syna weź w dłonie i wkołysz
w rytm obłoków i w krwi naszej oddech.
Gdy modlitwą go stamtąd zawołasz,
zagrzmie gwiazda i obudzi głodnych.

Pójdą wszyscy ze snu w chłodną północ,
w zamarznięte obrywy powietrza

szukać głosu, co w snach ich omusnął,
płaczem niebo otworzył na przestrzał.

A po lasach głębokich zwierzęta
wchłoną zimy dostojność w swe ciała
i jak pełne pogody okręty
żagle śniegu w noc będą leciały.

Szare wilki uciszą krwi głody,
poszum Słowa czując w drzew koronach.
Światło gwiazdy połączy się z wodą,
zło przeminie jak echo po dzwonach.

1966

Kazimierz Świgoński

Agnieszka Syska

Szoszana Syska

stacja między rzec

I

po to usypano międzyrzecki tabor

taborskiego

meira
szlomo
jehudę

rabinowicza

na jeziorach

żeby się osunęli w harfę

stacja między rzec

II

jehoszua łączner matki

wnuk po matce

stacja między rzec

III

meir

szlomo

jehuda

wobec jehoszuy
przemieniał ich trzech w jehoszuę

ten jeden międzyrzec podlaski
przemieniał w jehoszuę

żaden folusznik nie przemieni
czystej krzyny
w białą

na oczach wszystkich
mojżesza i eliasza

stacja między rzec

IV

cadykowie

jak rok nowy baalowy jehoszua

drabina wychodzi z bramy pieckiej

braclawie

z pieckiej tabor ognistej niebieskiej

bratysławie

taborzy cadykowie wracajcie na ziemię

nachmanie neumanie

wracajcie na ziemię

rzec niebo

stacja między rzec**V**

meir

szlomo

jehuda

wobec jehoszuy
przemieniał ich trzech w jehoszuę

ten jeden międzyrzec podlaski

jehoszuy

żaden farbiarz nie przemieni
czystej krzyny w białą

na oczach wszystkich proroków
mojżeszów i eliaszów

krzyżu dawidów

stacja między rzec**VI**

meir

szlomo

jehuda

wobec jehoszuy
przemieniał ich trzech w jehoszuę

ten jeden międzyrzec podlaski

jehoszuy

żaden farbiarz nie przemieni
czystej krzyny w białą

na oczach rybaków proroków poetów
mojżeszów i eliaszów

rodów dawidów

stacja między rzec

VII

meir

szlomo

jehuda

wobec jehoszuy
przemieniał ich trzech w jehoszuę

ten jeden rabinowicz międzyrzec podlaski

jehoszuy

biały nade wszystko

17.02.2017, Warszawa

https://pl.wikipedia.org/wiki/Meir_Szlomo_Jehuda_Rabinowicz

Agnieszka Syska

Janusz Andrzejczak

Próchno

Może być tak:

Jesteś znany, doceniany, dostajesz nagrody, już o nic nie musisz się starać i już to inni stoją po ciebie w kolejce... Masz co robić od rana do nocy, nawet i kosztem snu. Rano, gdy tylko oczy otwierasz, sprawdzasz, kto do ciebie napisał, kto cię o coś prosi, kto cię za co chwali i czego od ciebie chce. Ktoregoś takiego poranka wyskakujesz z łóżka, bo oto dowiadujesz się, że znów otrzymałeś prestiżową nagrodę, albo i samego Nobla. Tym samym dowiadujesz się, że od dziś przestajesz być zwykłym śmiertelnikiem, że stajesz się bogiem, że co prawda wciąż wiesz, że umrzesz, ale to będzie już inne umieranie, inna w ogóle śmierć: śmierć, jakiej w całej historii świata doświadczali tylko nieliczni, tylko wybrani, śmierć – na specjalnych zasadach. Nawet gdy sobie dla niej zażyczysz intymności, za drzwiami twojego umierania czekają już paparazzi, czekają biografowie, dziennikarze, czytacz tabloidów, różni naukowcy, którzy zamierzają na tobie zrobić karierę. I nawet umierając wiesz, że to jeszcze nie koniec czerwonego dywanu, bo ten ostatni, jeszcze rozwiną przed twoją trumną.

Albo tak:

Jedziesz do lasu, kładziesz się w trawie albo we mchu, opierasz głowę o drzewo i o niczym nie myślisz. Leżysz tak sobie godzinę, dwie, a może i dłużej, nie mając w sobie najmniejszego z najmniejszych wyrzutów, że tracisz czas, że tyle jest do zrobienia, że ktoś czeka na to, co wylatuje motylem z najlepszego ciebie. Leżysz sobie i leżysz, ale co jakiś czas wstajesz, bez powodu. Oto zobaczyłeś kilka metrów przed sobą najzwyklejszą ze wszystkich gałązkę, a ona jakoś cię wzywa byś do niej podszedł i ją po prostu dotknął. Otwierasz dłoń, chwytając ją od spodu, leciutko unosisz i przyglądasz się jej stwierdzając, że jest absolutnie wyjątkowa we wszechświecie takich samych wokół gałązek i cieszysz się, że dlatego właśnie, warto było dla niej wstać. Z pamięcią niezwyklej zwykłości tej gałązki wracasz na swoje miejsce, opierasz głowę o to samo co przedtem drzewo nie wiedząc, że po opuszkach twoich palców, wszedł na ciebie z tamtej gałązki prawie przezroczysty pajączek. I gdy powoli zsuwasz się z pnia w poziom mchu, ów pajączek już rozsnuwa od jednego do drugiego twojego krańca

swą nić. Gdy długo będziesz tak leżał, zasnuje cię całkowicie i wtedy będzie po tobie. Zdając sobie z tego sprawę, co jakiś czas wstajesz, wchodzisz w chaszczę, patrzysz na pnie, zadzieraszą głowę po korony drzew i nagle odkrywasz, że w jednym z pni jest dziupla. Nie wiesz czemu, intryguje cię ona. Zajrzeć do jej środka nie da rady, więc wkładasz w nią rękę i grzebiez w niej. Wtedy przypominasz sobie, że niegdyś, po wszystkich lasach swego życia, zostawiałeś w dziuplach swoje wiersze, o których istnieniu nikt nie wiedział. Pisałeś je najczęściej w lesie. Zawsze miałeś ze sobą stary szkolny zeszyt do robienia notatek, ale niewiele w nim pisałeś, bo okazywało się, że żadna litera nie była warta tego, co widziałeś, co czułeś, czego doświadczałeś w swej półrzeczywistości. Czasami, udawało ci się napisać wiersz, bo on się lasowi, drzewu i dziupli w nim, po prostu – należał. Należał się próchnu w niej i wszystkiemu stworzeniu, które w niej żyło: bakteriom, czerwom, poczwarkom, stonogom, wijom, rozmaitym chrząszczom, pająkom, temu wszystkiemu, co ludzie nazywają „robactwem”, którego tak strasznie się boją i brzydzą. Należał się też uśpionym w niej nocnym ćmom i dziennym rusałkom pawikom, sowom się należał, dzięciołowi, leśnej kunie, wiewiórce, leśnym muchówkom i pszczołom, wszystkiemu co tam żyło. Należał się, bo to byli twoi najlepsi, najwierniejsi czytelnicy! Rozgrzebywali te twoje wiersze pazurami, szponami, zębami, rwali na strzępy utykając z nich swoje gniazda, mościli sobie nimi posłania, robili na nie kupki, a sowy, po ich przeczytaniu, usuwały je w formie wypluwek na zewnątrz dziupli.

Zapomniałeś już kiedy, w jaką dziuplę je wkładałeś, ale tu, coś cię tchnęło. Włożyłeś rękę do środka. Przebijając pajęczyny, natrafiłeś na próchno i coś na samym dnie. Nabrałeś garść tej próchnicy i wyciągnąłeś jej zawartość na zewnątrz. W środku była postrzępiona, podziurawiona, na wpół przegniła – kartka! Z Twoim wierszem! Nie pozostało w niej nic do przeczytania, prócz daty: 12.02.2003. A więc, przez trzynaście lat twój wiersz, został zacytowany do samego końca!

To wtedy, w tym samym momencie, zleciał na ciebie maleńki, przedjesienny, brzoźowy listek.

Usiadł sobie na twoim prawym ramieniu jak jakiś generalski epolet.

A to był listek z Leśnej Akademii Literatury potwierdzający otrzymanie największej na świecie literackiej nagrody.

Janusz Andrzejczak

Paweł Dunin-Wąsowicz

Leksykon detektywów warszawskich

(fragment)

KARCZ JAN JÓZEF – oficer Komendy Głównej Policji odwiedzający w *Widzę śmierć* Krzysztofa Kąkolewskiego [2011] starą nauczycielkę Ziutę w sprawie fałszywych zeznań dotyczących wypadku w alei Waszyngtona – prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa, przez domofon przedstawia się jako umówiony na korepetycję uczeń. Patrz ROSTOCKI.

KOGUT JANUSZ – zwolniony ze służby rozpity były porucznik milicji, bohater powieści Jacka Natansona *Powisłe* [2011]. Jej akcja rozgrywa się w 1983 r., gdy od miesiąca nie pije. Rozpamiętuje młodość na Powiślu przeżyłą oraz pierwszą i ostatnią swoją wielką sprawę – konia Kaliguli. Razem z podporucznikami Sękiem i Kopusiem rozpracowywał ją na wyścigach na Służewcu – najdroższy arab w kraju, własność prywatniarza, został wyprowadzony półtora roku wcześniej – po długim śledztwie wykrywają, że boss sam konia sobie ukradł i wywiózł z Polski. Jako że miał plecy, sprawa została umorzona, a trzech podporuczników dostało awanse na otarcie łez. Ponieważ jednak Kogut opiera się starej nimfomance mjr K. Urewicz, jego kariera zostaje zablokowana; oficer rozpija się, a w końcu zostaje zwolniony w 1981 r. w wieku trzydziestu lat i przeniesiony na rentę.

Kogut, trzydziestopięcioletni absolwent handlu zagranicznego na SG-PiS, mieszka we własnościowym mieszkaniu przy Kruczkowskiego, odziedziczonym po stryju. W ciągu roku stał się ekspertem od barów mlecznych, w których się pożywia. Opuszczony przez żonę Monikę, która zabrała synka, uczucia przelewa na psa Tosię, z którą włóczy się po Powiślu. Nie płaci alimentów. Pali klubowe i carmeny. Na kawę chodzi do Złotej Kaczki i Syrenki.

Nachodzą go esbecy nakazujący dla jego dobra pisać pamiętnik – on żąda po tysiąc złotych za rozdział.

KORSAK – podkomisarz komendy rejonowej policji w powieści Tadeusza Konwickiego *Czytadło* [1992]. Prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa młodej kobiety Wery Karnowskiej, której nagie ciało znajduje w mieszkaniu rozkojarzonego narratora na tyłach Nowego Świata. Zabiera go do komendy na Wilczą, gdzie spokojnie wysłuchuje jego wyjaśnień i zatrzymuje w wygodnym areszcie, a niebawem wypuszcza po kaucji wniesionej przez reemigranta z Australii Toniego Mickiewicza, znajomego sprzed lat z Wileńszczyzny. Kiedy narrator ponownie zgłasza się na komisariat, dowiaduje się, że Korsak porzucił służbę. Po pożarze komisariatu spotyka go za to na mieście jako kierowcę fantastycznego pojazdu, którym były podkomisarz wywozi narratora na garden party Soboru Słowiańskiego na suburbiach.

Korsak to młody, łysiejący blondyn w jasnym garniturze, podobny do pewnego aktora (przynajmniej, że bywa omyłkowo proszony o autograf). Bardzo uprzejmy, powtarza frazę „mniejsza z tym”. Oprócz prawa studiował astronomię, ale nie skończył i zapomniał. Należy do policyjnego kółka teatralnego i chce wystawiać Szekspira. Żona Korsaka jest psychologiem.

ROSTOCKI – podinspektor policji w *Widzę śmierć* Krzysztofa Kąkolewskiego [2011], przyjmujący na komendzie fałszywe zeznanie starej nauczycielki Ziuty w sprawie wypadku w alei Waszyngtona.

Patrz: KARCZ JAN JÓZEF.

SIWY – milicyjny emeryt, który już jako osoba prywatna wraca do swojej ostatniej sprawy w powieści Krzysztofa Kąkolewskiego *Zbrodniarz, który ukradł zbrodnię* [1969]. Osiągnął stopień kapitana, pracował w Komendzie Głównej MO, w wieku trzydziestu dziewięciu lat przeniesiony w stan spoczynku z uwagi na bardzo poważną chorobę serca. Zajmował się sprawą napadu rabunkowego na Puławskiej z 29 kwietnia 1966 r., w trakcie którego skradziono teczkę z utargiem ze sklepu i w której to sprawie zapadł wyrok skazujący młodego Lechosława Kenera. Zawału doznał podczas innego śledztwa – rozpracowania ogromnie rozgałęzionej na warszawskich przedmieściach grupy przestępczej.

Zobaczywszy po roku gazetę z wiadomością o tragicznej śmierci Ewy Salm – dziewczyny świadczącej w procesie Kenera, postanawia przeprowadzić na nowo prywatne już śledztwo, dowodząc niewinności skazańca (wzbudza to zresztą podejrzenia dawnych kolegów, którzy zarządzają obserwacją Siwego przez wywiadowców). Odwiedza Kenera w więzieniu

i włóczy się po melinach na Pradze. Odnajduje prawdziwego sprawcę – niejaki Bobo, który zeznawał, wrabiając Kernerę – i doprowadza go do miejsca ukrycia łupu w bazie samochodowej na Służewcu w rejonie Wyścigów. Zatrzaśnięci w piwnicy Siwy i Bobo dopiero po paru dniach zostają odnalezieni przez milicjantów z Biura Kryminalnego Komendy Głównej – przez ten czas Siwy i przestępca grzali się własnymi ciałami, a pożywiali jego tabletkami nasercowymi.

Syn prowincjonalnego nauczyciela zabitego przez antykomunistyczne podziemie, uznany za talent kryminalistyczny natychmiast po ukończeniu szkoły oficerskiej. Żonaty, ojciec dwojga dzieci, Siwy mieszka przy Odyńca – zapewne na osiedlu MSW Wierzbno I. Ma około stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, dość tęgi, włosy siwe, uczesane w przedziałek, oczy niebieskie, cera ciemna. W niemal natychmiast zrealizowanej ekranizacji *Zbrodniarza...* (ze zmienionym nieco zakończeniem) w reżyserii Janusza Majewskiego, rolę Siwego zagrał Zygmunt Hübner.

Paweł Dunin-Wąsowicz

*W przytoczonym fragmencie Autor przedstawił bohaterów
książek autorstwa nieżyjących członków OW SPP.*

Jacek Durski

Proza

Oglądam z Będlewskimi pogrzeb Johna F. Kennedy'ego. Przynieśli swój telewizor. Ustawiłem go przed łóżkiem matki. Zerkam na śpiącą. Na ekranie Jacqueline Kennedy jak czarna gwiazda, obok Caroline i mały John. Salutuje ojcu.

– Popatrz dyrektorowo! Charles de Gaulle – krzyknął Będlewski. – Jest też Mikojan. Morderca Węgrów – zawołał ciszej.

Matka śpi. Kondukt, tłumy, Kapitol, Potomac, cmentarz Arlington. Matka śpi dalej. Werble. Salwy.

– Chowają mnie w Owicach! – wrzask przed telewizorem Będlewskich.

(1964)

– Wiesz Zosiu, co powiedział mi pijany Nieszporek? – zapytała Donajska. – Że mamy w Polsce broń atomową. W jakimś Trzemesznie, Sypniewie. Broń do raket i samolotów. W razie czego, Polska ma najechać i zbombardować Europę aż do Renu.

– To zaraz nam NATO przypierdoli – odrzekł Donajski. – We wszystkie duże miasta. A Katowice to wpadną do ziemi – przysunął sobie fotel do łóżka. – Powiedz, co o tym myślisz kuzynko? – zagadnął do matki.

– Wypiłabym. Niech się dzieje, co chce, żeby tylko zniszczyli Związek Radziecki – zatrzepotał język, jedyny narząd sprawny jak dawniej.

– Ja też bym coś wypił, Zosieńko. Zjadłbym.

– Kto zrobi kolację Donajskim? Może panna Agata? Siedzicie tylko w pracowni, zamiast pomyśleć za panią.

* * *

Puka ojciec do drzwi, chociaż otwarte. Wszedł w dwóch kapeluszach. Licząc w myślach produkowane akumulatory, założył filcoka na filcok.

– Pani Stenia chciałaby obejrzyć atelier. Nigdy nie widziała czegoś takiego.

Wchodzi za ojcem jego sekretarka. Szczęśliwa. Wreszcie będzie mogła zobaczyć, jak mieszka jej dyrcio. Popatrzeć z góry na panią dyrektorową.

Spoglądam ze zdziwieniem na mojego starego. Śmieje się. Wziął Stenię za paluszek i prowadzi między kawaletami. Rozprawia o rzeźbach, obrazach, jakby wykladał o energii jądrowej. Bardzo udana para, on pod siedemdziesiątkę, a ona po dwudziestce. Razem dość młodzi. Nie mają stowy.

Okleiłem ich w myślach kolorowym papierem. Rysuję to widzenie kredkami. Pomarszczonego z udrapowaną.

– *Jesteś bezczelny – alarmuje kreska za kreską.* – *Bardzo.*

– Tak szybko nas pan namalował. Tacy jesteśmy podobni – zachwyciła się Stenia zrobioną w biegu pastelą. – Czy mogę to zabrać? Oprawiłabym u Helsnera w złotą ramę i powiesiła w sekretariacie nad proporczykami fabryki.

„Nie dawaj czasem!”, wrzasnął ojciec bez głosu. Wyprowadza z pracowni Stenię, ściskając drobny paluszek.

– Widziałem wczoraj w Warszawie przy Grobie Nieznanego Żołnierza, Hajle Sellasje. W otoczeniu KC modlił się oparty na szabli, klęcząc. Przeznaczona twarz. Chciałbym mieć taką twarz i szykowną figurę.

– Pan dyrektor jest piękniejszy od tego Etiopy – śpiewa głośno Stenia na korytarzu, żeby ją słyszała dyrektorowa.

– Ta pani za długo przebywa u nas! – woła matka ze swojego pokoju. Po co tu przyszli razem? Denerwować mnie? Siwy pajac z blond lalą!

– Kupiłam ci dyrcio nowy parasol – wyśpiewuje Stenia.

Jestem wściekły. Przez moment lubię matkę. Wyrzuciłem blond piękność z mieszkania. Pchnąłem ze schodów. *Niech ją wezmą Bendlewcy.* Ojciec został na korytarzu.

– Zobaczyłem twoją przyszłość w postaci algebraicznej. Artysta, jednostka urojona! – krzyczał wzburzony.

– Wiem, nie po to studiowałeś chemię i fizykę, aby twój syn był malarzem. Artystą bez pieniędzy. Obiecuję ci, że za kolejny sprzedany obraz, kupię ci kilka kapeluszy. A może kilka parasoli? Teraz idź już do swojej blond! Pozbieraj ją ze schodów! – z hukiem zamknąłem drzwi. Czekam na moją Agatę.

Andrzej Marek Grabowski

Jonatan i Biały Kruk

(fragment)

Hippoxianie niespiesznie ruszyli do wyjścia. Rororo zdążył jeszcze chwycić niedojedzoną paczkę smażynek. Po chwili cała trójka siedziała w kabinie pojazdu ratunkowego, który wystrzelił jak korek od szampiana i ze świstem poleciał w rozgwieżdżoną przestrzeń.

Gryks był w nastroju zupełnie niehippoxiańskim.

– Nie chciałbym być w twoim futrze, kiedy wrócimy do bazy.

Nawigator ciężko westchnął:

– No co? Każdemu może się zdarzyć. To przez te głupie meteoryty.

– Zobaczysz, że skończysz jako smarowacz – warknął kapitan.

Rororo wyprostował się w fotelu i chcąc pokazać, jakim jest profesjonalistą, zaczął stukać wszystkimi czternastoma palcami w znajdującą się przed nim klawiaturę. Uważnie spojrział na monitor i powiedział:

– Niedaleko jest jakaś planeta... Nazywa się... Ziemniak... Nie – Ziemia!

– Nie znam – mruknął kapitan. Dobry humor zaczął mu jednak wracać. Jego futro stało się zielone jak wiosenna trawka. Wesoło machnął uszami i zapytał:

– Zamieszkała?

– Niezbyt rozumne istoty dwunożne. Poza nimi zwierzęta, owady, rośliny – Rororo czytał z ekranu. – Ale atmosfera gęsta. Mogą być kłopoty z lądowaniem.

– Trudno, nie mamy innego wyjścia. Leyla, włącz dodatkowe osłony. I przygotuj informację o... Ziemi i jej mieszkańcach Ziemniakach.

– Mieszkańcy nazywają się ludzie – wyjaśniła Leyla, zerkając na monitor.

– Ludzie? Dlaczego mieszkańcy Ziemi nazywają się ludzie? To zupełnie bez sensu. Powinni nazywać się Ziemniaki...

– Jonatan! – usłyszał głos matki. – Obrałeś ziemniaki?!

Ciężko westchnął i zamknął książkę. Poszedł do kuchni jak na ścięcie. Po chwili siedział na stołku przed postawionym na podłodze garnkiem i wykonywał znienawidzone zajęcie. Dlaczego to zawsze on musi obierać kartofle?! Plusk! Krople wody jak srebrzyste żuki wyskoczyły z garnka i opadły na podłogę.

– Nie chlap! Wytrzymaj. Nie za mało? – mama zerknęła do naczynia i rozkazała: – Jeszcze pięć!

„Matka jest wredna! Okropna! Nienawidzę jej!” – kiedy był wściekły, w głowie pojawiały się najgorsze słowa.

Do oczu Jonatana napłynęły łzy. Wiedział, że nie warto dyskutować. Kiedy matka jest zdenerwowana, nie docierają do niej żadne argumenty. Nie obchodzi jej, że spóźni się na trening. Mimo to spróbował:

– Mamo, spóźnię się...

– Trudno, trzeba ponosić konsekwencje swoich czynów. Trzeba było wcześniej zacząć.

– Zapomniałem...

– Do pracy też zapomnisz pójść? Dzieci odebrać z przedszkola zapomnisz?

– Przecież ja nie mam dzieci... – jęknął.

– Kiedyś będziesz miał. I wtedy docenisz, że nauczyłam cię odpowiedzialności. Gdybyś tak długo nie czytał, już byłbyś w klubie.

Miała rację! Jonatan wiedział, że to jego wina, ale przecież tak trudno o wszystkim pamiętać. Człowiek ma tyle obowiązków, tyle spraw i rzeczy do zrobienia, a tylko jedną głowę! Zaczynał się, czy to takie straszne?! Książkę znalazł wczoraj. Kiedy wszedł do pokoju, okno było otwarte, a ona leżała na jego łóżku. Tego rodzaju książki widuje się na targach staroci. Ma pewnie kilkadziesiąt lat. A może kilkaset! Jest nienaturalnie lekka, jakby zrobiono ją z dmuchanego ryżu. Na jej wiśniowej skórzanej okładce nie ma żadnego obrazka, jest tylko tłoczony złocisty tytuł: *Hippoxianie*. Może ktoś ją wrzucił? Ale to przecież niemożliwe, bo mieszkają na trzecim piętrze. Jonatan nie wiedział, kogo podejrzewać. Nikt nie chciał się przyznać. Pytał rodziców – twierdzili, że to nie oni. Jeśli tak mówili, to tak było. Oni nigdy, nawet w żartach, nie oszukiwali.

Oczywiście cała rodzina była pewna, że to Jonatan przyniósł książkę i nie chce zdradzić, kto mu ją dał. Jeśli komuś zdarzyło się raz skłamać, to potem już nikt mu nie wierzy. Tak było z Jonatanem. Czasami rzeczywiście mijał się z prawdą, ale zawsze znajdował się bardzo blisko niej. Tak zwane kłamstwa, które zarzucali mu rodzice, były zazwyczaj nieporozumieniami. Jonatan po prostu opowiadał o zdarzeniach ze swojego punktu widzenia. Ale teraz to wszystko nie ma znaczenia. On musi obierać ziemniaki, a trening zaraz się zacznie. Spóźni się, bo czytał! Nie grał na komputerze, nie esemesował, nie siedział na fejsie ani na Snapchacie, nie oglądał filmików na musical.ly czy TikToku, tylko jak głupi czytał książkę! Czy

to sprawiedliwe?! Przecież rodzice ciągle powtarzają: „Czytaj, będziesz mądrzejszy!”. A on dobrze wie, że nie jest zbyt mądry. Ciągłe pały lub dwóje; święto, kiedy dostanie trójkę. I teraz poniesie karę za czytanie! Karaluch się wścieknie. To nie matka, lecz on będzie musiał słuchać wyzwisk, robić pompki i biegać dookoła boiska. Za każdą minutę spóźnienia jedno okrążenie. Będzie biegał w kółko, kiedy wszyscy inni będą już grali w piłkę. I to właśnie jest najgorsze!

Do kuchni weszła Hania.

– Joni, a kuku! – powiedziała i pogłaskała go po rękę. – Bawimy?

Na widok siostrzyczki złe myśli pierzchły z jego głowy jak gromada spłoszonych wróbli, a do serca napłynęła fala ciepła.

– Nie mogę, muszę obrać ziemniaki.

– Ja ci pomogę, będę patsyla.

Pogłaskał małą, a ona posłała mu uśmiech słodki jak ciasteczko. Jonatan przytulił ją tak mocno, że zapiszcziała.

– Nie zgnieć jej! – mruknęła mama, po czym ze złością krzyknęła:

– No, coś ty zrobił?! Dopiero uprałam! Chłopaku, dlaczego ty nigdy nie myślisz?!

Na różowej bluzce dziewczynki zostały dwie brązowe plamy.

Znowu się nie zastanowił, znowu nie pomyślał. No tak, oczywiście, brudnymi od obierania ziemniaków dłońmi nie można dotykać czystego ubrania. Ale poczuł do Hani tak wielką miłość, że natychmiast zapragnął ją przytulić. Nie zdążył się zastanowić. Co w tym dziwnego? Przecież uczucia są szybsze od myśli.

– Idź już na ten trening, bo zwariuję – matka wycierała bluzkę Hani ściereczką. – Ale po treningu zaraz wracaj. Szymek może ci pomóc z lekcjami tylko do szóstej. Potem idzie na szachy.

Szymonek! Czy może być coś bardziej wkurzającego niż przemądrzały starszy brat. Nie dość, że silniejszy, to jeszcze wszystko wie i uważa cię za przygłupa. „Szymon wygrał olimpiadę matematyczną, Szymon zajął pierwsze miejsce w turnieju szachowym, Szymon napisał piękne wypracowanie, pani tak go chwaliła! Może zostanie pisarzem albo aktorem, bo tak cudownie deklamuje wiersze”. Szymon to, Szymon tamto – może człowiek-a zemdlić.

Matka podała Jonatanowi jabłko, objęła go i pocałowała w policzek.

– No, nie martw się, będzie dobrze – powiedziała.

Wyrwał się. Teraz niech sobie całuje Hanię. On ma wszystkiego dość. Nie potrzebuje głupich pieszczot. Świat jest okropny i matka jest okropna.

Otworzył drzwi na klatkę i o mało nie stuknął się głową z Frankiem.

– Czekaj. Spieszę się – warknął nieprzyjaźnie.

Franek się cofnął, tuląc do piersi futerał ze skrzypcami.

– Zagrasz dziś ze mną w piłkę? – rzucił za nim.

– Na skrzypkach sobie zagraj! – odkrzyknął Jonatan i pobiegł w dół, przeskakując po trzy stopnie.

Natychmiast poczuł żal, że tak się odezwał. Franek był w porządku.

– Może wieczorem – zawołał w górę.

Zatrzymał się na pierwszym piętrze przed mieszkaniem numer cztery. Nacisnął dzwonek i spojrzał w okno. Na parapecie usiadł gawron. Coś z nim było nie tak. Jonatan wytrzeszczył oczy. Niemożliwe! Gawron miał na łebku malutki czerwony cylinder, a pod skrzydłem laseczkę zakończoną srebrną kulką! Spojrzał na chłopca uważnie siwymi oczami, nastroszył czarne pióra i zaczął się trząść. Śmiał się! Śmiał się jak człowiek!

„Wydaje mi się” – pomyślał Jonatan. – „Chyba mam coś z oczami. Ptaki nie noszą kapeluszy i lasek. Ptaki się nie śmieją! To niemożliwe!”

Zdążył jeszcze zauważyć, że na szyi gawrona bieli się malutkie siwe piórko, i wtedy drzwi gwałtownie się otworzyły.

– Chłopie, pali się? – krzyknął ojciec Wojtka. – Po co tak dryndasz?!

Jonatan popatrzył na niego jak na kosmitę. Nie był w stanie powiedzieć ani słowa. Oderwał palec od przycisku dzwonka i wskazał okno.

– Co? – zapytał ojciec, spoglądając we wskazanym kierunku.

Jonatan podążył za jego wzrokiem. Parapet był pusty.

– Wojtek pobiegł na trening. Czekaj, bo miałeś po niego przyjść. Jest na ciebie wściekły. Do widzenia.

Drzwi się zatrasnęły. Jonatan podbiegł do okna i rozejrzał się za gawronem, jednak ptaka nigdzie nie było.

Pędem ruszył do klubu.

Andrzej Marek Grabowski

Jonatan i Biały Kruk

Ilustracje: Marcin Minor

Stron: 353

Wydawnictwo: Adamada

ISBN: 978-83-8118-093-1

Dla dzieci 10+



Joanna Jagiełło

To już nie ma znaczenia

(fragment powieści)

Prolog

Niektóre chwile zmieniają wszystko. Są jak granica między przed i po. Kiedy młody mężczyzna wchodzi na barierkę na moście i skacze w dół. Kiedy kobieta wsiada do samochodu, z którego nie wyjdzie już żywa. Kiedy noworodek wydaje z siebie pierwszy krzyk. Otwarcie drzwi, naciśnięcie spustu, uderzenie.

Pierwszy krok w tańcu. Ten moment, gdy cisza zostaje przzerwana takimi muzyki, a bezruch lekkim uniesieniem stopy, nagłym przecięciem powietrza ramieniem, rozkołysaniem biodra. A potem taniec już płynie.

Dziewczyna ma na sobie prostą koszulkę i legginsy, ciemne włosy rozpuściła i przewiązała przepaską. Tańczy tak, jakby jej ciało ważyło tyle co puch, jakby unosiła się w powietrzu jak nasionka dmuchawca nad trawą. Ale on sprowadza ją na ziemię, chwytą za nadgarstki, wygina ręce, pokazując, co ma robić. Lekko przechyla ją nad podłogą, a ona czuje jego mocny uścisk i wpada w jego ramiona jak do studni. Czuje jego ciepło i tę pewność, której jej jeszcze brakuje.

Są chwile, które zmieniają wszystko.

Pocałunek.

Wędrujący nagle z policzka na wargi, jakby był osobnym, samoistnym bytem. Balonem urwanym z uwięzi, uwolnionym z siideł zwierzątkiem. Tak o nim myśli, kiedy czuje jego usta na swoich. „Stąd odwrotu nie ma już – śpiewa Upiór w jej głowie. – Sama przyszedł tu, bo tak chciałaś. Pozwalasz na to, bo tego chcesz”.

Pocałunek schodzi niżej, zbiega. Galopuje po jej ciele jak ciepły deszcz, który jest wszędzie, na całej skórze, w tysiącu miejsc naraz. A tam, gdzie jeszcze nikt jej nie dotykał, wybucha czerwonymi iskrami przyjemności.

Dziewczyna czuje mrowienie w końcach palców. Radość i lęk jednocześnie. Tamy zostały zerwane.

Właśnie trafiła do piekła.

* * *

Kilka lat wcześniej.

Wchodzą do nowego budynku Domu Kultury. Pojedynczo, jeszcze się nie znają. Jedna nieśmiała, od razu widać, że trochę się boi, bo aż skuliła się w sobie. Raczej niska, z kitką jasnych włosów, ubrana w wyblakły T-shirt i znoszone buty. Na plecach dźwiga ciężki plecak, jest prosto po szkole. Druga idzie sprężystym krokiem, odgryzając wielkie kawały pączka z nadzieniem z budyniu i lukrem. Kilka kawałków lukru przyczepiło się do brody, a do rozczesanych w afro kręconych włosów przyłgął żółty liść. Dziewczyna sama jest pulchna jak ten pączek, ale jeszcze aż tak bardzo się tym nie przejmuje. Ta trzecia widzi jej plecy, kiedy wchodzi do budynku, i czuje burczenie w brzuchu, zauważa tego jej pączka i zupełnie nie rozumie, dlaczego nie zjadła obiadu w szkole, nie miała wtedy ochoty, a teraz żałuje. Ma włosy obcięte na garnek i plecak, do którego poprzyczepiała metalowe przypinki z różnymi napisami i emotikonami. Ostatnia wpada lekko spóźniona. Ładny czerwony sweterek, na którym lśnią rozpuszczone ciemne włosy, spódniczka w kratkę odsłaniająca długie, szczupłe nogi w białych rajstopach i lakierki – wygląda jak dziewczynka z dobrego domu. Ogląda się jeszcze za siebie, jej włosy w tym ruchu falują jak wodorosty, a potem magicznie wracają na swoje miejsce. Dziewczyna patrzy na zegarek, marszczy brwi i mocno pcha przeszklone drzwi, przez które wpada przyjemne, ciepłe światło.

Szkoda, że wtedy nikt nie zrobił im zdjęcia, ani przed drzwiami Domu Kultury, ani w środku, kiedy ubrane w stroje gimnastyczne przyglądały się po raz pierwszy, jak przystojny mężczyzna o hiszpańskiej urodzie pokazuje im elementy choreografii, i gdy potem nieśmiało powtarzały je za nim, w tym pierwszym, jeszcze niespecjalnie udanym tańcu. Szkoda, że tego pierwszego zdjęcia nie ma, że ta scena zachowała się tylko w ich pamięci.

Jest za to ostatnie.

* * *

Wtedy.

To ostatnia fotografia, na której są wszystkie cztery. Andżelika, dla przyjaciółek: Aniela. Jasnowłosa, z nich wszystkich najdrobniejsza. Ledwo metr pięćdziesiąt pięć i boi się, że już nie urośnie. Często żartują, że na wybiegi nie ma szans, ale na siedząco mogłaby pozować do zdjęć. Albo na leżąco.

Aniela się wtedy obraża, ale wszystkie cztery wiedzą, że obok niej żaden mężczyzna, niezależnie od wieku, nie przejdzie obojętnie, bo Aniela oprócz włosów w kolorze białego bursztynu ma wielkie brązowe oczy i piersi, do których kupuje staniki w rozmiarze D. Tak urosły w ciągu ostatniego roku i dziewczyna nie bardzo wie, co ma z tym zrobić, ale stara się nie martwić. W końcu chłopcom podobają się takie piersi. Zresztą ma inne zmartwienia.

Dalej jest Jagoda. Na wakacje pofarbowała sobie pasemka brązowych włosów na niebiesko, zawsze też nosi ostry makijaż, a szczególnie teraz, kiedy nikt się do tego nie przyczepia. Na obu powiekach ma turkusowy cień, usta w kolorze śliwki, a w jednym uchu aż cztery kolczyki. Tylko ona ma na sobie sukienkę, krótką i czarną, do tego założyła fioletowe wysokie trampki. Pozostałe dziewczyny są w dżinsach, T-shirtach i adidasach.

Ida, która stoi pierwsza od prawej, nie ma w szafie żadnej sukienki. Bałaby się wygłupić. Jest mocno przy kości i maskuje tuszę luźniejszym niż u innych czarnym T-shirtem. Ale to ona ciągle naciska, żeby robić zdjęcia, mimo że oprócz pełnej figury ma na zębach aparat korekcyjny, którego trochę się wstydzi. I teraz to ona ustawia je do tego selfie i pstryka, a w kadrze widać kawałek jej wyciągniętego ramienia.

Na tym ostatnim zdjęciu wszystkie się uśmiechają, ale nie Miriam.

Stoi pierwsza od lewej, ale między nią a przyciśniętymi mocno do siebie Anielą, Jagodą i Idą jest lekki odstęp. Jakby nie chciała być z nimi tak naprawdę.

Z nich czterech tylko ona ma postawę tancerki. Wyprostowane plecy, mocny, wciągnięty brzuch, jedna noga przed drugą, cofnięte biodra. Jest wypięta jak struna. Wygląda może nie na smutną, ale trochę obrażoną. Pełne usta pociągnięte bezbarwnym błyszcznikiem lekko wydeła, a oczy przymrużyła, ale nie od słońca, było przecież pochmurno, i dlatego zdjęcie wydaje się lekko nieostre albo przyszarzałe.

Miriam się nie maluje.

Nie malowała?

Trudno teraz, po tym wszystkim, znaleźć odpowiedni czas gramatyczny.

W każdym razie... Nie maluje się, bo nie musi. Ma ciemną oprawę oczu, długie rzęsy i wzniesione ku górze gęste brwi jakby czarne skrzydła. Już dawno dała sobie spokój i przestała je regulować, śmiała się, że to jak walka z wiatrakami. Kiedy jeszcze się śmiała. Teraz rzadko się uśmiecha. Wiatr lekko rozwiewa jej ciemne, równo przycięte włosy. Kilka kosmyków wychodzi poza kadr.

Rozdział Pierwszy

Dom stoi na uboczu, pod lasem. Pojedynczy, samotny. O tej porze roku przypomina człowieka, który korzystając z dobrej jeszcze pogody, wybrał się na wycieczkę i zgubił drogę. Zza wysokiego przypominającego mur cmentarny ogrodzenia niezbyt wiele widać: ot, dach z ciemnobrązowych dachówek, kawałek beżowej elewacji, małe okno na piętrze. Ale też niespecjalnie byłoby na co patrzeć. Dom okala pas lekko pożółkłej już trawy i nie ma tam nic więcej: ani drzew owocowych, ani krzewów agrestu czy malin, ani ogródka warzywnego. Tylko skromna ławeczka przy wejściu, na której nikt nie siada albo ze względu na porę roku, albo z innego powodu.

Jest pusto i cicho. Od kilku tygodni zasłony są zawsze zaciągnięte. Można by pomyśleć, że gruby, puszysty materiał chroni mieszkańców przed upałem, gdyby nie to, że pogoda się popsuła. Temperatura spadła o całe dziesięć stopni, a na niebie pojawiły się czarne chmury. Może ten ktoś zapomniał odsłonić okno i wpuścić choć trochę światła? A może po prostu wyjechał i woli, żeby pod jego nieobecność nikt nie zaglądał przez szyby? Duży plazmowy telewizor, antyki, wiszące na ścianach obrazy i stojące na kominku rzeźby mogłyby skusić złodzieja. Tyle że gdyby nawet przesadził kamienny parkan, raczej trudno byłoby mu poradzić sobie z potrójnym systemem ochrony przeciwwłamaniowej i uważnymi oczami kamery monitoringu. Złodzieje z daleka omijają ten dom, nie mają tu czego szukać. A jednak właściciel pokusił się o zasłonięcie okien. Może po prostu chroni swoją prywatność.

Wysoki mężczyzna ubrany w garnitur i białą koszulę wsiada teraz do dużej białej furgonetki i wyjeżdża z garażu. Brama zamyka się automatycznie. Mężczyzna ogląda się za siebie i zastanawia, na ile jest bezpieczny. Ten dom to twierdza, ale w każdej twierdzy są słabe punkty. Każdą można pokonać, a czas jest nie sprzymierzeńcem, lecz wrogiem. Mężczyzna myśli, że musi się pośpieszyć. To nie może przecież trwać w nieskończoność. Trzeba coś z tym zrobić. Czuje się jak w pułapce. Nie tak to zaplanował. Pora na plan B. Zresztą nie po raz pierwszy w życiu musi zmieniać plany. Życie tego przede wszystkim go nauczyło.

Włącza radio i postanawia zatankować. Nie musi się spieszyć, rozmowę z klientem ma dopiero za godzinę. Biznes prosperuje świetnie. Miał nosa, żeby iść w te ciuchy. Ludzie cały czas pragną nowych ubrań, a szczególnie kobiety. Oczywiście on nic z tej chińszczyzny nie nosi, stać go na znacznie lepsze rzeczy, ale kobiety chętnie kupują niedrogie sweterki czy sukienki, które dosłownie zalewają małe butik w przejściach podziemnych przy

dworcach kolejowych. Każdy sklep nazywa się inaczej, ale we wszystkich jest to samo.

Dźwięki dobiegające z radia samochodowego irytują go. Znowu te reklamy, ile można, niedługo w ogóle nie będzie można słuchać radia, chyba że nocą, wtedy tego chlamu prawie nie ma. Tyle że wtedy on zajmuje się innymi rzeczami. Przez chwilę wspomina dzisiejszą noc, wczorajszy wieczór i robi mu się różniej na duchu. No dobrze, mogą wyniknąć z tego kłopoty, ale przecież warto, naprawdę warto. To jest to szczęście, którego tak długo szukał.

W radiu zaczynają się wiadomości.

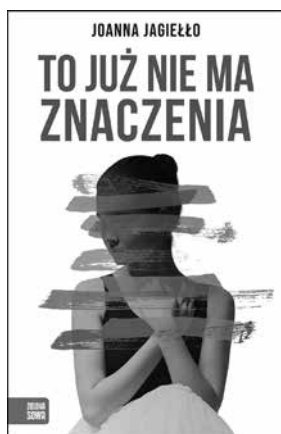
„Jest drugi wrzesnia, godzina dziewiąta. Dziś naukę w liceach zaczyna podwójny rocznik. Uczniowie po szkole podstawowej pójdą do czteroletniego liceum, a uczniowie po gimnazjum do liceum trzyletniego. Reforma edukacji dla podwójnego rocznika może oznaczać przepełnione szkoły, naukę na dwie zmiany, chaos...”

Na chwilę przestaje słuchać, patrzy przez okno. Chmury nad horyzontem przypominają rozczochrane teriery. Chyba będzie padać. I wtedy to słyszy. Zdania skutecznie przebijają się przez barierę jego zamyślenia.

„Nie zacznie dziś nauki warszawska piętnastolatka Miriam Pert, której nadal szuka policja. Przypomnijmy, że dziewczyna zaginęła piętnastego lipca tego roku i mimo intensywnych poszukiwań nadal nie została odnaleziona”.

Mężczyzna wyłącza radio, próbuje uspokoić trzęsące się na kierownicy dłonie i skupić się na drodze. Włącza CD, to Brahms, ale nie pomaga. Cholera, w co on się wpakował.

Joanna Jagiełło



Premiera powieści Joanny Jagiełło

To już nie ma znaczenia

odbyła się 30.09.2020.

Wydawnictwo Zielona Sowa

ISBN 978-83-81546-98-0

Format 128x198

Stron 352

Wiek czytelnika 15+

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Chiny – skok nad brzeg wielkiej rzeki

W samolocie rządowym z Warszawy do Rygi wraz z Panią Premier leciała grupa polskich dziennikarzy. Było ich dwunastu. Można by rzec, jak apostołów. Na tyle jednak pozwalala liczba wolnych miejsc. Była niedziela po południu. W poniedziałek rano planowano spotkanie z Premierem Rządu Łotwy. O godzinie trzynastej zaś plenarne posiedzenie Premiera Chin z przedstawicielami najwyższych władz krajów bałtyckich, Grupy Wyszehradzkiej, Estonii, Litwy, Bułgarii, Rumunii, Słowenii, Chorwacji, Serbii, Bośni i Hercegowiny, Czarnogóry, Albanii i Macedonii. Przyjazd drugiej osoby w hierarchii Państwa Środka do tego regionu świata na spotkanie w grupie „szesnastu plus jeden” nie był i nie mógł być przypadkowy. Od co najmniej kilkunastu lat Chiny miały określone plany wobec tego obszaru Europy. Po pierwsze państwa te stanowiły ciągle jeszcze rynek głodny różnego rodzaju inwestycji, usług i towarów. Po drugie stanowiły dla Chińczyków przedmurze a zarazem bramę wejściową do mocnego ulokowania się ze swoim kapitałem w Europie Zachodniej. Do tego potrzebny był jednak Pekinowi odpowiedni, to jest bezpieczny i niezależny od Amerykanów kanał dystrybucji towarów i usług z Azji do Europy. W tym także określony, centralnie położony w tej części świata, stosunkowo niedrogi punkt przeładunkowy, tak zwany hub.

W międzynarodowej nomenklaturze przyjęło się nazywać tę ideę „budową pasa i szlaku”. Jedwabnego Pasa i Szlaku. Gotowi byli zainwestować duże pieniądze. W Europie, ciągle jeszcze bogatej, różnorodnej. Przez to trudniejszej do zarządzania, lecz tym samym bardziej skłonnej do współpracy gospodarczej z Państwem Środka. Nawet bardziej niż dotychczasowy jej sojusznik zza Oceanu. Nie umknęło to oczywiście uwadze obserwatorów znad Jangcy. Wszyscy dobrze wiedzieli, że w podtekście tego spotkania są nieskrywane ambicje Chin wobec Niemiec, mniej wobec Francji, i przyszła konfrontacja z USA o supremację w świecie. To Niemcy zaczynały coraz częściej wyraźnie zaznaczać swoje przywództwo w Europie. Dyskretnie chowając się za strukturami instytucji unijnych w Brukseli, podkreślali również swoje zdanie odrębne w stosunku do wielu inicjatyw i zamierzeń Waszyngtonu. Wprawdzie dziś Niemcy były w Rydze

nieobecne, ale ich duch unosił się nad tymi obradami jak dawniej oddech polityki Bismarcka nad Tannenbergiem.

– Jak Ryszard? Wszystko w porządku, everything's OK? – zapytał kolegę mężczyznę z lekko siwiejącą brodą.

Ostatnio noszenie brody stawalo się hitem nie tylko wśród młodzieży. Także wśród elit od San Francisco po Władystok. W tym dziennikarskich. Niektórzy nawet przypuszczali, że to prymitywne lub pośrednie, niegustowne naśladownictwo bojowników dawnego ISIS.

Noszenie brody samo w sobie nie stanowiło wyrazu zaniedbania czy braku szacunku do innych, lecz było najwyraźniej trendy. O ile oczywiście brody były zadbane i od czasu do czasu podlegały zabiegom brzytwy lub czegoś podobnego. Najczęściej zaś usługom fryzjera.

– W najlepszym, Jasiu, w najlepszym. Cholernie ciekawa wizyta, nie uważasz? – odparł pytaniem na pytanie.

– Superciekawa. Zobaczmy tylko, jakie będą konkrety. Wiesz, że Chińczycy na wszystko patrzą trochę inaczej. Po swojemu.

– Trochę? Całkiem inaczej. Oni wyrosli na fundamentach innej kultury. Ich cywilizacja jest diametralnie różna od tak zwanej euroatlantyckiej.

– Fakt, fakt. Jest co najmniej tak stara jak nasza judeochrześcijańska. Toż mówię, że zapowiada się superciekawe spotkanie.

– Przygotowany?

– Z czym? – zrobił świadomie naiwną minę, a oczami zeza.

– Nie żartuj. Jakiś zestaw pytań?

– Ach, to masz na myśli. Jasne, jakieś zadam.

– Trochę czytałem na temat Chin przed wyjazdem.

– Chciałeś mieć aktualną wiedzę?

– Tak. Przecież ciągle mało o nich wiemy.

– I co na przykład?

– Ano na przykład dowiedziałem się, że w tak zwanych Chinach Ludowych...

– Zaraz, zaraz. Jakie one tam znowu „ludowe”... – wtrącił się inny dziennikarz.

– Masz rację. Jakie „ludowe”? Powracając do wątku. Co roku powstaje nowe miasto wielkości Chicago i że w ciągu najbliższych sześciu, siedmiu lat w Chinach powstanie osiem miast na ponad dziesięć milionów mieszkańców i dwadzieścia na powyżej miliona, i że trzysta pięćdziesiąt milionów mieszkańców miast wywodzi się ze wsi.

– Toś widać przygotowany. Szacun... Ale tempo. Brzmi imponująco! Trzysta pięćdziesiąt milionów mówisz...? To prawie tyle, ile liczą całe Stany Zjednoczone razem wzięte.

– Potwierdzam, nie da się zaprzeczyć. We wszystkich chińskich miastach żyje teraz siedemset milionów ludzi.

– Rozumiem, że słyszałeś o Szen-Dzen?

– Pewnie tak, choć może nie wszystko... Mów dalej.

– Nic, tylko tyle, że jeszcze raz mogę potwierdzić ten skokowy cywilizacyjny wzrost Chin w ogólnej gospodarce i urbanistyce świata. Jeszcze przed trzydziestu pięciu laty Szen-Dzen liczyło trzysta pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Dziś już dwanaście milionów... dwanaście milionów, przyjacielu, wyobrażasz sobie w tak krótkim czasie! Dwanaście milionów, więcej niż cała Belgia lub Czechy i Słowacja...

– Tak landrynkowo to nie jest. Wraz z rozwojem odnotowują olbrzymie problemy z zanieczyszczeniem powietrza. Zwłaszcza w aglomeracjach miejskich. To tak, by nie popaść w kompleksy...

– I z tym sobie radzą. W Szen-Dzen komunikację miejską obsługuje trzy tysiące miejskich autobusów elektrycznych. Wszystkie *made in China*.

– A miasta są ze sobą skomunikowane największą na świecie siecią kolei szybkojeźdźczych.

– To jest dopiero *imposant*. Zostawili Japończyków w tyle.

– Nie mówiąc o Francuzach z ich TGV.

– Przepraszam, że się wtrączę. Jeśli mogę... – Siedząca obok kobieta, korespondentka telewizji polskiej w Pekinie włączyła się do rozmowy.

– Ależ prosimy. Prosimy bardzo. Informacji nigdy za wiele...

– Nie wiem, czy dotarła już do was wiadomość, że Chiny są obecnie w bardzo zaawansowanej fazie budowy największego na świecie teleskopu. Ma powstać tysiąc dwieście kilometrów na południowy Wschód od Pekinu. Nazywa się Lamost. Średnica jego obwodu ma wynosić czterysta dziećdziesiąt metrów...

– Trochę przypomina mi to odcinek Jamesa Bonda pod tytułem *Golden Eye*... pamiętacie? – uśmiechnął się do rozmówczyni. Obydwaj mężczyźni specjalizowali się raczej w polityce europejskiej. Reprezentowali konkurencyjne, prywatne stacje radiowe. Nie wszystko dokładnie i w szczegółach wiedzieli o tym kraju.

– I tak jest lub lepiej: tak ma być. Gigantyczne oko w przestrzeń kosmiczną.

– To wariant tymczasowy lub, nazwijmy go tak, paralelny. W roku dwa tysiące trzecim jako pierwsi wylądowali po ciemnej stronie Księżyca z dwoma łazikami i pewnie tam pierwsi wybudują swoją stację kosmiczną... Szykują się z bezzałogową misją na Marsa – dopowiadała korespondentka z Chin.

– Chcesz powiedzieć: tym samym będą mieli oko na Ziemię. Hi, hi... – dziennikarz uśmiechnął się do siedzących obok.

– Z tym że będzie ono lepiej widzące, a tym samym bardziej niebezpieczne... – odparł kolega.

– Dla kogo niebezpieczne?

– Rzecz jasna dla nas....

– Jakich nas?

– No... miałem na myśli Amerykanów.

– Dla nas i Amerykanów to to samo?

– Czasem tak, czasem nie. Trzeba wiedzieć, jak i kiedy wybierać, gdy drogi nasze miałyby się rozchodzić...

– No i to chciałem od Ciebie usłyszeć, przyjacielu.

– To jasne...

– Ciągłe nie dla wszystkich. Ciągłe nie do końca dla wszystkich.

– Miałem na myśli: dla nas, cywilizacji judeochrześcijańskiej w Europie i Ameryce. Chyba że wolisz bardziej oglądać filmy z Kraju Środka, a nie dobre amerykańskie, i że wolisz Chinawood od Hollywood?

– Tu nie mam żadnych wątpliwości, kolego. Nie mam żadnych...

– To dobrze. Zresztą... wszystko tak szybko się zmienia.

– À propos tego lepiej widzącego chińskiego oka z kosmosu na Ziemię, to bym poczekał na Amerykanów. Oni ciągle jeszcze nie powiedzieli ostatniego słowa.

„Polska wiąże duże nadzieje z rozwojem współpracy gospodarczej z Chinami” – powiedziała polska premier w oświadczeniu wygłoszonym przed rozpoczęciem rozmów plenarnych na szczycie w stolicy Łotwy. Według niej „udział w szczycie szesnastu państw z partnerem chińskim wpisuje się w strategię rozmów Polski z Chinami”. Premier przypomniała o ostatniej wizycie prezydenta Chin Xi Jinpinga w Polsce. Jak mówiła premier, „szczyt jest również okazją do pokazania jedności regionu Europy Środkowo-Wschodniej”. W jej ocenie pokazuje również, że „szesnastce państw europejskich ma pomysł na to, w jaki sposób relacje z Chinami budować i rozwijać, po to by realizować ważne programy i projekty gospodarcze”. Premier podkreśliła, że „Polsce zależy przede wszystkim na projektach

komunikacyjnych i infrastrukturalnych. Chcemy urzeczywistniać wspólnie projekty transportowe, morskie i kolejowe. Jesteśmy do tego przygotowani i będziemy takie propozycje również składali” – zaznaczyła.

Z *Grzechostawem* więzi koleżeństwa i przyjaźni łączyły go od czasów szkolnych. Popołudniowe słońce już tak mocno nie przypiekało jak w czasie upałów czerwcowych lub lipcowych. Był dwudziesty trzeci sierpnia. Tydzień przed zwyczajowym końcem wakacji, tradycyjnym rozpoczęciem roku szkolnego i obchodami rocznicy podpisania porozumień sierpniowych sprzed kilkudziesięciu już lat pomiędzy ówczesnym rządem komunistycznym a „Solidarnością”. Także na tydzień przed rocznicą napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę pierwszego września tysiąc dziewięćset trzydzieści dziewięć. Umówili się na spotkanie w Konstancinie w jednej z restauracji i jednocześnie kawiarni. Tuż przy tężni. Całkiem nie tak dawno założony w tym miejscu park ze stosunkowo już wysokim drzewostanem, alejkami do spacerów, płynącą nieopodal rzeczką oraz samą tężnią, sprawiał, że miejsce to znakomicie nadawało się do zaczerpnięcia oddechu. Wręcz inhalowania się parą rozpylaną samorzutnie z nieustannego polewania wodą witek brzozy i innych ułożonych tu w stosy obdartych z liści gałęzi. Do dotlenienia, wyciszenia i odpoczynku. W dni powszednie panowała w tym miejscu także cisza i stosunkowo duży jak na przedmieścia Warszawy spokój. Nie było tylu rodzin z dziećmi. Więcej osób starszych z pobliskiego Centrum Rehabilitacji Ruchowej i Szpitala Ortopedycznego. Nie było tylu młodych, wyglądających na zakochanych albo przemyskających w parach lub małych grupkach ścieżkami rowerowymi wyznaczonymi dalej trasami aż do Wisły lub w odwrotną stronę do Piaseczna, Zalesia Dolnego, Górnego, Chojnowa i Czerska. Wprawdzie daleko było jeszcze parkowi do warszawskich Łazienek, lecz było w nim coś urokliwego. Na końcu zaporą wodna i siedliska wodnych ptaków. Kaczek, gęsi, łabędzi. W tle Stara Papiernia, a na wodzie kajaki spływające rzeką od strony Złotokłosu i Łosia.

Kiedyś przeplłynęli tę trasę we czterech. Razem z Ignacym i Zibim, kolegami z liceum i studiów. Cudowna trasa w dolinie Jeziorki, wśród przybrzeżnych łąk i pól, z małymi przełomami, zakrętami i niebezpiecznymi wirami przypominającymi o tym, że z wodą nigdy nie ma żartów. Po drodze cuda natury w postaci miejsc gniazdowania polskiego ptaka rajskiego – zimorodka, o upierzeniu w kolorach jak z bajki lub lasów tropikalnych Papui Nowej Gwiney czy Amazonii.

Miejsce, w którym przysiedli, nosiło nazwę EchoPark. Wybrali stolik w głębi. Nieco oddalony od bezpośredniej styczności z alejkami spacerowymi i przechodzącymi ludźmi. Miejsce oferujące przyjemność przebywania, smakowania jedzenia i degustacji trunków. Nade wszystko jednak zachowanie możliwości prowadzenia luźnej rozmowy o pewnym stopniu poufności. Zresztą nie zamierzali i nie rozmawiali na tematy tajne, ściśle tajne ani tajne specjalnego przeznaczenia. Smartfony zaś wyłączyli i wyjęli z nich baterie. Specjalistycznym urządzeniem wyłączyli również umieszczoną na ścianie w rogu budynku kamerę przemysłową, nagrywającą wydarzenia i ludzi wchodzących, wychodzących i przechodzących obok, oraz zapisującą ich rozmowy. Wyłączenie było czasowe i markowało usterkę techniczną, wymagającą zatrudnienia specjalnego serwisanta.

- Jakże miło cię znowu widzieć, Winek.
- Ostatnio widzieliśmy się nad morzem...
- Tak, to prawda.
- To gdzie, przyjacielu, zagnały cię tym razem wichry przeznaczenia?
- Wróciłem z Pekinu. Byłem również w Teheranie...
- Podobno Teheran uzdatnia dziesięciokrotnie więcej uranu, niż na to zezwala Międzynarodowa Agencja Atomistyki... Hm. Ciekawy kierunek podróży. Domyślam się, że nie turystycznej...
- Bynajmniej. Choć przy okazji można wiele zobaczyć i dużo się nauczyć.
- Ale wypijmy wpierw za spotkanie. Nie ma to jak w domu, przyjacielu.
- Nie ma to jak w domu – Wincent potwierdzał.
- Niezły ten browar...
- To Namysłów z beczki. *Pilsner*.
- Dobry. Ostatnio nie znoszę *lagerbeer*. Chociaż po Chinach to każdy sikacz jest lepszy od ich piwa...
- Poważnie? Nic się nie zmieniło? To nie stereotyp?
- OK, trochę się zmieniło.
- Minęło co najmniej trzy lata, gdy towarzyszyłem naszej byłej Premier na spotkaniu z ówczesnym Premierem Chin i dziś mogę powiedzieć zmieniło się bardzo wiele.
- Mianowicie?
- Powiedziałbym tak. W pierwszej kolejności zmieniły swoją strategię. Ze strategii skromności przeszli do strategii asertywności.
- To znaczy?
- Dobrze wiesz, co to znaczy, przyjacielu.

– Przypomnij, powiedz, jak ty to postrzegasz.

– A więc, zgodnie z wytycznymi ich przywódcy w roku dwa tysiące dwudziestym pierwszym mają przejść z kraju głównego eksportera świata do roli kraju z kwitnącą własną klasą średnią i mocno rozbudowanym rynkiem wewnętrznym. W dwa tysiące trzydziestym piątym mają być najbardziej innowacyjnym społeczeństwem naszego globu, krajem najnowszych technologii. Już teraz dzieci wysyłają do najlepszych szkół na świecie. Na przykład do Finlandii. Obserwują system kształcenia i szkolnictwa u Finów. Większość chińskich studentów nie studiuje pedagogiki, socjologii czy resocjalizacji, lecz nauki ścisłe i inżynieryjne. Już dziś planują ponowną misję na Księżyc, tym razem załogową. A w okołoziemskiej przestrzeni kosmicznej trwa bezwzględny wyścig z Ameryką o opanowanie czterech najważniejszych punktów do ulokowania na stałe swoich satelitów. Są to tak zwane punkty libracyjne, punkty Lagrange’a, gdzie siły przyciągania Ziemi i Księżyca się równoważą. Zatem nie potrzeba tam żadnych napędów, silników czy kosztownego paliwa, by przez długi czas móc je utrzymywać na orbicie i decydować o wszystkim. Lub prawie wszystkim, samemu. Mieć siłę prawie równą Wszechmocnemu, a przynajmniej decydować, kto rządzi na Ziemi i wokół niej.

– Tak, tak. To ma być wielki renesans Chin. Chiny chcą zjednoczyć wszystkie prowincje. Tajwan ma przestać istnieć. Z Kraju Środka do Europy mają być poprowadzone dwa szlaki. Jeden przez ląd, drugi przez morze.

– Krótko mówiąc chcą zamienić się rolami. Nie chcą dłużej pracować na bogaty Zachód. Chcą, by Zachód pracował na bogacące się Chiny. Do Europy idą również po nowe technologie... Zresztą tak jak w Ameryce.

– Na to coraz bardziej wygląda. Kiedyś o podziale dóbr płynących z międzynarodowego podziału pracy decydowali ludzie morza. Ci, którzy kontrolowali drogi przepływu towarów, usług, kapitału i mas ludzkich. Z początku Hiszpanie, Portugalczycy, potem Holendrzy, później Francuzi i Brytyjczycy, a teraz Amerykanie. Idą na wojnę z USA. Chcą to zmienić. Zresztą Amerykanie także idą na zwanie.

– Póki jeszcze mogą, kolego. Póki jeszcze mogą.

– Jak w tej grze o cykora, gdy jeden lotnik naprowadza swój samolot na drugi, a ten drugi robi to samo. Czekają nas ciekawe czasy Gregor. Ciekawe czasy...

– Widzisz, my Europejczycy, Amerykanie postrzegamy Chiny w sposób co najmniej niewłaściwy, jeśli nie dziecinny.

– To chyba tak było do niedawna...

– Masz rację, od kilku lat już nie. Od czasu, gdy strach zajął Zachodowi, nam, w oczu!

– Gdy byłem w Chinach, rozmawiałem w Pekinie z jednym z przedstawicieli młodego pokolenia Chińczyków. Jednemu z wielu, którzy należą do pokolenia ich nowej bogatej klasy średniej.

– Zamieniam się w słuch.

– Powiedział mi tak, gdy pytałem się go o relacje Chin ze światem Zachodu. Ludzie Zachodu nie dotknęli jeszcze sedna chińskiego systemu istnienia państwa i kultury.

– Z tym bym się zgodził.

– Słuchaj dalej. Zatem mówił mniej więcej w ten sposób:

1. W historii zawsze istnieje dominująca partia rządząca Chinami, którą jest nie tylko sam cesarz. Chińczycy nazywają to wybranym przeznaczeniem. Jest to wybór dwukierunkowy. Chaos i zabijanie miały miejsce podczas zmiany dynastii, ponieważ Chińczycy wybiorą innego, który będzie kontynuował przeznaczenie. Jest podobny do wyborów powszechnych co dwieście lat, jednak nie głosami, ale siłą.

2. Wybrana osoba, a więc przyjmijmy cesarz, podpisze umowę z Chińczykami, jeden za wszystkich i wszyscy za jednego. Dlatego rząd chiński zapewnia całkowicie bezpłatną opiekę medyczną każdemu pacjentowi bez względu na chorobę, jaką miałyby ona nie być.

– Z tego, co słyszałem, ta ich powszechna opieka zdrowotna to jest na pozal się Bożeżenująco niskim poziomie. W przypadku dżumy również? – wtrącił się Wincent.

– Nie doceniasz, widzę, Chińczyków. To się zmienia... – odparł.

Potem ciągnął swój wywód dalej.

– Jest to obowiązek wybranego. Społeczeństwo chińskie jest znacznie lepiej zorganizowane niż na Zachodzie. Znacznie bardziej wydajne. Z jego punktu widzenia to bardziej zaawansowana cywilizacja:

3. Nie trzeba martwić się o starzenie się chińskiej populacji. Trzeba zrozumieć, że Chiny są jedynym krajem na świecie, który może faktycznie wdrożyć politykę jednego dziecka ze względu na zaawansowaną organizację i efektywność społeczeństwa. Stąd Chiny mogą użyć tych samych możliwości, aby zmienić politykę o sto osiemdziesiąt stopni, jeśli tego tylko chcą. Podobnie jak zrobiły to w latach tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt, siedemdziesiąt sześć i tak dalej.

– To mogę raczej tylko potwierdzić.

4. Człowiek z cywilizacji zachodniej nie rozumie pojęcia religii w Chinach. Największą religią w tym państwie jest historia Chin. Zachód głosi religię tylko w każdą niedzielę, Chiny głoszą religię dla swoich dzieci każdego dnia roboczego. Podręcznik historii Chin jest znacznie głębszy i grubszy niż podręcznik do historii cywilizacji zachodniej.

– Tak twierdził?

– Tak.

– Szowinista – uśmiechnął się pod nosem Winek.

– Nawet samego cesarza trzeba głosić co miesiąc podczas panowania.

Historię Chin naprawdę kształtuje język chiński. Kult przodków.

– Pod cesarzem, rozumiem, że miał na myśli I Sekretarza Komunistycznej Partii Chin?

– Winuś, jakiej partii, to nie ma żadnego znaczenia. Sztandary zawsze można zrobić nowe, a statuty wypisać palcem na piasku nadmorskiej plaży. Liczy się tylko to, że wybrany pod tym lub innym szyldem władca zawarł przymierze z narodem. Więc trzymałbym się nazwy *cesarz*.

– Co Chińczycy sądzą o demokracji?

5. Masz na myśli, czy uważają ją za najdoskonalszą formę ustroju społeczno-politycznego i organizacji państwa? Żartujesz! Jeśli powiesz to wśród nowych Chińczyków, że tak właśnie jest, to wszyscy będą się z ciebie śmiać: dlaczego mielibyśmy wybierać całkowicie zacofany system?

– Hm... Tu bym się nie zdziwił. Lata wykuwania sierpem i młotem jedynie słusznych ideałów zrobiły swoje – odparł pułkownik.

– Według nowych Chińczyków, czytaj: z CHRL, Chińczycy w Hong Kongu i na Tajwanie są starymi Chińczykami. Są niewolnikami Zachodu. Wciąż żyją w świecie stulecia upokorzenia, poniżenia i ograniczeni. Nowy Chińczyk to przeciwieństwo: pewność siebie, duma, przebudzenie, patrzenie na Zachód jak na barbarzyńców.

– Wiesz, Gregor, może to wszystko i prawda. Jednak ja pozostanę przy demokracji, jako mnie lub nam bliskim wzorcu kulturowym. Nie wiem, czy umiałbym żyć pod tym preferowanym i propagowanym przez Państwo Środka.

– Tak, przyjacielu, tylko nie wiadomo, który z nich okaże się wydajniejszy, mocniejszy i dominujący w nadchodzącej konfrontacji dwóch światów...

– Hm... tego nie wiemy. I tego się dowiemy do czasu, kiedy dojdzie do, jak mówisz, konfrontacji tych dwóch światów. I w sferze ekonomii

i finansów. I w obszarze zdobyczy naukowych, wynalazczości i techniki. I na polu militarnym, a wreszcie i dominacji kulturowej.

– To akurat przyznaję. Ale to ostatnie może się spełniać i promować jedynie po utrzymaniu przewagi w tych sferach, które wymieniałeś wcześniej.

– Tak, smoku, to jasne. To prawda. Tylko i wyłącznie!

– Myślisz, że już jesteśmy u schyłku fazy stulecia chińskiego upokorzenia, Winuś?

– Tak myślę. Zwłaszcza po tym, o czym mówiłeś, Gregor.

Ambasada Chińskiej Republiki Ludowej w Warszawie znajdowała się tuż za granicami Starego Miasta, u zbiegu ulic Bonifraterskiej i Świętojerskiej.

Był to okazały budynek w formie chińskiego dużego pałacu z ogromnym, dookoła prowadzonym i zadbanym ogrodem oraz wysokim stalowym ogrodzeniem. Oczywiście wyposażony w najnowocześniejsze rozwiązania techniczne, umożliwiające bezpieczną i wygodną pracę, komunikowanie się ze światem, głównie z centralą w Pekinie, z przemysłowym system zabezpieczeń przed jakąkolwiek próbą wtargnięcia na jej teren, a zwłaszcza ingerencji w elektroniczne zasoby danych i pamięci komputerów.

Ambasador Liu You Cheng był jak na Chińczyka człowiekiem nadspodziewanie wysokiego wzrostu. Mierzył sto siedemdziesiąt osiem centymetrów i wyglądał na mniej więcej czterdzieści pięć lat. W rzeczywistości był o dziesięć starszy. Jego młody wygląd podkreślała szczupła i wysportowana sylwetka oraz brak choćby jednego siwego włosa na głowie.

– Panie ambasadorze, dziś jedna z dużych polskich stacji telewizyjnych podpisała z nami kontrakt na reklamę Huawei przez okres dwunastu miesięcy, z opcją przedłużenia na kolejne.

– Dziękuję za informację, Huang Wu. Pytanie, dlaczego na tak krótko i dlaczego nie wszystkie lub co najmniej nie cztery największe stacje?

– Prowadzimy intensywne działania i rozmowy. Jego ekscelencja jednak wie, że coraz trudniej przekonać Polaków do wprowadzenia naszych technologii w momencie, gdy coraz większą presję wywierają na Warszawę Amerykanie.

– Doskonale wiem. Jednak wiem również, że nie zawsze słoń wygrywa walkę z lwem, a kobra zazwyczaj przegrywa z mangustą.

– Tak, ekscelencjo. Mamy rozpisany szczegółowy program działań na najbliższe miesiące. Począwszy od software na miękkie podbrzusze,

via prezentację jakości i wyższości naszych produktów nad innymi w tym względzie, aż pod hardware prezentacji siły.

– Oczekuję od pana sukcesów. Tu nie może być mowy o przegranej.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, panie ambasadorze.

– Jak długo jest pan w Warszawie?

– Tydzień temu minął rok.

– Niech pan odrzuci pychę i poczucie wyższości. Polacy to niegłupi naród. Zresztą nie do końca nam nieprzyjazny. Jednak w szczególności nie lubią tych dwóch cech charakterów u innych nacji.

– Rozumiem. Absolutnie wezmę to pod uwagę, ekscelencjo.

Huang Wu jako jeden z wysoko postawionych pracowników Radcy Handlowego Ambasady Chin w Warszawie był z zawodu informatykiem po School of Information Science and Engineering w Szanghaju i absolwentem Graduate School of Business na Stanford University w Stanach. Od dłuższego już czasu Chińczycy wysyłali na studia do najlepszych uczelni zagranicznych osoby uzdolnione, gwarantujące ukończenie ich z dyplomem i później służbę dla Państwa Środka. Zazwyczaj byli nimi przedstawiciele nauk ścisłych, umysły nieprzeciętne, zaangażowane i gotowe na spełnienie w stu procentach pokładanych w nich nadziei. Zresztą w pojmowaniu przez nich świata zasad i wartości nie mogło być inaczej.

– Panie prezesie, telefon do pana.

– Kto zacz? Pani Hanno?

– Sekretariat ambasady chińskiej w Warszawie. Prosi o potwierdzenie dzisiejszego spotkania z panem Huang Wu o godzinie trzynastej.

– Ach tak! Pamiętam, proszę potwierdzić – odparł sekretarce.

Prezes jednej z trzech największych nowo powstałych po obaleniu komunizmu w Polsce korporacji medialnych dobrze pamiętał o tej wizycie. Od kilku dni przygotowywał się do niej. W grę wchodziły olbrzymie pieniądze, prestiż i możliwość przegonięcia konkurencji o kilka długości w wyścigu ku nowoczesności. Jednocześnie zdawał sobie również sprawę z tego, że ostatnio wokół chińskiej technologii w Ameryce, a coraz bardziej i w Europie Zachodniej gromadziły się chmury i że nie ma dobrej atmosfery do swobodnego działania dla biznesu. Tego dnia po wielu dniach różnych spotkań i negocjacji mieli podpisać finalną umowę na wprowadzenie na polski rynek koncernu Huawei przez tę właśnie korporację medialną. Henryk Zaidler, bo tak brzmiało jego imię i nazwisko, był wytrawnym graczem i na niejednym interesie zjadł już zęby.

– Miło mi gościć dziś pana, panie sekretarzu, w siedzibie naszej firmy. To dla mnie zaszczyt i wielka przyjemność.

(Czy przyjemność to się dopiero okaże – pomyślał mimochodem).

– Dzień dobry panu. Niezmiernie cieszę się, że i ja mogę się z panem ponownie spotkać. Jak mówi stare przysłowie chińskie: *Nie można zatrzymać żadnego dnia, ale można go nie stracić* – odpowiedział sentencją na przywitanie Chińczyka.

– Święta prawda, święta prawda... – w tej samej konwencji odparł prezes korporacji.

– Czego się pan napije? Herbaty, a może...?

– Herbaty. Oczywiście herbaty. Kawy nie pijam.

– Tak się domyślam. Dlatego też dziś zaprosiłem do nas panią ze znakomitej, warszawskiej restauracji chińskiej i poprosiłem, by przygotowała dla nas chińską herbatę Xian. Mam nadzieję, że będzie odpowiadać pana oczekiwaniom i gustom.

W chwili, gdy to mówił, do gabinetu prezesa weszła ubrana w stosowny chiński strój młoda kobieta w okularach, z warkoczykiem kruczoczarnych włosów spiętym z tyłu głowy. Prowadziła przed sobą drewniany wózek na kółkach z blatem, na którym w ceramicznych białych naczyniach leżały różne liście, lodygi i korzenie roślin, o których trudno by było powiedzieć, że może to być herbata. Blat był od spodu podgrzewany. U góry zaś stały trzy różne ceramiczne kubki, do których wkładane były składniki wyżej opisanej herbaty. Potem nakładano na nie ceramiczne sitko. Następnie zalewano wrzątkiem i przykrywano na określony czas pokrywą ceramicznego kubka. Kubki w trakcie parzenia zmieniały od strony zewnętrznej swój kolor. Na koniec herbata była nalewana do filiżanek.

– Rzadko mam okazję oglądać tego rodzaju ceremonię. Chętnie się temu nie tylko przyglądam, lecz podobnie jak pan postanawiam zrezygnować z włoskiego espresso i przyłączyć się, degustując z panem, panie sekretarzu, chińską Xian... – zagaił kurtuazyjnie prezes korporacji medialnej.

– To mnie cieszy. Herbatę się pija, by zapomnieć o hałasie świata, a jak pan wie, na każdą chorobę inne lekarstwo, herbata zaś jest lekiem na każdą chorobę... – cytował kolejne przysłowia pan Huang Wu.

– Ma pan chyba rację: *Brak herbaty na stole narusza porządek świata* – Zeidler w ostatniej chwili przypomniał sobie zasłyszaną kiedyś sentencję Rudyarda Kiplinga i zręcznie odparował.

– Słyszałem, że wrócił pan z urlopu we włoskich Alpach. Jak udał się wypoczynek?

Zaidler zmarszczył lekko brwi. Skąd, do cholery, ten Chińczyk o wszystkim wie. Przecież nie mówiłem mu o tym. Jakże miałbym się tym chwalić. Zwłaszcza, że byłem z Ewelina... – pomyślał.

Chronił swoją prywatność. Przede wszystkim ze względu na pozycję, jaką zajmował w polskim biznesie i związane z tym horrendalne jak na polskie warunki zarobki, ale również ze względu na pewne intymne tajemnice. Nie chciał, by dowiedziała się o nich żona.

– Znakomicie. Perfettamente, excellent, wunderlich – roześmiał się Chińczykowi w oczy. (Nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić jak dobrze mi było – odreagował w myślach).

– Oczywiście, ale to było w zeszłym tygodniu. Dziś jestem z powrotem w pracy, gotowy do wyzwania, jakie stoją przede mną – uzupełnił.

– To dobrze, to dobrze. Perfettamente, excellent, wunderlich – strawestował wypowiedź swojego rozmówcy Huang Wu i zrewanżował się uśmiechem.

– Jak pan wie, panie prezesie, firma Huawei, którą tu przed panem mam zaszczyt reprezentować, jest obecnie jedynym na świecie producentem wysoko przetworzonych technologii w zakresie telefonii komórkowej i sieci 5G, z którą żadna inna firma nie może się równać – zrobił wprowadzenie do rozmów Chińczyk.

– Z przyjemnością usłyszę więcej szczegółów, panie sekretarzu...

– Jak pan wie, rozwoju technologicznego nie da się zatrzymać, ani nawet przyhamować siłą. To i tak będzie szło dalej...

– Raczej pędziło, raczej pędziło, panie konsulu – wtrącił się Zaidler. Słowo *sekretny* zmienił na *konsul*. W języku polskim *sekretny* ze względu na historycznych brzmiało dość pejoratywnie.

– Kontynuację technologii można mierzyć w różnoraki sposób. Jednym z nich jest procent przeznaczanych wydatków na badania i rozwój oraz sposób i efektywność wydawania tych pieniędzy. Przecież nie każdy dolar zainwestowany w know how musi się kiedykolwiek zwrócić. Jeśli okaże się, że zainwestowane w badania środki pieniężne trafiły w ślepą uliczkę, to jest że badania poszły w niewłaściwym kierunku, to końcowym efektem będą wyrzucone pieniądze i łatwa do przewidzenia utrata pozycji na rynku.

– Co pan przez to rozumie? Czy chce pan powiedzieć, że Huawei obrał właściwą drogę?

– Tak. Właściwy wybór drogi zawsze można oznaczać jedno: bezbłędne i szybsze dotarcie do celu, panie prezesie.

– Jeśli chodzi o wymowę i poziom przysłów i sentencji, to się z panem absolutnie zgadzam. A konkrety? Wie pan, trzeba wiedzieć, z kim mielibyśmy budować sieć 5G.

– Proszę bardzo, w ostatnim roku Huawei zainwestował w rozwój osiemnaście i dziewięć dziesiątych miliarda USD, to jest piętnaście i trzy dziesiąte procent przychodów. Zgłosiliśmy ogółem pięćdziesiąt sześć tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt dwa patenty w tej dziedzinie, z których aż pięćdziesiąt sześć tysięcy zostało otwartych dla środowiska open source. Najważniejsze z nich odnoszą się do sieci 5G. W tej chwili mamy przewagę nad Samsungiem rzędu trzysta pięćdziesięciu dwóch patentów, a nad trzecim w tym rankingu Open Invention Network (OIN) pięćset osiemdziesiąt sześć patentów. Dopiero za nami idą firmy europejskie Nokia i Ericsson, a na samym końcu Amerykanie z Intel i Qualcomm... Czy panu coś to mówi? – zapytał, jakby miał zaraz wystawić pierś do przypięcia orderu.

– Wygląda przekonująco. Imponujące... – pokiwał nieznacznie głową prezes polskiej korporacji medialnej z Warszawy. – Z tego punktu widzenia wydaje się jasne, że gdyby jakaś firma chciała wykorzystać w swoim produkcie technologię innego dostawcy, to zostaną wówczas zwiększone koszty implementacji, gdyż trzeba będzie zapłacić także za własność intelektualną.

– Zgadza się, panie prezesie – wtrącił Chińczyk.

– Rozumiem, co nie będzie bez wpływu na cenę...

– Absolutnie dobrze pan rozumuje. Proszę również nie zapominać o tym, iż jesteśmy już o kilka kroków z przodu – jak mówią Anglosasi – one step ahead przed konkurencją.

– Dlatego powinniśmy wybrać Huawei? Dobrze pana rozumiem?

– Ja pana staram się tylko przekonać. Ja do niczego pana nie przymuszam. Przedstawiam tylko gołe fakty i poniekąd dane techniczno-marketingowe. Zresztą one mówią same za siebie.

– Panie konsulu, nie ukrywam, że jesteśmy zainteresowani wprowadzeniem na polski technologii 5G. Czy będzie to jednak współpraca z Chinami, Europejczykami, czy Amerykanami, dziś nie jestem w stanie panu na to pytanie odpowiedzieć. Wszystko musimy dokładnie przeanalizować i wyważyć. W grę wchodzi ogromne pieniądze... – odparł Zaidler.

– I o to chodzi. Chodzi o bardzo duże pieniądze. Z badań rynku, którymi dysponujemy, opóźnienie startu wprowadzenia na rynki polski technologii 5G przyczyniłoby się do spadku PKB w pana kraju o kwotę rzędu nawet dwa i dwie dziesiąte miliarda euro do dwa tysiące trzydziestego piątego roku

i utratę możliwości uczestniczenia w nowoczesnych procesach biznesowo-telekomunikacyjnych dla trzech i trzech dziesiątych miliona Polaków.

Skąd ten Chińczyk tak dobrze wszystko o nas wie? – pomyślał z pewnym zdziwieniem i złością, a na głos odparł:

– Znam te badania. Można z nimi polemizować. Jednak zdaję sobie sprawę z tego, że zawsze lepiej wsiąść do pociągu, nawet do ostatniego wagonu, niż na niego się spóźnić i długo czekać na następny.

– Otóż to. Dodam jeszcze ze swej strony, że opóźnienie w udostępnieniu technologii 5G w Europie może obniżyć europejskie PKB nawet o osiemdziesiąt pięć miliardów euro do dwa tysiące trzydziestego piątego roku – uzupełnił przytaczanie danych Huang Wu.

– Przy takim rozwoju wydarzeń i sposobie prowadzenia polityki gospodarczej przez Brukselę nie jest to wykluczone. Jednak powtarzam, dla nas Polaków jest to sprawa wymagająca szerokich konsultacji w wymiarze zarówno europejskim jak i transatlantyckim.

Nie dając wyprowadzić się z równowagi, Zaidler trwał przy swoim ogólnikowym stwierdzeniu, tym samym sugerując, że podpisanie w dniu dzisiejszym umowy z Huawei nie jest jeszcze wcale takie pewne.

– Rozumiem. Zdaję sobie z tego sprawę – Chińczyk przytaknął i po raz kolejny zaczerpnął z filiżanki łyk herbaty. Chciał w ten sposób pokryć swoje zniecierpliwienie.

– Oczywiście nasza firma jest w stanie współuczestniczyć w kosztach budowy nowej i doposażenia starej infrastruktury dla sieci przesyłowej telefonii cyfrowej 5G pana korporacji w Polsce. Jeśli chodzi o liczby, to szacujemy to na sto milionów euro. W jednej czwartej mogą to być pożyczki bezzwrotne i w trzech czwartych pomoc na zasadzie nisko oprocentowanych kredytów długoterminowych – kontynuował chiński konsul.

– Brzmi interesująco... – mruknął prezes polskiej firmy.

– Ponadto przeprowadzimy na własny koszt stosowne szkolenia w Polsce i za granicą dla wybranych osób z pana korporacji. Tu musi być stworzona więź i przekonanie co do zasadności całego projektu i jego właściwej implementacji oraz stworzona baza wykształconych kadr inżyniersko-technicznych.

Na okrągło uderzał w tony, które z tego, co się orientował, zawsze były miłe dla uszu decydentów średniego i wyższego szczebla z krajów, do których docierały już miliardowe inwestycje chińskie. Znał mentalność kręgu cywilizacji europejsko-amerykańskiej: aby ugrać miliard dolarów, musisz pomóc komuś zarobić przy tym milion.

W mentalności ludzi Kraju Środka byłoby to niemożliwe – Huang Wu tylko nieznacznie mrugnął powieką, gdy przemknęło mu to przez myśl.

– Aczkolwiek pana propozycja jest godna wszelkiej uwagi i zainteresowania oraz brzmi bardzo interesująco, to muszę się dziś jeszcze naradzić z Radą Nadzorczą naszej korporacji.

– Kiedy zatem mogę liczyć na odpowiedź? – zapytał konsul.

– Jestem przekonany, że najdalej jutro do południa – odpowiedział Zaidler.

– Dziękuję za spotkanie... Ach byłbym zapomniał. Ostatnio wsparliśmy pewną symboliczną kwotą dziesięciu milionów złotych polski Instytut Pamięci Narodowej. Otrzymałem w zamian pięknie wydaną książkę pod tytułem *Z dziejów polsko-chińskiego sojuszu morskiego 1950–1957*. Dano mi ją przez omyłkę w dwóch egzemplarzach. Jeden zachowam dla siebie, a drugi, pomyślałem, mogę przekazać Panu z myślą o nawiązaniu dobrej wzajemnej współpracy w obszarze 5G. Zresztą w IPN można znaleźć wiele ciekawych pozycji książkowych, wydań, informacji i materiałów o historii pana kraju i osób z tą historią w sposób bardziej lub mniej szczególnie związanych.

Prezes Zaidler kiwnął głową na znak, że potwierdza. Uściśnął dłoń Chińczykowi i odebrał książkę.

– Jutro pozwolę sobie skontaktować się z panem, panie konsulu.

– W takim razie czekam i do widzenia i proszę pamiętać: *Nie można zatrzymać żadnego dnia, ale można go nie stracić*.

Prezes polskiej korporacji wyniósł mieszane wrażenia ze spotkania. Wprawdzie miał dziś z Huawei podpisać umowę na 5G, jednak otwarta presja Amerykanów na władze w Warszawie, niejasne stanowisko polskiego rządu i niejednoznaczne telefony z różnych stron, poczynając od Wiejskiej, Frascati, Nowogrodzkiej i Rakowieckiej, sprawiały, że bez rozmowy z Radą Nadzorczą nie mógł takiej decyzji podjąć. Wolał mieć za sobą tak zwaną dupokrytkę, czytaj: mocne plecy.

Owszem, doskonale rozumiał, co Chińczyk miał na myśli, mówiąc o szkoleniach w kraju i za granicą, jednak zaniepokoiło go to przekazanie na odchodnym książki z IPN. Jeżeli sam o sobie wiedział, że kiedyś był tajnym współpracownikiem tajnych służb PRL i że w obecnych czasach nie było to przyczynkiem do chwały, a raczej do potępienia, to czy w ustach Huang Wu nie zabrzmiało to jako ostrzeżenie, jako ostatni argument zakamuflowanego nacisku...?

Następnego dnia w południe na paskach serwisów informacyjnych jednej z korporacji medialnych w Polsce pojawiły się przesuwające się z prawej strony ku lewej napisy:

Wystartowała pierwsza w Polsce sieć 5G. Jesteśmy obecnie jedyni na rynku z tak nowoczesną technologią. Wzrasta liczba urządzeń do dyspozycji klientów w tym systemie przekazu informacji.

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Piotr Müldner-Nieckowski

(z cyklu „Jednym zdaniem”)

Un romanzo rotto

(Zepsuta powieść)

Jak to u mnie zwykle jest, usiadłem i w ciągu ośmiu miesięcy, nie śpiąc, nie jedząc, nie pijąc, nie myjąc się, a sikając do wiadra obok, żeby nie odchodzić od roboty, napisałem powieść pod tytułem *Biegący ulicami*, która opowiada o tym, jak wypuścili z więzienia bywszego psychologa Andrzeja W., który był bywszy przez to, że przestał uprawiać psychozawód, gdyż przesiedział w sumie piętnaście lat w ciupie, a jak wynikało z dokumentów, nazywa się Wiśniewski, i jest ksywa: Wiśnia, i nie Andrzej, tylko Antoni, bo imię Andrzej ma na drugie, a który siedział za niewinność, i to naprawdę, nie wymyślił sobie tej niewinności, tylko ją miał, bo skazali go nie za to, za co powinni, tylko za to, czego nie zrobił, taka typowa polska sprawiedliwość, więc wszyscy wiedzieli, że nietypowo: jest czysty jak łąza, w zakresie rzecz jasna tego, czego nie zrobił, bo wcale nie wiedzieli, że zrobił coś strasznego, ale była to zbrodnia doskonała, więc władza w jakimś dziwnym odruchu sumienia dała mu spokój, bo i tak wierzyła, że jest zdrajcą, szpiegiem czy kimś takim, nieważne, a mieli mało miejsc w katowniach i on już im nie był potrzebny jako przykład zbrodniarza „przeciw prezydentowi”, używanego do rozgrywek z PIS-owską opozycją, więc teraz wymyślili, że będzie przydatny do walki z PO-owską opozycją, zawsze z jakąś, a jak trzeba będzie, to na powrót anty-PiS-owską, antychadecką, wsio równo, jak to po ruskiemu i włoskiemu zarazem jest, więc najpierw go trochę poszturchają, trochę mu to i owo poprzetrącają, stłuką jedno jajko, jakoż i wydłubią lewe oczko, ogłuszą na prawe uszko, a potem puszcza obrobionego jak kartofel z główką z kasztana i nosem z zapalki, żeby sam siebie w lustrze nie poznał, na takiej zasadzie, że nie wiadomo, czy zebra ma czarne paski na białym tle, czy też białe na czarnym, żeby po pierwsze jako nie-wiadomo-kto-co-gdzie trzymał głowę na kłódce, a po drugie, żeby jak coś powie, to głupio, albo jak się zaśmieje, to z czyjejś tragedii, i odwrotnie, jak zacznie płakać, to dlatego że komuś coś się udało, słowem, żeby się

zachowywał jak głab i wariat, o, wariat! – to dobre słowo: świruje jak odleciany, a jeśli jak odleciany, no to chory, a jak chory, to bredzi, bo oni wiedzieli, że tak jest najlepiej, nie zabijają, ale i nie puszcza całkiem wolno, tylko tak pośrodku, gdyż liczy się to, co widzą ludzie i co piszą gazety, a dziennikarze nie musieli być namawiani, sami wykonywali zadanie opluwania Andrzeja W., i w końcu napisali, że psychopata w stanie ciężkich zburzeń nerwowych, i jeszcze gorzej, bo on sam zaczął wierzyć, że ma świra, gdyż to, co się z nim stało, nie mogło się w normalnym świecie wydarzyć, i z tym idiotycznym przekonaniem zaczął szukać pomocy, chodzić od psychologa do psychologa, od psychoterapeuty do psychoterapeuty, dawni koledzy udawali, że go nie poznają, i jakoś jeden po drugim nie wierzyli w historyjkę, którą im niezmiennie prezentował: „tę samą o uwieszeniu za nic”, absolutnie nie ufali i tak go traktowali, że widział na własne oczy, iż wcale nie chcą go leczyć, tylko na nim testować nowe metody przerabiania osobowości, a nawet że chcą się go jak najszybciej pozbyć z gabinetu, tak, żeby bez proszenia sam się wreszcie powiesił w jakiejś piwnicy, więc nawet nie brali ani grosza, tylko go dołowali i won za drzwi, ale nie wiedzieli, że miał forsę od cholery, bo dostał od państwa odszkodowanie za nielegalnie nakazany przez sądy pobyt, no i tak chodził po mieście od Annasza do Kajfasza, spotykał Agnieszkę, która mu wkładała rękę za pasek, co za ulga w tym niebywałym napięciu, potem coraz szybciej, aż zaczął biegać, stąd tytuł powieści *Biegący ulicami*, a że nie miał mieszkania, to w ciepłych wełnach menelskich spał na dworcach i w bramach, natomiast biegał w dzień i szukał kolejnego terapeuty, po drodze poznając ulicznych towarzyszy, ulicznice pijanice, jak ludzie kradną, co mają w domach, kiedy idą do pracy i przez przypadek nie zamkną drzwi na klucz, co się mówi o władzy, czyli jaka jest prawda, sprawdzał też w gazetach, jaka jest nieprawda, co ludzie wiedzą, a czego nie, i tak tygodniami, miesiącami, aż przez pięć lat, wciąż szukał psychoterapeuty, który nie jest na usługach premiera czy ministra sprawiedliwości, a choroba systematycznie się pogarszała, bo zaczął mieć zwidy i napotykać ludzi, którzy mówią, co robią bankierzy w domu, co w pracy, a co na schadzках z gangsterami, którzy są pedofile, a którzy gwałcą dziewczynki, co robi marszałek Sejmu, a co Senatu, i jak się jedni wściekają na drugich, na czym polega to, że sąd jednemu daruje, a drugiego za to samo zapakuje na dożywocie, albo że zmienili trasę nowej linii kolejowej, bo brat żony szwagra syna ministra gospodarki miał ochotę się pobudować na trasie planowanej, i kto wydał zgodę na sprowadzanie odpadów z Niemiec, a dla przykrycia zażądał, żeby te śmieci były sterylizowane spirytusem

z chlorheksydyną, takie jaja poznawał, i coraz więcej się dowiadywał, co oznaczało, że zaczyna wariować nie na żarty, w żadnej redakcji nie chcieli jego tekstów, wszyscy w strachu, dostawał paranoi tak jak i oni, ludzie głupieli, więc na wszelki wypadek przeprowadzał się z miejsca na miejsce, gdyż wszędzie znajdował jak nie kamerkę, to mikrofonik, a to w lampie, a to w kranie, kompletny odlot, gdyż jak pokazywał to na policji, to go najpierw przytapiali, wsadzając głowę do miski klozetowej i spuszczać wodę, a potem tłukli go tłuczkami do mięsa i wyrzucali za drzwi, a jak poszedł ze skargą do prokuratury, to nastraszyli nowym więzieniem, i nie wiedział już, jak i gdzie iść ze skargą na policję, bo na samą prokuraturę to strach o życie, a paru takich koleśków, których miał na ulicy za przyjaciół, okazało się porządnymi ludźmi, nie żadnymi menelami, tylko kelnerami, murarzami, hydraulikami, urzędnikami magistratu, lekarzami, a mimo to jakoś trzymali gębę na kłódkę i udawali, że nic nie wiedzą i że jest cudownie, żaden nie doniósł, co się w głowie psychologa W. rodzi, ale i tak wszystko mu się od tego pochrzaniło, to były omamy oczywiście, zwidy i urojenia, i cała powieść kończy się tym, że jednak nie znajduje psychoterapeuty i wobec tego jedzie na najwyższe piętro Pałacu Kultury, żeby wyskoczyć na dół i w ten sposób odebrać sobie to podłe życie, ale w ostatniej chwili widzi jakąś śliczną panienkę turystkę, cieszyńską Czeszkę, a ona mu wkłada rękę za pasek i trzyma, i się bawi, świat się staje cudny, jaskrawozielony, i on z jękiem szczęścia zmienia postanowienie, bo ona go jeszcze całuje w usta i gryzie w uszko, chciałaby go zjeść, od tego momentu teraz to on sam się postara, pokaże, kim jest naprawdę, i pójdzie do szkoły dla psychoterapeutów, nauczy się najnowszych metod psychoterapii, nie tych Freudowskich i żadnych tam Gestaltów, jak się uczył na studiach, tylko nowocześnie, trochę po Jungowsku, tajemniczo, i będzie leczył ludzi z tych wszystkich zwidów, następnie w ramach powieści naprawdę zostaje psychoterapeutą i zaczyna ich naprawdę leczyć, i na tym powieść się kończy, tak, żeby to był cudowny happy end, pacjenci zaczęli u niego ustawiać się w kolejkę, potem nawet potrafili w tej kolejce stać dwa, trzy dni albo i tydzień, i tak się to kończy słowem „koniec”, no i ja, autor tego wszystkiego, wydrukowałem z dziesięć egzemplarzy i rozdałem znajomym ludziom i rodzinie, ludzie zaczęli prosić, żebym dodrukował, no to zrobiłem następnych dziesięć i potem jeszcze piętnaście sztuk wydruku, niech sobie poczytają, mama, żona, dzieci, już przecież dorosłe, koledzy, koleżanki, i nie minął dzień, a zadzwoniła Wala, że genialne zakończenie, dzięki któremu odetchnęła i poczuła się lepiej na tym świecie, zaraz jej siostra Loda, że

nigdy nie czytała tak fascynującej historii, która tak wspaniale się kończy, Jurek powiedział, że on by nie wpadł na takie zakończenie i że to jest o tym, jak człowiek znajduje własną drogę, a Henio z Katarzyną orzekli, że taka książka z takim mottem to powinna być w lekturach, niech młodzież się uczy, jak należy dążyć do tego, żeby zostać kimś, prawdziwym terapeutą, więc jak ja tego wszystkiego zacząłem słuchać, to powoli do mnie docierało, co spieprzyłem, dlaczego to jest *un romanzo rotto*, dlaczego te ich telefony i wizyty niby na herbatkę, prośby o autograf są tak przygnębiające, a oni niczego się nie nauczyli z tej historii, tylko jak te bałwany, którym rozum się pieni, zachwycali się beznadziejną końcówką i mnie zapraszali na te swoje pochwalne kawki i herbatki, więc już zrozumiałem, dlaczego te wszystkie reakcje bliskich mi czytelników są tak deprymujące, pojąłem swoim ciasnym mózdzkiem, że ta powieść jest walnięta, a kiedy ustaliłem, dlaczego jest walnięta, odciąłem i wyrzuciłem końcówkę i cała rzecz teraz kończy się tym, że Wiśniewski wjeżdża na taras widokowy Pałacu Kultury, żeby popełnić samobójstwo, siłą wyjmuje rączkę Czeszki cieszyńianki ze swoich spodni, to jest zza paska, ona na niego pluje z pogardą i rzuca kamieniem obelgi, a on wyciąga z plecaka nożyce i przecina siatkę ochronną, która tam jest po to, żeby ludzie nie skakali na plac Defilad, po czym wystawia nogę na zewnątrz, no i dokładnie na tej wystającej nodze powieść się kończy, a całe te bajery, że został genialnym psychoterapeutą, wypieprzyłem do kosza i dopiero od tego momentu moja powieść stała się wielką jako przenikliwe studium aprioryzmu Kanta w czasach obecnych, dlatego oto wreszcie mogłem odetchnąć i pojechać na tydzień do Sopotu z Zochą, by mnie mogła w ten sposób na jakiś czas odzyskać.

Piotr Müldner-Nieckowski

Wiesława Oramus

Duża i mała

Była śliczna, to prawda, z tą burzą czarnych loków, pełnymi, jak po boksie ustami, olśniewająco białymi zębami, zielonymi oczami, filigranową figurką, filigranowymi stopami i rączkami. Jak porcelanowa laleczka – do postawienia na jakimś meblu i podziwiania z daleka.

Pojawiła się nie wiadomo kiedy, nie wiadomo, kto ją przyprowadził.

Gospodyni zaakceptowała to, jak pani naprawdę otwartego domu. Tak szeroko otwartego, że nawet nie zawsze przedstawiano jej osoby towarzyszące. Często po prostu nie chciano jej przerywać jakiejś rozmowy, wkraczać w wymiary jej relacji z kimś, kto ją w jakiś sposób zainteresował. Często ktoś zatrzymywał się w ogrodzie, na tarasie, nie docierał do miejsc, w których wtedy była. A potem, po prostu, kto tu już był, stawał się częścią bywających w tym domu.

Często był to ktoś ze świata męża, koledzy, koleżanki z pracy i tych gospodyni traktowała trochę inaczej – taki ktoś bywał tylko muśnięty wzrokiem, trzymany na dystans, chociaż z prawem do zajmowania miejsc, które mu odpowiadały – nawet przy stole.

To też mieściło się w tym, co tu zostało utkane, co było tkane. A tkano się przez wiele lat, od kiedy gospodyni trzasnęła drzwiami w tamtej instytucji, w której też ktoś utkał sieć powiązań, zależności, powinności wobec tkacza, systemu zachowań, awansu, degradacji, zamykania i otwierania komuś drzwi.

Miała być tam... kimś, czymś łączącym różne elementy tego systemu? Miała być... piękna, wybrana, ukochana, adorowana przez wszystkich, jako ta wybrana przez najważniejszego wśród ważnych tej instytucji, dopuszczona wszędzie, a więc mogąca wiele, a więc ta, do której będą ludzie Ignać, zwierzać się, informować. Bo kogo kocha szef, tego kochają podwładni?

Zauważyła takie zachowania już na tym etapie pozyskiwania jej, a więc, a więc... trzasnęła drzwiami. I zamknęły się przed nią wszystkie drzwi w tamtym świecie pięcia się, szczebelków, stopni, horyzontów, strategii. Mąż tam został.

Zaczęła tkąć; u siebie, coś swojego, coś terapeutycznego, pozwalającego zapomnieć o tamtym miejscu, tamtym tkaniu.

Z innych nitek się to tkalo. Otworzyła dom, zlikwidowała nawet honorowe miejsce przy stole. Po prostu – każde było ważne, tak jak ważny był każdy gość, wszystko, co tu wносił – czy to ciasto, kwiaty, wino, czy potrzebę bycia z kimś innym, potrzebę wypłakania się, zwierzenia, komu chciał i z czego chciał, albo milczenia, słuchania, opowiadania, przeczytania czegoś, potańczenia.

Czasami było to tylko siedzenie przy ich wielkim stole, odziedziczonym po przodkach razem z tą sentencją – gość w dom, Bóg w dom, nawet dla niewierzących. Przy którym, coś się świętowało, robiło wieńce, proporce, coś śpiewało, żeby od trzymać ducha, coś opowiadało dla dodania otuchy, coś zbierało, żeby wesprzeć innych, coś razem pisało, coś czytało.

To właśnie tam dostrzegła pierwszy raz małą, przyjrzała się jej.

Mała przyciągała wzrok. Przykuwała wręcz. Wokół jej stołka robiło się ciasno, coraz ciasniej. I ciszej – jak gdyby rozmowa nie była tam do niczego potrzebna, jak gdyby głównym zajęciem, sposobem na bycie wśród ludzi, przejawem istnienia, esencją bytu było przyglądanie się jej, wpatrywanie jak w dzieło sztuki, cud natury albo umysłu ludzkiego. Wpatrywanie tak intensywne, że przypominało stupor, często znieruchomienie z otwartymi ustami.

Dotyczyło to mężczyzn, bo kobiet w pobliżu nie było, rozproszyły się po różnych zakamarkach domu i ogrodu.

Mąż gospodyni był w pobliżu małej, ale trochę zdystansowany – taki bardziej obserwator, organizator jakiejś akcji niż uczestnik.

Tego wieczoru zapytała, czy ją zna. Odpowiedział, że chyba tak, gdzieś mu mignęła; w windzie, na korytarzu, w bufecie?

W następną sobotę, bo to był dzień otwierania domu, namierzyła małą i zapytała, jak to się stało, że nikt jej jeszcze nie przedstawił tak miłej pani.

Mała przedstawiła się, podała jakieś imię i uśmiechnęła się, potrząsnęła włosami, tak że zasłoniły jej twarz, zaślniły w świetle zachodzącego słońca. Wzbudziły zachwyt wszystkich gości.

Tego wieczoru gospodyni dowiedziała się, że tak, owszem, jest to jakaś asystentka, przyjęta niedawno do pracy, próbująca się odnaleźć w nowym miejscu, zagubiona, onieśmielona, a przyszła chyba... sama, nieproszona... Tego dnia, bo wcześniej, ktoś jednak musiał ją przyprowadzić. Nie wiadomo, kto to był. Może po prostu dołączyła do innych, nie wiedzących, że jeszcze tu nie była.

Tego dnia mała była bardzo ruchliwa, często zmieniała miejsce, demonstrowała swoją urodę w różnych zakątkach domu, zawsze przyciągając

zauroczonych jej pięknem. W każdym z tych miejsc tworzyła coś... Jak pętelkę z nitek, z których tkano się to, co do tej pory było już utkane?

Nie zmieniło tego jej nieoczekiwane zainteresowanie kobietami, których do tej pory raczej unikała, a one jej, wycofując się, odsuwając od niej, ustępując pola, co też było niszczeniem tego nad czym pracowała gospodyni.

Mała zaczęła chodzić ich tropem. Najczęściej dopadała je w kuchni, prosiła o jakiś napój, próbowała ciasta, chwaliła, pytała jak się coś przygotowuje, komplementowała kreacje, fryzury, podziwiała doświadczenie, wiedzę z jakichś dziedzin, które reprezentowały. Podchodziła, przysłuchiwała się, stawiała obok, siadała obok, naprzeciw. Coś tkano, coś tkano, jakby obok gospodyni, w inny rytm, w innym kierunku, innymi nitkami, kolorami, drąc, zapętlając, niszcząc.

Gospodynię jednak w jakiś sposób wyróżniała. Podziwiała błękit jej oczu, przepiękny, nawet przyprószone już pojedynczymi srebrnymi nitkami złocisty kolor włosów, smukłą, wysoką postać... Dużą... jak określiła kiedyś... Podziwiała też urządzenie domu, kuchni, zupy, kanapki i ciasta serwowane gościom. Oplątywała ja tymi komplementami, osadzała w kuchni pośród filiżanek, talerzy, garnków. Jak w sieci utkanej przez małą z jej słów, gestów, min. Wlokło się to za nią, utrudniało życie, kontakty z gośćmi. Nawet kiedy przechodziły do salonu, zajmowały miejsca przy stole z dala od siebie.

Mąż gospodyni, większość stałych bywalców zachowywali się tak, jak gdyby nic się nie stało czy może stało się coś, co powinno się stać już dawno temu, chociaż byli tacy, którzy coraz częściej spędzali czas na tarasie, w małych grupkach, w parach, a nawet pojedynczo, na jakimś krześle w kącie, paląc, coś tam czytając, co ktoś przyniósł, zostawił w widocznym miejscu.

Gospodyni też coraz częściej ginęła im z oczu, stawiała się mniej widoczna, bez wpływu na cokolwiek, co się w tym domu działo.

Prawie wszyscy to akceptowali, chociaż niemożliwe było ani zadanie pytania o to, co się dzieje, ani dlaczego tak się dzieje.

Pruło się całe to jej dzieło życia, zalegało wszystkie zakątki domu.

Pewnej soboty zrobiła jednak coś, co zdziwiło wszystkich. Podeszła do małej i powiedziała, że prosi ją o wyjście, opuszczenie domu i przyjęcie do wiadomości, że nie może tu przychodzić. Nigdy. Że te drzwi są dla niej zamknięte.

Mała przyglądała się jej przez chwilę zdumiona. Potem zaczęła się śmiać, potem krzyczeć... że nie ma prawa, że przecież to nie jej dom, nie ona tu rządzi, nie dla niej tu przychodziła.

Gospodyni była nieugięta. Powtórzyła wszystko jeszcze raz.

Mała patrzyła na nią, na wszystkich gości, z niedowierzaniem. A potem zaczęła pytać, naprawdę, naprawdę nikt nic nie zrobi, nie ujmie się za mną? Nie pomoże mi nikt? A przecież...

Jednak nie dokończyła zdania, wyszła z płaczem.

Gospodynię najbardziej zaintrygowało to „przecież” i kiedy goście powrócili, już bez małej, w pomniejszonym składzie, że strzępów zdań, nie-domówień, uśmiechów i tak po niteczce, po niteczce utkała się opowieść. Smutna. O przemijaniu, starzeniu się. Nawet tych najpotężniejszych.

O tym jak ten stary zatrudnia coraz młodsze kobiety, a że, cóż wszystko przemija, pozostało mu już tylko wpatrywanie się w nie, jak w obrazek, przesiadywanie z nimi, cmokanie na ich widok, słuchanie miłego śmiechu i rozpieszczanie, rozpuszczanie, zmuszanie wszystkich do takich samych zachowań. A że rozchorowała mu się, opadła z sił żona, nie może już podejmować niedzielnych obiadkami wszystkich podwładnych, więc „stary” wpadł na pomysł, że zrobi to ktoś z podwładnych...

Mąż gospodyni skwitował to stwierdzeniem, że nie popisała się, drugi raz podpadła staremu, a ten postara się już o to, żeby nie znalazło się dla niego miejsce w tej instytucji.

A gospodyni, po jakimś czasie, w pomniejszonym składzie, również o męża, który jednak został w tej instytucji, zaczął bywać z małą na niedzielnych obiadkach u kolegi, który awansował, wróciła do tkania. Czegoś swojego, po swojemu. W swoim domu.

KONIEC

Alicja Patey-Grabowska

Masło – chleb

– Pani Wando!

– Pani Wando!

Energiczne pukanie do drzwi. Otwiera. Na progu stoi sąsiadka – Marta Kowalska – wdowa, matka dwóch synów, ośmioletniego i dziesięcioletka.

Oczy jej błyszczą w podnieceniu. Wypieki na twarzy.

– Pani Wando! Rzucili!

Wanda wie, co to znaczy. Rzucili, a więc trzeba natychmiast wykorzystać okazję

– Gdzie?

– Na placu Unii Lubelskiej, przed supersamem.

Co? Mięso?

– Nie. Chleb i masło.

Chleb i masło... Masło rarytas.

– Już idę.

Zakłada palto, owija się szalem. Wciska na głowę wełnianą czapkę, na dłonie rękawiczki.

Jest mróz a do placu Unii Lubelskiej z Powiśla daleko.

– Czekam na panią! – krzyczy już w korytarzu pani Marta.

Uchylają się sąsiednie drzwi, pojawia się w nich siwa głowa. To Nowakowa, babcia dwóch wnuczków.

– Rzucili? Weźcie mnie ze sobą, ale mam chorą nogę.

– Nie ma sprawy, pomożemy – mówi Wanda.

Po godzinie jazdy, częściowo autobusem, niewiarygodnie zapchanym, częściowo pieszo, noga za nogą, podtrzymując Nowakową, dotarły do placu Unii Lubelskiej.

Przy supermarkecie gigantyczna kolejka okrążająca dwukrotnie sklep, przy którym dwie ciężarówki. Z jednej podają masło, z drugiej chleb. Kolejki są oddzielne.

Wanda spotkała trzy znajome „stacze”, starsze panie, które za pieniądze stoją za innych w kolejkach. Zawsze to jakaś forma dorobienia do nędznej emerytury.

– Ja stanę w kolejce po masło, a pani, pani Wando, po chleb. Ty sąsiadko lepiej trzymaj się Wandy. Mocna kobieta, choć na taką nie wygląda – rzekła Marta, zwracając się do kulawej Nowakowej.

Mróz. Ścisk. Aby dalej, aby bliżej. Kobiety (większość) słaniają się na nogach. Stoją już półtorej godziny. Tupią. Zacierają zgrabiałe dłonie.

Już są przy ciężarówce. Żołnierz podaje chleb. Oddziera kupon kartki.

– Szybciej, szybciej – mówi.

I on zmarznięty, sople w kącikach ust.

– Ludzie! Kobieta mdleje! – słysząc krzyk.

Udaje – mruczy starszy mężczyzna. – Oszustka, chce dostać się bez kolejki.

– Przestań pan bredzić! – krzyczy rosła kobieta omotana wełnianą chustką

Tumult. Zamieszanie. Piskliwe głosy kobiet.

– Precz, dziadu! Won! Stary dureń.

Wanda odbiera chleb, także Nowakowa.

Wkrótce dołącza sąsiadka z masłem. Z masłem!

I znowu powrót. Godzinny, dwugodzinny? Nie liczy. Nareszcie w domu, w mieszkaniu. Jest jak w transie. Półprzytomna, Zgrabiałe ręce. Ale ma. Zdobyła. Masło i chleb dla syna. Mąż od dwóch dni nie daje znaku. Jako lekarz wyjechał do szpitala poza Warszawę. Nie może wrócić? Wielu jej znajomych, nie tylko działaczy Solidarności, aresztowanych.

A ona zdobyła. Zdobyła masło i chleb.

Spogląda na wiszący na ścianie kalendarz. Dzień 18 grudnia 1981 r.
Początki stanu wojennego.

Z czekającego na wydanie tomu „Śnieg gorejący”

Krzysztof Rudziński

Letnie, wieczorne pociągi

Nikomiu z sześćioletnich chłopców nie powinno sprawić trudności, aby wskoczyć do tego pociągu wyobraźni, który zwykł zatrzymywać się w wieczory letnie, przy tylnych, drewnianych schodkach – wiodących od strony północnej, z podwórza, wprost do kuchni naszego letniska w Zalesiu Dolnym. Wtedy było najlepsze światło dla tych chłopięcych marzeń, które o zmierzchu nabierały prawdy od rojeń tej zachodzącej za horyzont „Jedyniej” chwili. Ze wszystkich trzech wejść do naszego domu, to było najbardziej „od kuchni” – drugorzędne i zakulisowe; nieprzeznaczone dla gości, ale bardzo praktyczne – najbliższe furtki na Orężną Siódmą, i nim wnoszone sprawunki oraz wiktuały z ogrodu.

Już od pewnego czasu, kiedy dzień przechylał się coraz wyraźniej, dojrzewającym w zstępującym słońcu popołudniem ku wieczorowi, przeczuwałem – jak na najzwyklejszej stacji kolejowej – nadejście tego pociągu. Już po zmieniających się stopniowo, w miarę ich upływu, odcieniach i barwach leniwych kulminacji tych letnich godzin, umiałem rozpoznawać jego nadejście. Wystarczało – jak między stacjami kolei szerokotorowej w Piasecznie – przyłożyć ucho do szyny, aby usłyszeć odgłos nadjeżdżającego pociągu, kiedy był jeszcze daleko przed wiaduktem nad Jeziorką – tak i tutaj przyłożywszy dłoń do serca, usłyszeć jego bicie w tym pociągu, zanim jeszcze jego schodki – zatrzymując się w naszym ogrodzie – utożsamiały się wieczornie z tymi do naszej kuchni. Wystarczało tylko w to nie wątpić, aby spełniał się na moich oczach. Niesłychane, że nikt z dorosłych domowników nie zanotował nigdy jego przyjazdu – podczas gdy dla mnie zjawiał się on zwykle jako sypialny z salonką i ze słynącym z wykwintnej kuchni wagonem restauracyjnym – nierzadko noc po nocy. Niepojęte to, tym bardziej że później odnajdywałem ich wewnątrz – ciocię i dziadka, czy naszą sąsiadkę z przeciwka panią Czesławę Sadowską – już podczas jazdy, jako zajmujących podróźnych rozmową gawędziarzy. Wtedy można było mieć pewność, że taki wieczorny letni pociąg, nie pociągnie tu długo, ale prędzej czy później, nabrawszy węgla i wody – jak to zwykła czynić ciuchcia na stacji w Piasecznie przed wyruszeniem w dalszą drogę – przybrawszy niepostrzeżenie postać naszego domu – odjedzie bezszelestnie w noc letnią.

Zamykało się wtedy od wewnątrz drzwi i okiennice i przechodząc obok rozgrzanej do czerwoności węglem kuchni, z podgrzewaną na jej płycie kolacją, docierało się do stołowego z nakrytym prostokątnym obrusem secesyjnym stołem. Sadowiąc się na jednym z rzeźbionych krzeseł kompletu – zajmowałem swoje, uświęcone tradycją miejsce, twarzą do okien, mając za sobą wysoką prawie do sufitu, wielopoziomową bryłę kredensu z mnogością wyróżnionych bogatą snycerką drzwiczek i szufladek. Na wyniosłych szczytach i galeryjkach tego kredensu dojrzewały latem pomidory. Był to najlepszy sposób uratowania ich obfitych plonów, bo pozostawione na krzakach podczas deszczu nie uniknęłyby „raka” i nadawałyby się tylko do wyrzucenia na kompost. Na rozległym blacie tego kredensu a zwłaszcza w jego głębi pod ścianą było zawsze miejsce na wielkie słoje i gąsiory z sokami, jeśli nie wystawiono ich na okna lub na taras, gdzie sok w słońcu tworzył się znacznie szybciej. W tym to kredensie na dole, widywałem niejednokrotnie blaszane puszkę z tajemniczym napisem na etykietach: *UNR-RA Condensed milk*, stojące tam od niepamiętnych czasów, aż do pewnego popołudnia, kiedy otwarto jedną z nich i dano mi spróbować na łyżeczce jej gęstej, beżowej zawartości. To czego wówczas doznałem nie da się opisać, w żadnej ze szkół pisania z należnym zrozumieniem, bo to wykraczało poza skalę znanego smaku i jako takie nie pozwalało się ocenić w doczesnej skali. Musiał to być co najmniej ten nektar bogów zwany ambrozją albo ten z zapomnianych bezpowrotnie smaków owoców rajskiego drzewa, który tu przetrwał do naszych czasów – tak był smaczny. Nigdy w życiu nie jadłem nic lepszego niż to dające się bez mała krajać nożem, słodziutkie mleko skondensowane cioci Unry, otwarte po kilkunastu latach leżakowania. Zgęstniało w tym kredensie w najszczęstsze złoto, jak ta, królowi Aragonii Jakubowi po zdobyciu Walencji, podana *orchata*.

Lubiłem to swoje uświęcone przez zasiedzenie miejsce przy posiłkach, z widokiem w ciągu dnia na drewniany, sękaty słup z dwoma szeregami drutów linii elektrycznej na Orężnej Siódmej, na który od czasu do czasu, ku memu pełnemu zazdrości podziwowi, wspinali się elektrycy, używając w tym himalaizmie zakładanych na buty, zakrzywionych raków z zadziornymi. Tym sposobem nauczyłem się, że rak rakowi nierówny i w przeciwieństwie do tego „raka” pomidorów, który wyglądał ohydnie i niszczył ich owoce, które tak lubiłem zjadać prosto z krzaka – te raki elektryków bardzo mi się podobały i marzyłem, aby mieć takie i chodzić sobie jak dziecięciu po tym słupie w górę i w dół, wedle życzenia, ile dusza zapagnie. Ten drewniany słup na ulicy fascynował mnie jeszcze z innego powodu. Jeden

z jego sęków, umieszczony na znacznej wysokości, kiedyś wypadł, odsłaniając niewielką dziuplę, którą sobie upodobałem do licznych fantazjowań; wyobrażałem sobie coraz to inne gatunki dzięciołów, które ją rzekomo wykuły w tym słupie i po każdym powrocie do Zalesia sprawdzałem, czy nie mają tam gniazda, takiego samego jakie znałem z mojej książki *Dzięciołowe mieszkanie* z kolorowymi ilustracjami, do których dziadek Sylwester podorysowywał mi ołówkiem, bądź kredką, przeróżne ptaszki, jeszcze w mitycznych czasach naszego mieszkania w Warszawie przy ulicy Zgoda numer dwa.

Lubiłem zwłaszcza te wieczory, kiedy dosiadała się z nami do kolacji w naszej salonce pani Sadowska, miało się wtedy pewność, że tego dnia podróż – przeplatana jej opowieściami z syberyjskiej katorgi i jej późniejszej ucieczki stamtąd; a opowieściami dziadka Sylwestra o jego przygodach w carskiej szkole, w jednej klasie z synem słynnego fabrykanta czekolady Emila Wedla – będzie pasjonująca i długa.

Trzeba było tylko jeść powoli, przedłużając w ten sposób kolację dobieranymi z rzadka małymi dodatkami, aby nie dać pretekstu cioci do nażbyt rychłego odprawienia mnie spać do sąsiedniego przedziału, w który wcielał się nasz mały pokój – skąd, przy niedomkniętych drzwiach, można było jeszcze niejedno usłyszeć, ale to już było nie to samo, co siedzieć przy nobilitującym stole podróżników, jakby nie przymierzając w towarzystwie Hajoty i Szolc-Rogozińskiego w drodze do Kamerunu...

Co ciekawe, to prawdziwe niebezpieczeństwo groziło mi tylko ze strony cioci, bo dziadek, jak to z dziadkami bywa, pozwoliłby mi na wszystko i jeszcze w nocy jako niespodziankę, podłożyłby dla mnie pod poduszkę coś więcej, jak to miewał w zwyczaju... Opracowałem oczywiście i inne sposoby przedłużania kolacji, starając się być cicho, by nie zwracać na siebie uwagi, ale przez to traciłem sposobność do zadawania pytań, a nie zawsze wszystko rozumiałem i o niejedno chciałem zapytać. Cóż kiedy taka nieostrożność kończyła się zawsze dla mnie wyrokiem skazującym na zesłanie do sypialnego. Wtedy odnosiłem się do litości wpływowych towarzyszy podróży, prosząc o niezamykanie drzwi i nadstawiając wytrwale uszu udawało mi się długo jeszcze w noc, uszczknąć niejedno z pasjonujących opowieści, podczas gdy mój sypialny wagon rozpędzając się do swojej zwykłej conocnej prędkości, unosił mnie coraz bardziej odczepiając od tego restauracyjnego – na jakiś nadarżający się właśnie boczny a w konsekwencji na końcu – snem smacznym – ślepy tor... Przez otwarte

w letnią noc – przegrodzone tylko połami okiennic – okno, dochodził ze stacji w Piasecznie pośpieszny odgłos ekspresu Warszawa – Zakopane, zbiegający się w ciemności u rozstajnych zwrotnic na krótką metę, gdzieś z moim bocznym torem... Kołysany, zacierającym się w miarę oddalania szmerem rozmowy, opierałem się ile się tylko dało, aby w niej jeszcze choć biernie uczestniczyć, nadstawiając ucha znad poduszki, ale pęd sypialnego porywał mnie, wciągając w nocne labirynty nieznanej drogi, zatracającej się za kolejnym mijanym torem w czeluściach nocy... Przez chwilę jeszcze udawało mi się rozróżnić przyspieszający oddech odchodzącej z naszej stacji w Zalesiu, ostatniej ciuchci do Nowego Miasta nad Pilicą, z jej cichnącym, oddalającym się gwizdem zza zakrętu w kierunku Zalesinka; po czym odwracając się i moszcząc wygodniej w moim przedziale odjeżdżałem już zjednany i pogodzony z rytmem nowej podróży, która biegła już dla mnie oddanym mi na tę noc, własnym osobistym, osobnym torem. Noc maczała w tym swe nieczne palce, tyle co własne trzy po trzy, dla niepoznaki...

* * *

Nie wiedzieć jak i kiedy, zapewne w tej najczarniejszej z dziur nocy letniej przed samym świtem, kiedy zapadają w sen jak umarli nawet te nie znające wcześniej, co to sen – słowiki; wpadał pociąg do najdłuższego z tuneli conocnej trasy, u wylotu którego wskakiwał do przedziału jak pierwszy zwiastun brzasku, niepewny jeszcze i podświadomy zarys tej obietnicy, którą świt zwiastował, rozniecając powoli poranne zorze. Pod wpływem tych ostatnich nocnień nocy sen pogłębiał się i rozlegał szeroko wypełniając wszystkie luki i wolne miejsca, jakie się mu trafiły na tym przednówku, podczas gdy pociąg zwalniał stopniowo z przeciągłym piskiem hamowanych kół, wtaczając się coraz wolniej i wolniej, aż do zatrzymania na peronie. Wtedy nagle nastająca cisza budziła mnie jak w prawdziwym pociągu, ale przecierane, zaspane do czysta jeszcze oczy, wodziły już od pierwszego wejrzenia po sypialni jak po peronie oczekującej od dawna na nas docelowej stacji. Wciągało się jeszcze żółtko, przeciągając się w łóżku rozkosznie aż do granic słabości, obejmującej dreszczem spazmu naspane ciało i dochodząc do siebie jak po prawdziwej długiej podróży.

Wygrzebywałem się z pościeli, poziewając tu i tam jeszcze jak po nieprzespanej do syta nocy. W porannym nieładzie odnajdywaliśmy się powoli z ciocią w pokoiku, do którego próbowało zaglądać coraz śmielej słońce już

od pewnego czasu obecne tam i wszędzie indziej po ogrodzie, dopominające się o obecność na dworze ludzi. Chwytało się z kuchni torbę na zakupy i wybiegało przez taras, okrężną drogą wokół domu, przy zamkniętych jeszcze okiennicach i drzwiach kuchennych, na Orężną. Tylko sto metrów dzieliło stąd od ulicy Pomorskiej, gdzie o tej porze dokonywało się co ranka jedno z najbardziej oczekiwanych przeze mnie wydarzeń dnia, dla którego nie potrafiłbym doprawdy wskazać innego stanowiącego choćby załążek jakiej takiej istotniejszej konkurencji. Był to poranny rytuał dla wtajemniczonych, nielicznych stałych mieszkańców Zalesia, który od pierwszej chwili poznania polubiłem, a w którym uczestniczyły wszystkie pokolenia i warstwy społeczne. Było to oczekiwanie, w ustalonych punktach przystankowych przy ulicy Pomorskiej, na codzienny przyjazd furgonu z chlebem pana Maroszka. Miał on piekarnię w Piasecznie a właściwie na jego odległych peryferiach nad rzeką Jeziorką, na tak zwanym Półku, do której zaglądaliśmy sporadycznie będąc w miasteczku w dni targowe. W pozostałe jednak dni tygodnia przywoził on furgonem podobnym w moich oczach do dylizansów pocztowych Dzikiego Zachodu – pełny asortyment swojego pieczywa do Zalesia Dolnego i sprzedawał go wprost z wozu w uświęconych tradycją miejscach stałego postoju. Najbliższą naszej posesji stacją postojową dylizansu pana Maroszka przy ulicy Pomorskiej była furtka wiodąca do ogrodu pani Żakowej, róg naszej Orężnej Siódmej. Było stamtąd nie więcej jak sto metrów od naszego domu. Dlatego ciocia Mita nie obawiając się, że mógłbym zabłądzić, wysyłała mnie często po świeże pieczywo na śniadanie. Nieliczne w Zalesiu, najczęściej niewielkie sklepiki spożywcze lokowały się wzdłuż szosy i alei Trzeciego Maja, a na Pomorskiej nie było żadnego z nich, korzystaliśmy więc skwapliwie z nadarzającej się okazji kupna pieczywa w pobliżu naszego domu. Pan Maroszek oczywiście dostarczał swój asortyment także i do tamtych odleglejszych sklepów, ale zanim tam w końcu docierał, zdążył już sprzedać większość na kolejnych postojach dylizansu. Cieszyłem się tym i ja, nie musząc dźwigać daleko, wysmienitego razowca, słodkich chałek podawanych później z powidłami do kakao, czy najzwyczajszego żytniego komiśniaka na zakwasie, który w środy bywał najsmaczniejszy. Tajemnicę tych śród Maroszkowych wyjaśnił później sam pryncypał cioci poufnie na ucho: „W środy piekę dla siebie i znajomych”. Widocznie nadmiar tych środowych dopieszczzeń wydostawał się z piekarni do furgonu i obwoźnie uraczał zalesiński ludek, bo rzeczywiście, w środy, dzięki tym podszeptom, ten chleb sprzedawał się jak

w inne dnie świeże bułeczki, a wszystkie strony transakcji rozchodziły się zadowalająco usatysfakcjonowane.

Te wczesne, poranne wyprawy do dyliżansu chlebowego, weszły mi natenczas w krew i... wołały długo. Dyliżans, jak na Dzikim Zachodzie, nie miał nigdy stałej godziny przyjazdu i należało go wyczekiwać, najczęściej w niewielkiej kolejce, składającej się zazwyczaj z kilku osób starszych – babć i dziadków oraz gromadki dzieci, dla których to poranne wstawanie urastało do atrakcji pierwszej wielkości. Każdy przypisywał tu sobie jakąś inną od rzeczywistej rolę i trzymając się jej kurczowo, bywał doprowadzany do rozległych i bogatych wątków ubocznych i dróg rozstajnych wakacyjnych fabuł. Ja, na przykład, po przejściu tych stu metrów od naszego domu, miałem już wytknięty i jasny plan, co do tego dyliżansu, który miał nadjechać. Niby tylko czekałem na pieczywo, gdy tymczasem nikt nie wiedział, co sobie roilem w naczytanej, w pamiętnym, ustronnym miejscu posiedzeń, głowie. Byłem właśnie sławnym westmanem, łowcą nagród i czekałem na ten dyliżans w nadziei, że przywiezie któregoś z poszukiwanych listem gończym bandytów, albo jakąś dystygowaną damę, w której obronie będzie trzeba stanąć. Od czasu do czasu odrywałem wzrok od prerii i spoglądałem na drogę, aż do miejsca skąd należało się spodziewać pana Maroszka.

W perspektywie ulicy, w odległości trzystu metrów, widziałem takich samych jak my miłośników chleba naszego powszedniego, którzy tam obok domu państwa Otrockich oczekiwali na wcześniejszej stacji etapowej na swój ulubiony, stworzony w wyobraźni własny smak prerii.

Obejście państwa Otrockich, stareńskiego już małżeństwa, znałem od dawna, gdyż tam właśnie chodziliśmy z ciocią po mleko „prosto od krowy” i były to zawsze dla mnie organoleptycznie wyzywające wizyty, bo mogłem zaglądać do obory upajającej mnie zapewne od pieluszki swoim szczególnym mlekotwórczym zapachem. Woń ta, będąca swoistą syntezą dojonego mleka, bydlęcego potu i wydaliny, jak również reakcji chemicznych zachodzących w miejscowej ściółce, ogrzewających oborę – stanowiła sama w sobie uzasadniony powód, aby tam bywać. W najostrzejszej formie szczytowej kiedy się tam weszło z obejścia, pełna zapachu mocznika, aż wierciła w nosie przywołując gospodarzy do pracy nad sobą. Kiedy się jednak powstało dłużej w obórce, zapach ten nie tylko dawał się znosić, ale wciąż to wznosząc się, to opadając, przyzwyczajał do siebie i stawał się swojskim a nawet miłym. Cztery rozłożyste, wielkie, łaciate, czarnobiałe

krowy rasy nizinnej, po porannym popasie, porykiwały, pożądając udaju. Lubilem przyglądać się jak je dojono i wkrótce nabrałem przekonania, że ta na pierwszy rzut okai kiedyś spróbować i tylko, zamiast mleka, najadłem się wstydu.

Przy takim to obejściu, przesyconym zapachem bydła, siana i stepowego majdanu, zatrzymywał się na krótko, dla kilku zaledwie okolicznych mieszkańców, wehikuł pana Maroszka, ukazując się nagle z naszej perspektywy, zza odległego zakrętu ulicy Pomorskiej. Wtedy wiedzieliśmy, że i nasze oczekiwanie dobiega końca.

Kolejka zwierała się sama w sobie i porządkowała, urywały się toczone rozmowy, rosła trema jak przed wejściem na scenę wydarzeń nieuchwytniej dotąd tajemnicy. Tam o trzysta metrów od nas, niedaleko, otaczający furgon już ją znali, co można było poznać po rozchodzącym się stopniowo zgromadzeniu – widocznie usatysfakcjonowanych jej posiadaczy, unoszących ją jak puszczoną z torbami do okolicznych domów. My tutaj musieliśmy jeszcze czekać zanim pan Maroszek podwiezie ją ku nam i otwierając rozsuwane drzwi wypuści ją na światło dzienne, abyśmy ją roznieśli po bożym świecie, dzieląc nią z innymi w domu łamanym chlebem. Ale oto przechodzi te pół minuty, jak czas jednego okrążenia podczas *Palio* w Sienie i wszystko czego mogliśmy się spodziewać dzieje się na campo. Zawsze czekam na ten moment jedyny, kiedy rozsuwają się wrota furgonu i mogę zajrzeć do ciepłego, pachnącego wnętrza. Na podłodze w koszach i na półkach w głębi, leży gorące pieczywo, a zapach piekarni nad ranem, najpiękniejszy, z zapachów objawionych człowiekowi, jest sprzedawany tak jak ujął to prorok Izajasz – każdemu bez pieniędzy – ile tylko zdoła go unieść. Każdy może podejść i zabrać sobie ile tylko dusza zapagnie tego zapachu powszedniego a najpiękniejszego w gruncie rzeczy ze wszystkich na świecie – zapachu świeżego chleba powszedniego. Głos wilgi, gdzieś nieopodal przeszywa korony drzew, a ja stoję z nosem wwiedzionym głęboko na pokuszenie i aż mnie ssie w dołku i ślinka leci w tym sezamie obwoźnym pana Maroszka. Kupuję jak zwykle czarny wilgotny razowiec, najsmaczniejszy ze smalcem z podsmażaną cebulką i jabłkiem; chałkę do kakao; rogate i chrupiące kajzerki do szczypiorku z ogrodu i do twarożku; chleb żytni na zakwasie do jajecznicy na maśle, która sama w sobie jest wykwintnym daniem, o ile nioski cieszą się wolnością stworzeń bożych. Wracam sobie teraz tą samą drogą, patrząc jeszcze jak pan Maroszek kończy obsługiwać ostatniego klienta; wspina się zawodowym chwytem na kozioł furgonu, a koń, oglądając się po koźle, czy można już jechać, rusza na wprost

wertepami ulicy Pomorskiej do kolejnego postoju, o dwieście metrów dalej, przy domu majora Romańskiego.

Z synem majora Frankiem nieraz bawiłem się, nigdy jednak nie dostępując honoru wizyty u nich, chociaż Franek niejednokrotnie u nas bywał. Dlatego trudno mi jednoznacznie zdać sprawę, czy dom majora okazałby się godnym tej kroniki, zatrzymując wzrok u jego progu, jako niedoszły świadek wydarzeń. Kiedy zaś sprzed domu majora pan Maroszek ruszał dalej w objazd po Zalesiu, mnie to już nie interesowało, bo tymczasem przesłaniał wszystko uświęcony manierą codzienną swojski portret: Zasiadaliśmy do śniadania w dużym stołowym pokoju, który teraz wcale nie przypominał przedziału kolejowego, jakim był poprzedniego wieczoru. A to zasiadanie ciągnęło się nieraz długo, przerywane wyskakiwaniem na grządkę po gruby szczypior albo po szczypiorek, które posiekane przez ciocię, na pajdzie razowego chleba z masłem i posolone stanowiło już smaczne danie, którego nie powstydziliby się żaden galicyjski dom śniadańkowy w samych przedwojennych Zaleszczykach. A gdy jeszcze na stół wnoszona była jajecznica na boczku albo na masełku z kawą zbożową *Turek*, celebrowało się to śniadanko, przedłużając go w drugie śniadanieczko z chałką z masłem, śliwkowymi powidłami i podwójnym kakao. W jadalni panował jeszcze poranny chłodek, bo słońce było za domem i dopiero powoli wchodziło na taras, gdzie na betonowej balustradzie – nad tralkami wykonywanymi ręcznie przez pana Skoneckiego – w okrągłych wgłębieniach stały doniczki fioletowej petunii na przemian z czerwoną szałwią. Podlewał je dziadek skoro świt, jak tylko robiło się widno, co w końcu czerwca zdarzało się już o wpół do trzeciej. Na tego pana Skoneckiego zwróciłem baczniejszą uwagę, bo kulał, tak jak wujek Miecio, na jedną nogę, a ponadto nosił nazwisko, ówczesnie najlepszego polskiego tenisisty, co nie mogło we mnie przejść bez echa, bo ten sport jako bardzo elegancki i elitarny, w którym w dodatku przed wojną w wolnej Polsce odnosiliśmy niemałe sukcesy, jawił się w moich oczach jako stojący bardzo wysoko w hierarchii znanych mi wówczas dyscyplin sportu; a występujący zawsze w śnieżnobiałych strojach tenisiści byli mi ambasadorami elegancji i dobrych manier. Pan Skonecki, o takim nazwisku noszącym w sobie już przez samo brzmienie tak wielką dozę tenisowego szlachectwa – nie mógł oczywiście w żaden sposób potwierdzić tej swojej imiennej zgodności z wielkim światem jakimś doniosłym czynem na zalesińskim korcie, bo ten zbudowany przed wojną na dalekich peryferiach, za placem Wolności, wyraźnie utracił swą wiarygodność, zarosły chwastami i przejmującym jego własność forpocztem

brzózek młodnika. A rozumiałem, że nawet gdyby kort był w idealnym stanie i tak nie wywiązałby się żadnym serwisem z powodu kalectwa, ale przez to wszystko, co już uprzednio powiedziałem, spoglądałem na niego przychylniejszym okiem niż na innych robotników budujących nasz nowy taras. Mieszkał w pierwszym domu za placem Wolności, na przedłużeniu alei Trzeciego Maja i to miejsce leżące prawie na ostatniej rubieży znanego mi ze spacerów z ciocią Zalesia – jako jawiące się białą plamą nieznanego, nie przysporzyło mu mego zainteresowania. Ale kiedy przyszło do stawiania tralek na wzniesionym już podeście – pojawił się z kilkoma żeliwnymi formami, natychmiast mnie urzekając tajemniczością tej swojej, budującej rzecz, twórczej umiejętności, o którą jeszcze wczoraj nie miałem żadnych podstaw go podejrzewać.

Obserwowałem go teraz przez wiele dni jak powoli i z namaszczeniem przygotowywał cementową zaprawę, ubijając ją stemplem w formie, dając baczność, by była odpowiedniej konsystencji – nie za gęsta ani za rzadka – aby dobrze wypełnić formy, w których później leżakując przez kilka dni nabierała w nich twardości do zachowania kształtu po ostatecznym uwolnieniu. Następował wtedy końcowy proces wygładzania i szlifowania, po czym tralka o obłych kształtach małej afrodyty lądowała pośród innych, naszego tak w imienny sposób uwierzytelniającego się Partenonu. Byłem zachwycony, a co by nie powiedzieć, pan Skonecki lokował się w moich oczach wysoko w galerii panteonu sław wszechczasów.

* * *

Po skończonym śniadaniu, wynosiłem się za coraz obficie zalewany słońcem taras, gdzie za rogiem domu, był jeszcze głęboki i chłodny cień, aby tam w wilgotnym piasku, nieopodał huśtawki, budować warowne grody ze zwodzonymi mostami, które później dobywało tam moje rycerstwo, skutecznie się wyróżniając *Zdobyciem Kołobrzegu* albo na *Psim Polu*. Czasami ponosiła mnie żyłka ogrodnicza widocznie niepostrzeżenie tkana w powietrzu przez dziadka, który był miłośnikiem *Ogrodów na piasku* i tę jego lekturę długich, zimowych wieczorów, pożyczaną z naprzeciwka od pani Sadowskiej, czasami udawało mi się namierzyć na etażerze w dużym pokoju. Tej to żyłce zapewne należy przypisać przeprowadzony skutecznie za domem zabieg przeistoczenia ułamanej gałązki morwy w dorodne z czasem drzewko morwowe, za pomocą jedynie systematycznego podlewania wspomnianej gałązki, aż zapuściła korzonki w wilgotnym piasku.

Po tym sukcesie sadowniczym chodziłem dumny jak paw i jeszcze wiele lat później lubiłem go wspominać, zachodząc byle przypadkiem w tę okolicę, a kiedy wiele lat później w sanktuarium św. Rity w Cascia opowiedziano mi bardzo podobną historię i pokazano jej cudowny – pokrewny z tu opisanym – finalny efekt, zdałem sobie sprawę, co mnie spotkało tego letniego ranka za naszym domem bez żadnej z mojej strony zasługi.

Tymczasem słońce w swoim dziennym biegu, zaglądając po drodze to tu, to tam, dochodziło coraz wyraźniej w mój zakątek za domem i kiedy po godzinie czy dwóch, robiło się tam zbyt gorąco, przenosiłem się do mojej prywatnej stadniny mieszczącej się za komórką. Przez większą część dnia panował tam cień, w którego bardziej znośnym otoczeniu można było później – pomijając przerwę na obiad – przepędzić precz najgorętsze godziny, aż do zachodu słońca.

A ta nadchodząca wreszcie pora schyłku dnia nastrajała mnie niezmiennie – odkąd pamiętam – nieutulenie smutno, jako zmierzch – razem z niknącym za horyzontem słońcem – wszelkiego dobra, istniejącego na ziemi. Zwykłem wtedy wpatrywać się w zachodzące pożarem zorze, trawiące z każdą odchodzącą chwilą, tę coraz bliższą wyczerpania cząstkę świetlistej radości, która upływając bezpowrotnie, pozostawiała – za sobą – niedającą się ukoić, bezbrzeżną rozpacz za przyłaskiem bez żadnej nadziei.

Ale wtedy gdzieś z kierunku odległej stacji w Piasecznie, od wiaduktu kolejowego, czy położonej tam bocznicy ciuchci, dochodził ten zbawienny, odległy jeszcze gwizd lokomotywy, po którym już wiedziałem – wiedziony doświadczeniem podobnych zmierzchów – że za chwilę uda się raz jeszcze ocalić od zapomnienia ten kolejny, wakacyjny dzień letni – uwożąc go jednym z tych wieczornych pociągów od zagłady.

Krzysztof Rudziński

Z tomu opowiadań z dzieciństwa – *Nadgryzanie Gryzonii*

Andrzej Słomianowski

Tędy do nieba

(fragment powieści)

Czekają od świtu.

Stoją i patrzą na południe, on na samym końcu. Pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt głów. Krajobraz niczym z bajki. Niedaleko rzeka. Wzdłuż rzeki bity gościniec wysadzany smukłymi drzewami, daleko aż po horyzont. Wszędzie bujna trawa, krzewy, w dali lasek. Nie słychać żadnych dźwięków.

Ludwik IX w pierwszym rzędzie, wysoki jak Arki. Głowę Króla Arki widzi z tyłu: Król ma długie włosy, inni też – on też.

Wszystko w ciszy. Wpatrzeni w horyzont czekają przy gościńcu.

Krajobraz bajecznie kolorowy, oni w szarościach. Kobiety w czarnych szalach na głowach. Król w szarej tunice, we włosach szare od popiołu pasma.

On także w szarej tunice, we włosach popiół, na policzkach rozmazany popiół. Wewnątrz radość – szczęście. Zaśpiewałby, ale nie może, bo wszystko w ciszy. Wszędzie cisza. Nie słychać żadnych dźwięków. W ciszy rozpie-ra go radość.

Czekają wpatrzeni w horyzont, w zupełnej ciszy.

Blisko południa trzy punkty na horyzoncie. Dwa mniejsze, jaśniejsze, i jeden większy, ciemniejszy. Na gościńcu na horyzoncie trzy rosnące punkty.

Oni stoją, czekają, znieruchomieli w napięciu. W sierpniowym upale zaczyna muskać im twarz lekki wiatr. Lekko rozwiewa im włosy.

On patrzy w skupieniu tam daleko, wytęży wzrok, patrzy ponad szarymi od popiołu głowami, w lewo od głowy Króla. Przy Królu brat Króla, z drugiej strony matka Króla.

Ani szmeru, ani szelestu – wszystko w ciszy. Mijają minuty. Trzy punkty na gościńcu już teraz trzy kształty. Największy kształt idzie na czterech nogach.

On patrzy skupiony, czuje jak mocno bije mu serce.

Król podnosi w górę prawe ramię, zaczynają iść. Idą w milczeniu, w ciszy – nie słychać żadnych dźwięków. Obok Króla jego brat, a z drugiej strony Arcybiskup. Matka Króla idzie w drugim rzędzie, obok niej z obu stron kobiety.

On cały czas na końcu. Sam – nie ma nikogo po bokach. Zamyka pochód.

Idą naprzeciw tamtym kształtom, zwolna zbliżają się do nich, Król wydłuża krok. Kształty teraz już wyraźne: dwie postacie w białych habitach i zwierzę. Osiołek. Na grzbiecie coś niesie. Przewiązany złotym sznurem kufer.

On patrzy i chciałby krzyknąć, ale nie może, bo wszystko w ciszy. Staje na palcach i macha rękami, serce wali mu z radości.

Za chwilę wszyscy razem w dużym kole. W środku osiołek, dwaj dominikanie, Król i Arcybiskup. On z tyłu.

Zupełna cisza.

Król łamie pieczęcie, otwiera kufer, wyjmuje zeń złotą szkatułę.

Cisza jak makiem zasiał.

On chce podejść bliżej, ale nie może ruszyć nogą: ani lewą, ani prawą. Stoi wbity w ziemię niczym słup.

Król łamie jeszcze dwie pieczęcie, otwiera szkatułę, wznosi ją ku niebu. Wszystkie oczy patrzą w górę na szkatułę, wokół niej jasność. Na twarzy Króla jasność.

Król klęka, zastyga z trzymaną w rękach szkatułą, oczy ma zamknięte. Obok klękają obaj dominikanie, Arcybiskup, matka Króla i jego brat.

Za nimi stopniowo klękają inni, na końcu on.

Klęczą w ciszy całą wieczność. W ciszy modlą się. On też. Nie pada żadne słowo, ciszy nie przerywa żaden dźwięk.

Potem wstają z kolan i idą w stronę miasta. Na przedzie boso Król ze szkatułą, obok boso brat Króla. Za nimi reszta boso, na końcu boso on.

Idą wolno w kierunku miasta.

Wieczór, ulice miasta, las rąk z pochodniami w górze.

Oni powoli idą w ciszy, wokół szpaler płonących pochodni i oświetlone migającymi płomieniami twarze. Niezliczone twarze. Na końcu procesji on, obok niego osiołek.

Katedra. Noc. Daleko, daleko czysty różowawy świt.

Woda. Bez dźwięku płynie rzeka.

Na rzece statki rzędem. Na pierwszym Król ze szkatułą. Na czole i policzkach Króla roztarty popiół.

On i osiołek na tym samym statku co Król.

Płyną w ciszy na północ, on leży na wznak na pokładzie, patrzy na niebo.

W górze niebo płynie granatowe, na nim gwiazdy płyną... Płynie gwiazdna rzeka, świecąc i iskrząc się.

Arki siada gwałtownie i przeciera oczy.

– Boże gdzie ja jestem, co się stało? – mówi na głos.

Zasnął w minigrodzie na dachu swojego mieszkania na rue Cler w Paryżu.

Noc szybko robi się chłodna.

– Co za niezwykły sen – mówi Arki do siebie. – Jaki nieprawdopodobny sen...

* * *

W poniedziałek rano piechotą do Invalides i stamtąd metrem do Cité. Arki ma zaproszenie na policję, do Palais de Justice, gdzie ma „udzielić wyjaśnień”.

Przy połączanej bramie wejściowej żandarm informuje go grzecznie, jak ma iść: prosto i po schodach, a wewnątrz jeszcze raz po schodach na pierwsze piętro.

Urzędnik, który przyjmuje go w niewielkim, słabo oświetlonym pokoju jest energiczny, chudy i niewysoki, i ma czarne kręcone włosy. Przedstawia się jako sędzia śledczy Marrou. Arki szacuje, że jest kilka lat młodszy od niego, ale to samo pokolenie. Jest w szarym garniturze i pod krawatem, ciemnobordowym i nierzucającym się w oczy na tle atramentowoniebieskiej koszuli. Przeprasza Arkiego za subiekcję i prosi go o zajęcie miejsca.

– Długo pan jest we Francji? – pyta. – Mówi pan bardzo dobrze po francusku.

– Już ponad ćwierć wieku. Lubię Francję i francuski. To piękny język.

– Życzyłbym sobie częściej słyszeć takie słowa. Wie pan, państwo robi się coraz mniej popularne, a urzędnik państwowy jest obwiniany dziś za wszystko.

– Nie wszyscy tak myślą. Ja jestem po stronie państwa. Bez państwa i urzędników państwowych mielibyśmy z miejsca anarchię.

– To prawda... Cieszy mnie, że pan tak uważa. No więc muszę panu wyznać zaraz na początku, iż nie przyszedł pan tutaj, aby udzielać wyjaśnień. To był tylko pretekst. Zechce mi pan wybaczyć, ale to była najbezpieczniejsza droga. Otóż to my chcieliśmy pana dyskretnie o czymś poinformować i coś wyjaśnić. Ale może najpierw rzuci pan okiem na tę listę. Pańskie nazwisko znajduje się na trzeciej stronie – mówi sędzia Marrou i wręcza Arkiemu kilka spiętych arkuszy.

Arki nie ma pojęcia, co to za lista. Ponad 120 nazwisk wyliczonych alfabetycznie. W tym jego. Zauważa, że jest w dobrym towarzystwie: na liście

figurują nazwiska Prezydenta Republiki, wielu znanych polityków i osobistości z życia publicznego Francji.

Arki nie wie, co powiedzieć. Wpatruje się w spokojne oczy sędziego Marrou, nic nie mówiąc.

– Jest to nasz największy problem w tej chwili, proszę pana – mówi tamten, głośno wzdychając. – To jest lista skazanych na śmierć obywateli francuskich. Domyśli się pan łatwo, kto wydał ten wyrok.

– Siatka Bin Ladena? – mówi Arki, oddając urzędnikowi listę.

– Zgadł pan, to nie było trudne. Oczywiście usiłujemy ich zneutralizować, tutaj u nas w kraju i na obszarze terytoriów. Ale Francja jest w tej szczególnej sytuacji, że spory odsetek jej ludności to muzułmanie. Tak jak w Ameryce, większość z nich to lojalni obywatele, nie mający nic wspólnego z terroryzmem. Nawiasem mówiąc, moje nazwisko także znajduje się na tej liście.

– Więc możemy sobie podać ręce – mówi Arki i z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Chce mu się śmiać, ale nie wypada.

– Możemy, naturalnie... Ale ja mam ochronę, widzi pan, mam ludzi do dyspozycji. A pan jest sam. Chcielibyśmy zaproponować panu ochronę i zasugerować zmianę mieszkania. Mamy pulę specjalnych mieszkań dla ludzi z tej listy, takich jak pan. Politycy mają ochronę z urzędu.

– Za kilka dni wracam do Goerlitz, daleko stąd, na wschodzie Niemiec tuż przy granicy z Polską – mówi Arki. – Właściwie tam teraz mieszkam. Mam zastrzeżony telefon, nikt nie zna mego adresu. Listy odbieram na pocztę, mam skrytkę. To stare nawyki, od czasu, kiedy chciano mnie porwać dla okupu pięć lat temu. Patrzę czy ktoś za mną nie idzie, często zmieniam samochody i numery rejestracyjne. Poza tym Goerlitz to miasto graniczne i dziura, w której nic się nie dzieje. W Goerlitz jest trzech muzułmanów, Turków sprzedających kebab. Tam chyba jestem bezpieczny. Jak pan uważa?

– Nie wiem, jak długo jeszcze... To zwykle kwestia czasu, wie pan, a oni są cierpliwi i uparci. I często pomaga im przypadek. Na razie, jak się zdaje, skupili się na politykach. Polityk to dziś zawód dla samobójców. Tak czy inaczej, na dłuższą metę trzeba coś zrobić. Chętnie panu pomożemy, myślę, że koledzy z Niemiec i z Polski także.

Miły, kulturalny człowiek, myśli Arki. Zatyrały i po same uszy w papierach. Dzień i noc w pracy i nawet nie może wyprowadzić psa na spacer ani spokojnie wypić kawy w bistro. Chwila nieuwagi i już na muszce. Tośmy dożyli czasów, jak mawiała Matka. A co powiedziałaaby dzisiaj?

– Ale dlaczego ja? Kogo oni we mnie widzą? – pyta Arki.

– No wie pan, można się chyba domysleć. Dla nich musi pan być kimś w rodzaju krwiożerczego rekina reklamy, oni kochają takie określenia. A reklama to wszak najpotężniejsze narzędzie szatana. Czyli żarłoczny i nienasycony rekin reklamy, no i główny pomagier diabła. Krótko mówiąc, z piekła rodem, panie Reymak – śmieje się sędzia Marrou.

– A pan?

– Ja? No cóż... Sędzia śledczy, który im nieustannie dyszy w kark i kłapie zębami nad głową. W tym roku zamknąłem już ponad dwudziestu. No więc, jak pan widzi, również niebagatelny pomocnik diabła.

– Zatem radzi mi pan potraktować ich poważnie?

– Jak najbardziej. To są bezwzględni fanatycy. Jeden z amerykańskich kolegów użył zwrotu „*crazy buffalos*”. No więc właśnie... Dam panu mój specjalny numer telefonu, pod którym jestem zawsze osiągalny. Również w nocy. Jeżeli tylko zauważy pan coś podejrzanego, proszę dzwonić. Linia jest bezpieczna, nie można jej podsłuchać. I proszę się zastanowić w związku z pańskim paryskim mieszkaniem. Ja bym się przeprowadził na pana miejscu i nie zwlekałbym z tym długo.

Za pozłacaną bramą Pałacu Sprawiedliwości z powrotem na ulicy Arki przystaje na chwilę. Jest w stanie jakby roztargnienia i nie bardzo wie, co ma robić dalej.

Jeszcze mi tego brakowało, myśli. Żeby było weselej. Wyrok śmierci, pomagier diabła...

Idzie ulicą parę kroków w prawo i zatrzymuje się przy krótkiej kolejce składającej się na pierwszy rzut oka z trzech japońskich małżeństw – trzech par, w każdym razie. To jeszcze teren Pałacu Sprawiedliwości.

Co tu dają, pyta sam siebie w duchu i czyta, że tędy jest wejście dla turystów do Sainte-Chapelle. Ach, Sainte-Chapelle, to tutaj, można wpaść na dwadzieścia minut, dlaczego by nie... Znany zabytek architektury kościelnej, wybieram się z wizytą już chyba z dziesięć lat. Świetna okazja, pójde i zapomnę na chwilę o tym wszystkim. Dzisiaj jest idealny dzień na architekturę kościelną. Pomagier diabła, a to mi przyszło na stare lata. Kompletny idiotyzm. Najlepiej zapomnieć o tym i żyć dalej jak gdyby nigdy nic (...)

Andrzej Słomianowski

Powieść „Tędy do nieba” ukaże się nakładem Wydawnictwa Bernardinum w Pelplinie pod koniec 2020 bądź na początku 2021 roku.

Kazimierz Świągocki

O ciszy

*Od muzyki piękniejsza jest tylko cisza
zasłyszane*

Cisza jest naturalnym symbolem nieskończoności. Nie da się określić jej granic, a istotą nieskończoności jest właśnie bezgraniczność, bezkresność. Cisza jest wewnętrznie niezróżnicowana, jednorodna, monotonna, jednowymiarowa, jakby z jednej czystej odlana substancji.

Hałas to coś, co można zrozumieć tylko w odniesieniu do ciszy, gdyż hałas to ciszy zakłócenie, odebranie jej owej jednostajności, czystej całościowej jednakowości. Hałas posiada granice. I to wyraźne. Dostrzegamy je w miejscu, gdzie styka się z ciszą i rozbija się o nią. Właśnie cisza jest zawsze jego granicą. Nie może się hałas rozlegać w nieskończoność. A cisza może. Zawsze gdzieś wyczerpuje się jego trwanie i gaśnie. Cisza nie gaśnie nigdy. Zawsze ją można myśłą wykryć poza hałasem. Im większy hałas, tym większa za nim stoi cisza. Doświadczamy tego, gdy wielki hałas nagle ustaje.

Wtedy też uświadamiamy sobie, że naturą rzeczy, istotą świata jest cisza, a hałas jedynie przypadłością – powstającą w czasie i w czasie ginącą. Cisza zaś trwa ponad czasem. Jest przecież niezmienna, więc czas, będący miarą wszelkiej fizycznej zmiany, jej nie dotyczy. Nie podlegając czasowi, cisza jest domeną wieczności. I nie wydaje się być w błędzie ten, kto wyobraźnią pojmując ją jako swoisty ogród, w którym wszelkie byty pojedyncze owocują własną dojrzałością, a byt w sensie kolektywnym – uniwersum wszelkich rzeczy, znajduje w niej swój najgłębszy fundament, oparcie i tło.

Można o niej powiedzieć i to, że jeśli byt ostateczny istnieje poza czasem i przestrzenią, więc nie ma w nim czasu, ani przestrzeni, a zatem i zmiany żadnej, ni związanego ze zmianą ruchu i wynikającego z ruchu głosu żadnego, ni tego, co tu nazwaliśmy hałasem, a my mimo to chcielibyśmy sobie jakoś możliwie obrazowo przedstawić bycie owego Bytu, to doświadczenie ciszy, zmysłowe jej odczuwanie i jakiś wewnętrzny enigmatyczny jej ogład, który w nas żyje, może nasunąć spontaniczną myśl, że cisza jest najwierniejszym z dostępnych nam obrazów Bytu.

Kto wie, czy daleko odeszlibyśmy od prawdy, jeśli wielkie malarskie pejzaże tak byśmy postrzegali, jakby wszelkie przedstawione na nich rzeczy stały w opozycji do ciszy, która rozpościera się za nimi, znikając gdzieś w czeluści poza rzeczywistością płótna, ram i całego obrazu, jakby rzeczy te były wynaturzeniem ciszy, jakimś ontologicznym hałasem, który został po to jedynie przywołany i uobecniony, ażeby obwieszczał ciszę – wieczne świętowanie bytu i bytu najczystsze tworzywo.

Może więc błogosławiony Giotto, ekstazyjny El Greco i wielki Rembrandt, a także urzeczony boskością przyrody Hugo Caspar Friedrich nieświadomi tego, w natchnieniu swoim malowali nie tyle drogie ich sercom i umysłom postaci ludzkie i przedmioty tego świata, ile ową Wielką Ciszę, której nieskończoności nie sposób przedstawić naocznie, a którą można jedynie wskazać milczeniem jako odwieczną obecność tej głębi, z której nic się nie wynurza i do której nic nie powraca, choć wszystkie widzialne rzeczy tylko dzięki niej możemy widzieć jako istniejące dla naszych nie-trwałych spojrzeń i dla myśli szukającej w ich pojawach – bytu.

Może też muzyka, nawet ta największa i najświętsza – muzyka gregoriańskiego chorału, jest owej ciszy zakłóceniem? Mieszkająca na jej obrzeżach, pokorna wobec jej milczenia, usiłuje świadczyć jej obecności słowem poruszającym boskie struny powietrza, słowem posłusznym światłu gwiazd i przemieniającym je w światło miłości. Gregoriańska muzyka aniołów zamienionych przygodnie w ludzi, wołająca o powrót do Pana! Może nawet ta muzyka jest ciszy owej zakłóceniem? Muzyka Wielkiego Powrotu, muzyka rozpalonych do świętości gwiazd!

Cisza jest zatem syjamską siostrą wieczności. Bije w nich jedno serce wszechrzeczy. Bije rytmem znoszącym wszelkie przeciwieństwa, także przeciwieństwo początku i końca, nicości i bytu.

Tylko świat rzeczy daremnie szuka ukojenia. Jego wzburzony hałas rozbija się jak niedorzeczne morze o brzegi wiekuistej ciszy.

Kazimierz Świądecki

Grzegorz Walczak

Moja odległa prowincja¹

Jak co dzień wylazł z błota przy mostku, odgarniając faszynkę, kiedy dziewczyny po ciężkim, gorącym dniu wracały pokryte potem niby kąpiącą ospą. Niosły kosze pełne wiórów słonecznego złota i śmiertelniki pozbawione barwy, by siać je przed krzyżem albo przed świątkiem, co się w pół drogi rozkraczył żałosny. Wylazł z bagna utyłany szlachetnym szlamem, cały nagi i roześmiany przy tym, ręce ku pannom wyciągał – bagiennik, strach na dziewczynskie oczy, zawsze jednakowo rozlatane, z zadziwienia rozszerzone na trzy krągłości złotówki, by nie przesadzić, takie wielkie ze zgorszenia, obawy i rozhukanej uciechy. Znały go dobrze, bo nieraz na nie dybał, ale koślawiec był, nogi miał poplątane, więc daleko zagonić ich nie mógł. Zębiska miał za to mocarne, włosy jak kaczan kukurydzy, tyle że zmierzwiłone w błotnej kąpieli i lepkie. Wyszczrzył je teraz i pognał z krzykiem okropieńskim przy wtórze tych gładkołydkich panien. Pomykały przed nim, kosze uplecione porzuciwszy na ścieżce. A z koszy zamiast promieni słonecznych, powiązanych w wianki, sypały się dymiące mrowiska i jadowite jeżyny albo kłębek zatrutego jeża. Wpadł na to rozpędzony, raniąc się niemal śmiertelnie, więc zaprzestał gonitwy. Na dziś przecież swe zadanie wypełnił. Zaspokojony czynem, wykapał się tym razem w czystym piasku i założył ukryty w zaroślach elegancki garnitur.

Tego dnia późnym wieczorem w leniwym miasteczku, rozciągniętym jak nieruchoma glista, na dwu nierównych pagórkach, miejscowy aptekarz – jeszcze się nie domyślacie, kto to taki? – zmieniał przy kontuarze aptekarzową. Tego samego dnia, powiadam, zanim się niebo rozstąpiło przed sceptykami, by im pokazać wielką figę opatrznosci, trzy wyrostki majstrowały przy torach kolei żelaznej. Od zamierzchłości zawsze o osiemnastej zero dziewięć zwykł był pędzić tą drogą elektryczny ekspres gdzieś z centrum wielkiego kraju na jego odległe rubieże. Ryży Stefcio rej wodził, bił w pysk regularnie Maćka od Borysów i grubego Wiączka, by nie zdążyli sami czegoś wymyślić. Wszyscy trzej zresztą nie mogli pojąć swymi kukulczymi mózgami, że skoro wás im się rzadki puścił tam, gdzie powinien,

¹ I nagroda w XXI Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Pauksztzy „Mała ojczyzna – pogranicza kultur”, 23.09.2020 r. Gratulujemy! – Redakcja

a dziewczyny rezolutnie pokazywały im gołe zęby w biegu, to przyszedł ich czas, aby majtki krótkie zamienić na długie. Tymczasem uznali, że trzeba dać światu znać o sobie i nieźle się w końcu zabawić. Zrobili więc cuda-ka, w samej rzeczy podobnego do ludzi i na torowisku równiutko ułożyli. Zaczaili się w rowie, odmawiając zdrowaśki z wielkiej pobożności, by swą cierpliwość Wiekuistemu okazać. Szły też modły w niebo z drugiej strony. To katecheta łajał nad grobem jakiegoś mądrąłę oberwańca za to, że zanurzony w kale grzechów, zwał z tego padołu, nim zdołał zarobić na uczciwy pogrzeb. Katecheta łajał, pokorne oczy wraził w niebo, a wskazującym palcem godził w delikatny pierzasto-kłębiasty miękisz chmur, gdzie zwykł przysypiać święty Piotr leniwy, zbyt łatwowierny klucznik Pańskiego stolca. Dzień utrudzony sobą łeb przechylił we skłonie. Z białego piasku po swym rytualnym czynie otrząpywał się wesoły bagiennik, w zapłociach wszawa Jargulka macała jaja kurom i międliła w gębie straszliwe przekleństwa, a ten jej spowolniały i zawsze zgodny Maciej wbijał ostatni palik przy chwiejnym parkanie. Wyrastki ziewały w zaczajeniu na rzecz ostateczną, katecheta nadal lżył biedaka, któremu udało się zemrzeć ze zgryzoty nad wciąż wzrastającą wartością gorzały. Spotworniały pędem ekspres elektryczny gnał jak strzała Zenona z Elei, ukazując cały bezsens wykonywanego pośpiechu. Jakaś parka w stogu siana na sąsiedniej łączce dochodziła właśnie z niemałym mozołem, szczypiąc się w przyrodzenia. I tak to wszystko zmierzało ku czemuś, czerpiąc siłę z nadziei, że wreszcie to się spełni, nie rozumiejąc, że właśnie sens największej i najmniejszej aktywności wynika z jej niedokończenia, z owego czekania na to, co nadciąga, z trwania. Powiadam wam, nie miał ów racji, który się dał pochować. Dopiero w skończoności jest nieskończoność – śmiertelnie nudna, jak śmierć z nudów. Zaczęła ona ogarniać chłopaczków w rowie i przyszła do nich nie od torowiska, ale od zaziewanej gęby, co się sama rozwarła po czterdziestu pięciu minutach opóźnienia ekspresu, który miał świetliście przelecieć przez utajone w czekaniu prowincje. I mógłbym wam tak jeszcze dużo mówić i wszystko ładnie zakończyć, upiększyć, zaskoczyć niespodziewanym rozwiązaniem, ale nie lubię ponad potrzebę rozstawać się z prawdą. Wyobraźcie więc sobie bagiennika od wielu godzin siedzącego w trzęsawisku. Umościł się w bloku i wierzy, że jeszcze raz mu się uda wydobyć i nie zatonać, i co ważniejsze – wierzy w to, że przyjdą dziewczęta urodne, jeszcze nieskalane, które spąsować można, zobaczą jego błotny taniec, usłyszą jego członków wiatr, i osłupieją z przerażenia, i padną na kolana, i prosić będą o to, by zechciał, co by tylko zechciał. A on – tak to sobie wyobraża

– nieufający omnipotencji rozumu człowieka, sposobem swojej niczym nieograniczonej poetyckiej woli rozedrze niebo na dwie wielkie połowy i wbrew wszystkim sceptykom wyciągnie spomiędzy wezbranych wilgotną słodyczą obłoków niedojrzały, zielony kwiat cytrynowego drzewa. I poda im czystym, a one wciąż jeszcze klęczące przyjmą z jego łaskawych rąk rozkwitłą gałąź niby pierwszą komunię. Taka jest nieodparta dążność i taka niemożność w tym plugawionym błotnym szmalcem ciele, wśród pojękliwe, dychawicznych pęcherzyków, co się wydobywają na powierzchnię trzęsawiska. A może natchniony inną zbawienną gorączką, która równie oczyszczająca jak żrąca soda albo gorzka sól, przyjdzie ów bagiennik nad wiecznie równoległe szyny, napotka człowieczą kukłę, manekina, mistrzowskie dzieło trzech wyrostków i weźmie owo za smutnego straceńca, odgadnie jego duszę, zapłaczę nad jego życiem, które jak dżdżownica sama niewiedząca, co czyni, znajduje wytchnienie na polerowanej wstążce szyn już rozedrganych, już pulsujących niewstrzymanym rozpędzeniem. Poleży tak sobie z wiernym manekinem czas jakiś, zdrowo się wynudzi i pójdzie w ślad za wyrostkami, co splunawszy na nieskazitelną naszego kolejnictwa, opuścili rów i udali się do miasta, by podłużyć spodnie. I pójdzie tak za nimi obojętnie markotny, bo tak naprawdę to mu nie zależy, by podzielić z kimkolwiek smutny lub radosny los, tak jak mu nie zależy, by wreszcie dogonić przechodzące mimo trzęsawiska dziewice – ot, tylko uczepił się tej myśli, bo trzeba mieć w życiu jakąś zachciankę, by za nią podążać. Wróci więc do miasteczka, kiedy już mrok na dobre zgęstnieje i chociaż go swojskie psy obszczekają, zupełnie innym, już nie błotnym, lecz niezmiernie godnym krokiem, w pełni swej garniturowej urody przekroczy od tyłu próg ceglanej apteki, by zmienić za kontuarem swą apatyczną żonę. Stanie więc za tym kontuarem on, bagiennik, aptekarz spokojny, zapięty na ostatni guzik, by uczonym wzrokiem śledzić receptury, wyznaczone przez podobnych mu, rozumnych, wykształconych ludzi.

I mógłbym to wam tak zakończyć, byście o ludzkich rozmaitych zamiarach i dziwnościach przez czas jakiś w zastanowieniu rozważali, ale zakończę inaczej. Każdy ma swojego capa, ludzie mówią – świra. Ja na przykład, gdy już pozamykam szafki z lekarstwami, usystematyzuję recepty, podliczę kasę, lubię poprzymierzać sobie ludzkie skóry. Zakładam je sobie z ciekawości, ponoszę chwilę i już wiem, jak mi bardzo w nich niewygodnie. W lustrze jak panna nie stoję, a jednak przyglądam się sobie obcemu, co siedzi pod moją nową skórą. Źle się czuję, dopóki nie założę skóry, która mnie ciekawi, bawi, a choćby i drażni. Kiedy już bardzo trzeszczy

i w szwach się pruje albo zwisa pomarszczona, za obszerna, przejdę w niej parę kroków i zrzucam zużytą. Ale mi potem lepiej, pełen jestem otuchy, bo mam czego szukać – skóry, która wreszcie będzie dopasowana, równiutko przylegająca, napięta i świeża. Nie dziwcie się zbyt, że kiedyś w wędrówce przez kraj mój przepiękny, na północno-wschodniej jego rubieży, zboczyłem nieco koło mostku i widząc w miejscowym bagienku człeka radośnie zanurzonego, pływającego się ochoczo i bez obawy, i ja co prędzej szat się mych zbywszy, zaraz się do połowy zapadłem w trzęsawce. Pożerało mnie coś soczyście miękkiego, wchłaniało w głąb swej elastycznej materii, puszczało bąki jak stara Barbarka. Po wierzchu rozlaź się zielony liszaj, z nie do końca zastygłej, brudnej galaretki wystawały zbutwiałe łapska duchów bajorkowych. Za mną gulgnęła ropucha wielkości zająca, między nogami rdzawym zygzakiem przemknął jakiś węzowaty cień. Zapadałem się miętko, zadowolony z niepewności gruntu. Z natury jestem chwiejny i niekonsekwentny, nie znoszę zbyt twardego podłoża i absolutnej pewności. Wciągało więc mnie w głąb szalenie łatwo, chociaż powolutku. I byłbym może spokojnie dokonał żywota, gdyby przez dłuższy czas osłupiały ze zdziwienia kolega, kresowy bagiennik, nie rzucił się na mnie z krzykiem wśród bulgoczącej melasy i nie chwycił mazistymi palcami za moje bujne włosy, wrzeszcząc – precz stąd ohydny plagiatorze! Ciągnął mnie z trudem za sobą, dyszał, charczał najgorszymi wyzwiskami, a szły natenczas wiejskie z pewnością prawiczki, które nas widząc, z uciechy aż przysiadły, bo czegoś podobnego nie były sobie w stanie wyobrazić. Więc już na twardym brzegu przewracaliśmy się cali nadzy, błotem upiększeni i byłbym może zmógł chudziaka, gdyby mnie nie zamroczył widokiem potężnego węża, który mu się zapewne w bagnie między nogami uczepił. Powalony tym nadprzyrodzonym zjawiskiem, czekałem, aż mnie dobije, ale on wstał nieoczekiwanie, chwycił węża oburącz, w garście, i z płaczem uciekł leśną drogą. Zobaczyłem, że panny, jako nowemu, nieskromnie mi się przyglądając, dałem więc również susa między pobliskie, karłowate sosenki.

Po jakimś czasie od tego wydarzenia ogólnie szanowany aptekarz z niewiadomych przyczyn wyniósł się ze swego spokojnego miasteczka z całą rodziną na odległe kresy, gdzie się rozciąga urokliwa kraina, pełna zastępów leśnych, manowców, uroczysk, niezliczonych jezior i prawdziwych soczysto-mięsistych trzęsawisk, znacznie bardziej pociągających, niż te zarastające torfem oczka wodne, niezbyt odległe od miejskich aglomeracji. Zadomowił się na tym bujnym terenie, wrósł w ten oszałamiający pejzaż, który go niemal w siebie nie wessał, i trwał tak na swym bagiennym

posterunku, już raczej nieruchomy, bo go zmógł reumatyzm, a może zaplątał się we własne korzenie. Utkwił głęboko w podłoże i nie był już w stanie wydobyć się na powierzchnię. Nawet nosiłem się z zamiarem, by go zastąpić w trwaniu bagiennym, skoro się już wybrałem na te nieprawdopodobne kresy, lecz nieoczekiwanie uświadomiłem sobie, że tak naprawdę to ja nie jestem żadnym aptekarzem, jeno z lekka rozchwianym narratorem, który się tylko czasem lubi utożsamić z bohaterem. I już w miejscu, gdzie się otwierała przede mną kipieli bagienna mojej wyobraźni, powiodłem dookoła smutnym wzrokiem, rozplakałem się rzewnie, zaniechawszy czynu. Zrezygnowałem. W obecnej dobie nie miałbym już tej przyjemności. Jestem przecież indywidualistą i lubię robić wrażenie, zwłaszcza na płci odmiennej. A jakąż dziewczynę może dziś poruszyć nagość bagiennika pod miasteczkiem, w którym punktualnie zatrzymuje się transkontynentalny ekspres, a wyrostki nie szukają już swojej wielkiej szansy w tragedii manekina, lecz prawdziwych ludzi układają na torach. Ach, któż się może przejąć moją postacią bagienną, skoro całe plantacje samozwańczych bagienników sterczą gromadnie coraz niżej nad powierzchnią błota. I tylko czasem czyjaś ręka plaśnie w ostatnim uniesieniu i jakiś biały gołąbek sfrunie znad zwierającej się z pomlaskiem topieli.

Grzegorz Walczak

Przekłady Adama Lizakowskiego

Louise Glück (Nagroda Nobla 2020)

Dziki Iris (The Wild Iris)

Na końcu mojego cierpienia
były drzwi.

Wysłuchaj mnie: to, co nazywasz śmiercią
Pamiętam.

Nad głową, hałasy, poruszają się gałęzie sosny.
Potem nic. Wyblakłe słońce
drży na wyschniętej powierzchni.

To jest straszne przetrwać
jako świadomość
zakopana w ciemnej ziemi.

Wtedy to się skończyło: to, czego się boisz, będąc
duszą i niezdolny aby
mówić, urywasz niespodziewanie, sztywna ziemia
trochę się zapada. I wzięłam to za
ptaki buszujące w krzakach.

Ty, który nie pamiętasz
przejście z innego świata,
mówię ci, że mogą odezwać się znowu: cokolwiek
powraca z niepamięci powrotów
aby odnaleźć głos:

z środka mojego życia wytryska
wielka fontanna, ciemnoniebieskie
cienie na lazuruwej wodzie morskiej.

Syrena (Siren)

Zostałam kryminalistką, kiedy się zakochałam.
Wcześniej byłam kelnerką.

Nie chciałam jechać z tobą do Chicago.
Chciałam cię poślubić, chciałam
Aby twoja żona cierpiała.

Chciałam, żeby jej życie było sztuką
W której wszystkie akty są smutnymi aktami.

Czy dobra osoba
Myśli w ten sposób? Zasługuję na

Uznanie za odwagę –

Siedziałam w ciemnościach na twojej werandzie.
Wszystko było dla mnie jasne:
Jeśli twoja żona nie pozwoli ci odejść
To udowodni, że cię nie kochała.
Jeśli cię kochała
Czy nie chciałaby, abyś był szczęśliwy?

Myślę teraz
Gdybym była niej wrażliwa, byłabym
Lepszą osobą. Byłam
Dobrą kelnerką.
Serwować osiem drinków na raz.

Opowiadałam ci moje sny.
Ostatniej nocy widziałem kobietę siedzącą w ciemnym autobusie –
W tym śnie ona płacze, autobus
Odjeżdża. Jedną ręką
Macha; drugą uderzenia w
Pudełko z jajkami pełne niemowląt.

Sen nie uratuje dziewczyny

Życzenie

Pamiętasz, kiedy powiedziałeś życzenie?

Mówię wiele życzeń.

Czas, kiedy cię okłamałam
o motyłu. Zawsze się zastanawiałam
jakie są twoje życzenia.

Jak myślisz, czego sobie życzyłam?

Nie wiem, że wrócę,
że jakoś będziemy razem w końcu.

Marzyłam o tym, czego zawsze pragnęłam.

Marzyłam o kolejnym wierszu.

Nieszpory (Vespers)

Podczas twojej dłuższej nieobecności pozwalasz mi
Uprawiać ziemię, przewidujesz
pewien zwrot z tej inwestycji. Muszę zgłosić
swoje niepowodzenie w moim przekonaniu, głównie
dotyczy to pomidorów.
Myślę, że nie powinnam być zachęcana do ich
hodowli. Albo, jeśli już jestem, to ty powinienes powstrzymać
ulewne deszcze, zimne noce co raz to
częstsze tutaj, podczas gdy inne regiony mają
dwanaście tygodni lata. To wszystko
należy do Ciebie: z drugiej strony,
to ja sadziłam nasiona, obserwowałam pierwsze pędy
jak skrzydła rozrywają ziemię i to było moje serce
złamane zarazą, czarną plamą tak szybko
mnożącą się na grzędach. Wątpię czy
masz serce, w naszym zrozumieniu

w tym znaczeniu, ty nie rozróżniasz
 umarłych od żywych, oni są w wyniku tego
 odporni na zwiastowanie, możesz nie wiedzieć
 ile strachu znosimy, cętkowany liść,
 czerwone liście opadające z klonu
 nawet w sierpniu, we wczesnych ciemnościach: nie jestem
 [odpowiedzialna
 za winorośle.

Mit poświęcenia (A Myth of Devotion)

Kiedy Hades zdecydował, że pokocha tę dziewczynę
 zbudował dla niej kopię ziemi,
 wszystko takie same, aż po łąkę,
 ale dodał łóżko.

Wszystko tak samo, łącznie ze światłem słonecznym,
 ponieważ byłoby ciężko młodej dziewczynie
 przywyknąć do całkowitej ciemności

Pomyślał, że stopniowo wprowadzi noc,
 najpierw jako cienie trzepoczących liści.
 Raz księżyc, raz gwiazdy. Raz bez księżyca i gwiazd.
 Niech Persefona powoli się przyzwyczaja.
 W końcu pomyślał, że to ją uraduje.

Replika ziemi
 poza tym, że była na niej miłość.
 Czyż nie wszyscy chcą miłości?

Czekał wiele lat,
 budowanie świata, oglądanie
 Persefony na łące.
 Persefona, wacha, degustuje.
 Jeśli jedna rzecz ci się spodoba, pomyślał:
 polubisz wszystkie.

Czyż nie każdy chce dotknąć w nocy
 ukochane ciało, objąć je, gwiazdę polarną,
 usłyszeć cichy oddech, mówiący
 Żyję, to znaczy też
 żyjesz, bo mnie słyszysz,
 jesteś tu ze mną. A kiedy jedno się obraca,
 drugie się obraca –

Tak właśnie czuł, pan ciemności,
 patrząc na świat, który
 zbudował dla Persefony. Nigdy nie przyszło mu to do głowy
 że nie będzie już tutaj zapachów,
 a na pewno jedzenia.

Wina? Trwoga? Strach przed miłością?
 Tych rzeczy nie mógł sobie wyobrazić;
 żaden kochanek nigdy ich sobie nie wyobraża.

Marzy, zastanawia się, jak nazwać to miejsce.
 Najpierw myśli: Nowe piekło. Następnie: Ogród.
 W końcu postanawia nazwać go
 Panieństwo Persefony.

Miękkie światło wznosi się ponad płaską łąką,
 za łóżkiem. Bierze ukochaną w ramiona.
 Chce powiedzieć jej, kocham cię, nic nie może cię skrzywdzić

zastanawia się
 to kłamstwo, więc w końcu mówi
 jesteś martwa, nic nie może cię skrzywdzić
 co mu się wydaje
 bardziej obiecujący początek, bardziej prawdziwy.

From: *A Myth of Devotion from Averno* by Louise Glück.
 Copyright © 2006 by Louise Glück.

Itaka

Ukochany nie
 musi żyć. Ukochany
 żyje w głowie. Krosno
 jest dla zalotników napiętych
 jak harfa z białą nitką całunu.

Był za dwoje ludzi.
 Był ciałem i głosem, atrakcyjny
 pociągający żywy mężczyzna, a potem
 rozwijającym się snem lub obrazem
 ukształtowanym przez kobietę pracującą na krośnie,
 siedzącej w wypełnionej sali
 z prostolinijnymi mężczyznami.

Skoro szkoda ci
 oszukującego morze, które próbowało
 zabrać go na zawsze
 i zabrało tylko pierwszych,
 musisz być prawdziwym mężem
 szkoda tych mężczyzn: oni nie wiedzą,
 na co patrzą;
 nie wiedzą tego, kiedy się kocha w ten sposób
 całun staje się suknią ślubną.

Studium mojej siostry

*Szanujemy tutaj, w Ameryce,
 to co jest konkretne, widoczne. Pytamy
 Po co to jest? Do czego to prowadzi?*

Moja siostra
 odłożyła widelec. Czuję, powiedziała,
 jakbym miała skoczyć w przepaść.

Zostało popełnione przestępstwo

przeciwko ludzkiej duszy
w stosunku do małego dziecka
które spędza cały dzień na zabawie
kolorowymi klockami

spogląda w górę
promienna taka nareszcie,
ukazuje się,
wraca do rodziców

a oni pytają
Co zbudowałaś?
a potem, ponieważ ona wydaje się
taka nieogarnięta, taka zdezorientowana
powtarzają pytanie.

NOTY

Louise Elisabeth Glück (ur. 22 kwietnia 1943 r.), amerykańska poetka i eseistka. Zdobyła wiele najważniejszych nagród literackich, w tym Nagrodę Pulitzera, Narodowy Medal Humanistyczny, National Book Award, National Book Critics Circle Award. W 2020 roku otrzymała Literacką Nagrodę Nobla „za swój niepowtarzalny poetycki głos, który surowym pięknem czyni indywidualną egzystencję uniwersalną”.

Poezja, podobnie jak pozostała jej twórczość, jest bardzo zróżnicowana, ale można wyodrębnić kilka tematów. Głównym tematem jest trauma: pisze dużo o śmierci, odrzuceniu, braku akceptacji przez ukochane osoby, niepowodzeniach, a także o próbach samoleczenia i uzdrowienia. Innym tematem jest pragnienie uwagi drugiej osoby, zainteresowania, ciepła ludzkiego, pragnienia bycia kochaną i pożądaną. Jeszcze innym tematem jest przyroda począwszy od roślin, kwiatów poprzez zwierzęta, konie, drzewa. Jej poezja stała się znana ze szczerego wyrażania smutku i nieszczęścia izolacji. Jej wiersze można zaliczyć do tak zwanego nurtu konfesyjnego. Potrafi też korzystać z mitologii greckiej i rzymskiej, ich symbolów i metafor do pokazania bezkompromisowego życia wewnętrznego. Jej prace zostały zebrane w tomie *Poems 1962-2012*, a następnie w *Faithful and Virtuous Night* w 2014 oraz w kolekcjach esejów *Proofs and Theories* (1994) i *American Originality* (2017). To wszystko stanowi jedną ogromną poezję, na której kładzie się cień cierpienia, przemijania i śmierci.

Adam Lizakowski debiutował w czerwcu 1980 r. kilkoma wierszami na łamach warszawskiego „Tygodnika Kulturalnego”. Publikował m.in. w paryskiej „Kulturze”, w nowojorskim „Nowym Dzienniku”, w chicagowskim „Dzienniku Związkowym”. Twórczość jego była tłumaczona na języki: angielski, rosyjski, niemiecki, francuski, litewski, hebrajski, chiński, ukraiński, hiszpański i białoruski. Autor ponad tuzina tomów poezji, m.in. *Poetyckiej Trylogii Sowiogórskiej: Legenda o poszukiwaniu ojczyzny, Dzieci Gór Sowich i Pieszyckie łąki*.

Tłumacz poezji amerykańskiej m.in. Walta Whitmana, Williama C. Williamsa, Allena Ginsberga, Langstona Hughesa, Carl Sandburga, Louise Glück oraz Boba Dylana. Także z angielskiego przełożył ponad 50 wierszy chińskiego filozofa i poety Lao Tse oraz wiele wierszy perskiego poety z XII wieku Rumiego.

Studiował na Columbia College (BA) i Uniwersytecie Northwestern (MA). Przez wiele lat promotor kultury polskiej za granicą, co zostało dostrzeżone w kraju. Odznaczony przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi w popularyzowanie polskiej kultury i literatury oraz za osiągnięcia w pracy twórczej (Warszawa, 17 marca, 2020). W 2016 roku powrócił do ojczyzny na stałe, zamieszkał w malutkiej miejscowości u podnóża Wielkiej Sowy.

Z przekładów Bogusławy Sochańskiej

Janina Katz

Jestem złodziejem

Jestem złodziejem.
Ale kogo okradam?
To nie mój język.
To nie mój kraj.
Przychodzę jak złodziej
za dnia.

Nocą zachowuję się
nadzwyczaj szlachetnie.
Odwiedzam miasteczko,
w którym się nie urodziłam.
Mówię moim własnym językiem.
Rany otwierają się
i zamykają.

Budzę się bez tchu.

O moim języku ojczystym

Miałam taki sen pewnej nocy cichej
i tak samotnej, że moja krew zaczęła tężeć.
We śnie płynęłam w powietrzu.
Nie za wysoko i nie blisko ziemi.
Było tam miasto i była ulica.
Płynęłam pod prąd
bo tak było najłatwiej.
Na prawo i na lewo
żywo rozprawiając
płynęli inni ludzie.
Rozumiałam wszystko co mówili.

I obudziłam się lekka i tak szczęśliwa
że zaczęłam płakać.

Jestem zahartowana

Jestem zahartowana.
Zahartowały mnie
– to prawda –
wichury,
które mnie przewiały
i roztrzaskały
mój kraj
i mój dom.
Zahartowała mnie wiara
w bogów, złote cielęta
i innych idoli,
pocałunki matki
i wymierzane mi policzki
– jedno i drugie
zasłużone –
śmierć mężczyzny
oraz uściski wielu innych,
wieczorna bryza
z południowego morza
mojej wyobraźni,
u brzegu którego
kiedyś
się urodziłam.
Wiercie mi,
jestem zahartowana.
Naprawdę, coś na ten temat
wiem,
po tylu
kompletnych
fiaskach.

Hołd

Przyjdź mi na ratunek,
naprawdę jestem w pętli.
Nawet nie chciała ze mną rozmawiać
wróżka.
Ostatni raz, gdy spotkałam ją na ulicy,
przeraziła się
i przewrócił ją
rozbawiony rowerzysta.

Przyjdź mi na ratunek,
nie jesteśmy sobie obcy.
Gdy miałam świnkę,
stałeś przy moim łóżku,
dając tajemnicze znaki.
Na przemian otwierałeś
i zamykałeś usta,
a ku mnie płynęły
wielkie chmury dymu
pełne słów, pytańników
przecinków i średników.

Przyjdź mi na ratunek,
jestem chora na życie.
Potrzebuję morfiny.
Powiedz mi alfabet
i odyseję
o tym dziwnym człowieku,
który płynął do domu,
choć nie miał na to ochoty.

Na kocich łapach
skrada się ciemność.
Jestem twoją Penelopą,
niewierną,
ale zakochaną.
Przyjdź mi na ratunek,

mój języku,
stary przyjacielu.

Uciezka

A on biegnie i biegnie.
Czeka na niego śmierć,
lecz on nie może się zatrzymać.
Przez pola, sady
i zbyt wiele książek.
Półślepy, głośno śpiewając,
upada w trawę.
Zapach miłości,
którego nie zna.
Ręka obejmuje pracę.
Bóg tego zabrania.
Podnosi się i biegnie.
Wioska została z tyłu.
Gwiazda została w trawie.
Gdy wróci do domu,
będzie sprzedawał miód
przeczyta jeszcze wiele książek.
Ma czternaście lat.
I na karku wojnę.
I siostrę w grobie.
To wszystko, co wie.
Gdy tak wiele się dzieje,
człowiek jest oszołomiony.
Osa brzęczy tak blisko
jego ciemnej głowy.
Zatrzymaj się, na Boga!
Zamień się w jaskółkę.
Nareszcie upadł.
Osa już nie bzyczy.

Zemsta

Nic nigdy
nie było niewinne.
Drzewo strząsa z siebie jabłko.
Powietrze łapie jabłko
i kieruje je na trawę.
Jabłko trafia we mnie.
Siedzimy, bawimy się.
Jabłko rumieni się.
Toczy się dalej,
plotkuje z węzem.
Wstaję ciężko,
wyraźnie zapłodniona.
Biorę jabłko.
Gryzę je.
Ze spokojem ducha
miażdżę głowę węża.



Janina Katz
Powrót do jabłek
przeł. Bogusława Sochańska
Biblioteka Śląska 2011
Liczba stron 178
ISBN 978-83-60209-59-2

Yahya Hassan

Dzieciństwo

PIĘCIORO DZIECI W SZEREGU OJCIEC TRZYMA W RĘKU KIJ
 WIELOPŁACZ I KAŁUŻA MOCZU
 NA ZMIANĘ WYCIĄGAMY RĘCE
 ŻEBY UPRZEDZIĆ NIEPRZEWIDYWALNE
 TEN DŹWIĘK PADAJĄCYCH CIOSÓW
 SIOSTRA NERWOWO
 Z NOGI NA NOGĘ
 WODOSPAD MOCZU SPŁYWA JEJ PO UDACH
 NAJPIERW JEDNA RĘKA POTEM DRUGA
 GDY SIĘ ZDARZY PRZERWA BIJE GDZIE SIĘ DA
 CIOS KRZYK LICZBA TRZYDZIEŚCI CZTERDZIEŚCI A CZASEM PIĘĆDZIESIĄT
 I OSTATNI RAZ NA DROGĘ W DUPE
 CHWYTA BRATA ZA RAMIONA PROSTUJE MU PLECY
 I BIJE I LICZY
 PATRZĘ POD NOGI CZEKAM NA MOJĄ KOLEJ
 MATKA NA KLATCE TŁUCZE TALERZE
 AL DŻAZIRA TRANSMITUJE
 HIPERAKTYWNE BULDOŻERY ROZCZŁONKOWANE CIAŁA
 PASEK GAZY W SŁOŃCU
 PALĄ FLAGI
 GDY SYJONISTA NIE UZNA NASZEGO ISTNIENIA
 JEŚLI W OGÓLE ISTNIEJEMY
 POŁYKAJĄC W CZKAWCE STRACH I BÓL
 Z TRUDEM ŁAPIĄC ODDECH ALBO SENS
 W SZKOLE NIE WOLNO NAM MÓWIĆ PO ARABSKU
 W DOMU NIE WOLNO NAM MÓWIĆ PO DUŃSKU
 CIOS KRZYK LICZBA

Przyznanie

PIEPRZYŁEM TWOJĄ ŻONĘ
 OGRABIŁEM TWÓJ DOM Z WARTOŚCI
 W KOŁDRĘ WASZEGO SYNA OWIŃAŁEM TELEWIZOR

NIE MOGŁEM PRZEKONAĆ KUZYNA
ŻEBY ODŁOŻYŁ KOMPUTER WASZEGO DZIECKA
LAPTOP TO LAPTOP POWIEDZIAŁ
PIĘĆ STÓW WIĘCEJ NA GŁOWĘ
TWOJE GITARY WYLĄDOWAŁY U HASSANA

Złość

WYDALAM CIERNISTĄ RÓŻĘ
ODBYT KRWAWI OD SZAŁU OD ZEMSTY
ZASRANY ANTYSEMITA
WYSSAŁEM TO Z MLEKIEM OJCA
WCHŁONAŁEM Z WARKOTEM DRONÓW NAD OLIWNYM GAJEM
Z WIDOKIEM GWIAZD PASKÓW BIAŁEGO FOSFORU
I ŚCIANY PŁACZU
I TEN LAMENT TRWAJĄCY OD HOLOCAUSTU
I LAMENT PALESTYŃCZYKÓW
LAMENTUJĘ RAZEM Z NIMI

Puk puk

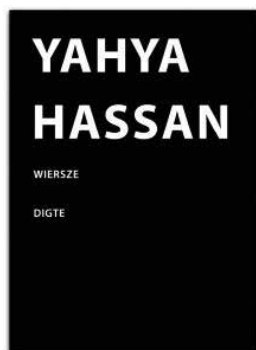
MUZUŁMANIN Z GELLERUPPARKEN
ZNAJDUJE NASZĄ KLATKĘ
CZYTA NAZWISKA NA SKRZYŃKACH POCZTOWYCH
I PUKA TAM GDZIE NAJWIĘCEJ DZIEWCZĄT
SZACUJE POTOMSTWO
CHCE MOJĄ MŁODSZĄ SIOSTRĘ NA GOSPOSIĘ I MATKĘ
[SWOICH DZIECI
CHCE JEJ STWORZYĆ RAJ W INNYM BLOKU
BĘDZIE IM PRZEWODZIŁ ALLAH I DWADZIEŚCIA LAT
RÓŻNICY WIEKU
CHCE BYĆ JEJ PIERWSZYM MĘŻCZYZNĄ W POŚLUBNĄ NOC
PIEPRZYĆ JĄ SVOIM ZAROSTEM I ZA WSZYSTKO DZIĘKOWAĆ ALLAHOWI
INNY MUZUŁMANIN Z GELLERUPPARKEN
ZNAJDUJE NASZĄ KLATKĘ
SZACUJE POTOMSTWO

CHCE MOJĄ STARSZĄ SIOSTRĘ NA GOSPOSIĘ I MATKĘ
[SWOICH DZIECI
MA GOTOWAC OBIADY I BYC MU POSŁUSZNA
I URODZIĆ DZIESIĘCIU ŻŁODZIEJASZKÓW ŻEBY MÓGŁ ICH ŁAĆ
JEŚLI OKAZĄ SIĘ NIEWIERNYMI

Dzień sądu

DZIEŃ GDY WŚRÓD LUDZI BĘDZIE
PŁACZ I ZGRZYTANIE ZĘBÓW
DZIEŃ W KTÓRYM MATKA ZAPOMNI O DZIECKU
DZIEŃ W KTÓRYM LUDZIE BĘDĄ PIJANI
CHOĆBY NIE PILI
DZIEŃ W KTÓRYM CIĘŻARNE BĘDĄ RODZIĆ PRZED CZASEM
DZIEŃ W KTÓRYM NIE-MUZUŁMANIN
ZAPRAGNIE BYC MUZUŁMANINEM
DZIEŃ W KTÓRYM SZYITA ZAPRAGNIE BYĆ SUNNITĄ
DZIEŃ W KTÓRYM WSZYSCY ZOSTANĄ UKARANI A NAJPIERW
[NIEWIERNI
DZIEŃ W KTÓRYM BĘDZIE ZA PÓŹNO
NA SKRUCHE I POWRÓT DO ISLAMU
DRODZY BRACIA I SIOSTRY
NAJPIĘKNIEJSZE OCZY TO NIE OCZY BŁĘKITNE ANI ZIELONE
NIE PIWNE ANI TE O DŁUGICH RZĘSACH
NAJPIĘKNIEJSZE OCZY TO OCZY
KTÓRE PŁACZĄ ZE STRACHU PRZED ALLAHEM
I PATRZĄ W DÓŁ

Yahya Hassan, Wiersze | Digte
przeł. Bogusława Sochańska
Seria: Europejski Poeta Wolności
Rok wydania: 2015
278 stron
format 157x215 mm
ISBN: 978-83-7453-390-4



Inger Christensen

alfabet

(fragment)

1.
antonówki istnieją, antonówki istnieją
2.
borówki istnieją; i paprocie, paprocie
i brom istnieje; i wodór, wodór
3.
Cykady istnieją; cykoria, chrom
i cytrynowce; cykady istnieją;
cykady, cedr, cyprysy, cerebellum
4.
drozdy istnieją; drozdy, lalki, marzyciele
zbrodniarze istnieją, i gołębie, gołębie;
dżdże, dioksyna i dni; istnieją
dni; dni i śmierć; i wiersze
istnieją; wiersze, dni, śmierć
5.
elegia jesieni istnieje; istnieje zaduma i
posmak; i erem istnieje; istnieją anioły
wdowy i ptaki emu; istnieją cząstki elementarne,
wspomnienie, światło wspomnień;
istnieje efekt poświęty, eukaliptus i enklawy
jałowców, egalitaryzm i samotność
istnieją, istnieje efedra i edredon,
i ocet estragonowy, i przyszłość, przyszłość
6.
fruwająca czapla istnieje, szaroniebieski
łukowaty grzbiet, czarny czub

i ogon z jasnymi piórami, istnieje; istnieje
 w koloniach; w tak zwanym Starym Świecie;
 istnieją też ryby; flądry, fregaty, fletówki;
 falowanie traw i barwy fagasów;
 istnieją figowce i produkty rozszczenia atomu;
 istnieją błędy, fatalne, powtarzane,
 i przypadkowe; istnieją flamingi i fale zdalnego
 sterowania; i fiołki, fiołki w sadzie w którym
 istnieją antonówki, antonówki,
 w krajach gdzie ciepło nasycza ich
 miąższ barwą właściwą dla antonówek

7.

granice istnieją, granice, ulice, zapomnienie,
 i grusze, ogórki, gęsi, gołębie,
 istnieje zachwyt, istnieją granice;

istnieją gałęzie i unoszący je wiatr
 i niepowtarzalny rysunek gałęzi

niepowtarzalny dla drzewa o nazwie grab
 niepowtarzalny dla akacji, brzozy i
 cedru, i rysunek ten powtórzony

istnieje na grysiku ogrodowej ścieżki; istnieje też
 gorzki płacz, gorczyca i grad,
 istnieją zakładnicy, gęgawa i młode gęgawy;

i granaty, i tajemniczy ogród,
 zarośnięty, dziki, ozdobiony tylko agrestem
 istnieją granaty; w samym środku rozświetlonego
 chemicznego getta istnieją granaty,
 staromodna, pokojowa precyzja granatów

istnieje, i istnieją płaczki, syte
 jak łakome sowy, i miejsce zbrodni;
 miejsce zbrodni, senne, zwyczajne i abstrakcyjne,
 skąpane w białawym, zapomnianym przez Boga świetle,

i ten trujący, biały, wietrzejący wiersz

8.

harmonia szeptów istnieje, harmonia szeptów,
historia, hojność żniw i kometa

Halleya; istnieją hordy, hufce wojsk
hegemoni, pieczary, a w pieczarach
półcień, w półcieniu od czasu do czasu

zające, czasem przed pieczarą harfy listowia
tam gdzie istnieją paprocie; i borówki, borówki
i od czasu do czasu zające ukryte pod listowiem

istnieją ogrody, sztuka ogrodów, blade
nieruchome kwiaty czarnego bzu jak kipiący
hymn; istnieje heban i horyzont
i cała ta heliocentryczna mgła, której się śniły
oddane mózgi, ich szczęście; hormony

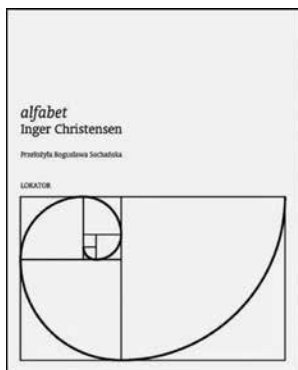
hormony istnieją i hacjendy, Hades
ponownie przyjmujący konia i psa, cienie
wspaniałości, nadzieję; istnieje histeria zemsty,
huragan pod kamiennym niebem, i białe,
jasno połyskujące, niebieskie lub zielonkawe
senne mgły hortensji, gdzieś różowe; tu i tam
istnieją sterylne grządki; i hen pod pochyłym
nieboskłonem Armagedon herbicydy
harpie helikopterów, huk nad chlebakiem pasterza
nad lnem i nad chabrami; chlebak pasterza, chabry
len, i to ostatnie hermetyczne pismo,
jakim piszą jeszcze tylko dzieci; i pszenica,
istnieje pszenica na pszenicznym polu, horyzontalna

oszałamiająca wiedza pszenicznego pola,
czas rozpadu, głód i miód; i w głębi serca,
zresztą jak zawsze tylko w głębi serca
korzenie leszczyny, leszczyny trwającej

na wzniesieniach serca, harderj i cierpliwej,
nabrzmiała codzienność chóru aniołów;
chaotyczne, hiacyntowe w swym rozpadzie życie,
jako w niebie tak i na ziemi

Za przekład prezentowanego tu poematu konceptualnego *alfabet*
Tłumaczka otrzymała w 2019 r. Nagrodę Literacką GDYNIA.
Gratulujemy!

Inger Christensen, *alfabet*
Przełożyła Bogusława Sochańska
Wydawnictwo LOKATOR
Kraków, 2018
Format 150 x 195 mm
Stron 96
ISBN 978-83-63056-48-3



NOTY

Janina Katz (1939-2013), pisarka i poetka duńska i polska. Urodziła się w Krakowie w rodzinie żydowskiej, po Marcu 1968 zamieszkała w Danii. W Polsce jak dotąd ukazały się jej cztery powieści (ostatnia w grudniu 2020), i prezentowany tu wybór wierszy z jedenastu duńskich tomików. Janina Katz tłumaczyła także na duński m.in. wiersze Różewicza, Herberta, Miłosza, Szymborskiej, Lipskiej. Była laureatką wielu duńskich nagród literackich, w 2012 r. nominowana do Nagrody Literackiej Rady Nordyckiej. W Polsce opublikowała dwa tomiki wierszy pisanych po polsku.

Yahya Hassan (1995-2020). Poeta duński urodzony w rodzinie palestyńskich emigrantów. Jako nastolatek przebywał w zamkniętych zakładach dla młodocianych przestępców. Debiutował w 2013 r. prezentowanym tu tomem wierszy, który w ciągu dwóch miesięcy sprzedano w stutysięcznym nakładzie. W 2015 r. tom ten otrzymał nominację do gdańskiej nagrody Europejski Poeta Wolności. Wydany

w 2019 r. drugi i ostatni tom wierszy Hassana nominowany był do prestiżowej Nagrody Literackiej Rady Nordyckiej. Żył zaledwie 24 lata.

Inger Christensen (1935-2009). W odczuciu tłumaczki najwybitniejsza poetka duńska. Autorka siedmiu tomów wierszy, trzech powieści, sztuk pisanych dla teatru duńskiego radia i książek dla dzieci, wybitna eseistka. Jej tom wierszy *Det* (To) oraz wianuszek sonetów *Sommerfugledalen* (Dolina motyli) są zaliczane do najwybitniejszych osiągnięć duńskiej literatury. W całej swojej twórczości ta nietypowa przedstawicielka duńskiego postmodernizmu poszukiwała odpowiedzi na pytania o miejsce człowieka w świecie, o jego relacje z przyrodą i rządzącymi światem prawami, a także, co dla niej szczególnie charakterystyczne, o rolę i znaczenie języka oraz matematyki. Inger Christensen interesowała się naukami ścisłymi, matematyce zaś przypisywała szczególną rolę: co właściwie było pierwsze, mowa czy liczba, język czy matematyka? – pyta w jednym z esejów. Pasjonująca, często zaskakująca refleksja intelektualna, wyraziste reagowanie na wydarzenia polityczne, przemiany i problemy społeczne współczesności, odważna, unikalna ekspresja poetycka i zniewalająco piękny, zmysłowy język i poetycki ton; całe to bogactwo stanowi o wielkości Inger Christensen. Jak donoszono w Danii tuż po jej śmierci, krytycy w różnych krajach wyrażali żal, że poetka nie doczekała nagrody Nobla.

Przełożyła i notami opatrzyła Bogusława Sochańska

Z przekładów Konrada Sutarskiego

Kinga Erős

Aż w końcu nic nam nie zostanie (Míg végül semmink nem marad)

Kiedy wyruszyliśmy na pogrzeb – w samochodzie nawet jeszcze żartując – wskazywałam ci drogę wśród uliczek Óbudy i w międzyczasie rozmawialiśmy sobie o naszych gęsiach, o ogrodzie. Jeszcze nawet w kostnicy myślałam o cebulkach roślinnych: czy wypuszczą kielki? Czy będziemy mieli narcyzy, tulipany, czosnki ozdobne? Piaskownicę na podwórzu? Ławkę ogrodową? Dopiero kiedy otwarto na oścież odrzwia kostnicy i w tych to sekundach, kiedy obserwowałam taniec ziarenek pyłu w promieniach obejmującej nas nagle jasności, zorientowałam się co było przyczyną naszych niepokojów, których nie są w stanie usunąć ani dziurawiec, ani żadne uściski: że w końcu nic nam nie zostanie. Jakkolwiek słońce wszędzie i jutro, udzielając ożywczego ciepła dobrym i złym, jednak wszystkie nasze starania i czyny, będąc zakorzenione w dniu wczorajszym, mogą wypuścić pąki, liście, dać owoce i uschnąć jedynie w dniu dzisiejszym. Dzień następny dziać się będzie już bez nas, i to nawet wtedy, gdy potrafimy przycząć się w komórkach naszych wnuków.

Drzewo orzechowe (A diófa)

Zasadziliśmy drzewo orzechowe. Wątle, cienkie to drzewko, ale już sterczy tutaj, na środku podwórza. Jak się zestarzejemy, będzie wielkie. W jego cieniu będę mogła położyć się na upragnionym leżaku, przykryć się kocem w kratkę i drzemać sobie do woli, dzisiejsze dni wspominając, kiedy z łopatą w ręku pytałeś: czy tutaj dobrze będzie? Zastanawialiśmy się, gdzie masz owo drzewko orzechowe zasadzić i wreszcie wybraliśmy środek podwórza. Cień orzecha będzie osiadał mi na twarzy, pieszcząc łagodnie sny. Później pewnie i leżak się zestarzeje, koc wypłowieje, a i sny scodziennieją i żyć będę wśród nich już nie jako gość, ale w obrębie zwykłej rzeczywistości. Zdrzemnę się pod drzewem już spokojnie, a jego cień sny przykryje. Wtedy to nachylisz się, by szepnąć mi do ucha, że na jednej z gałęzi huśta się trznadel.

Złuda wolności (A szabadság szemfényvesztése)

Ponownie leżę na górnym łóżku wagonu sypialnego, tuż przy ścianie, w obawie przed nagłym hamowaniem pociągu. Dziwny półsen ciąży mi na powiekach, odrętwia cielesne zmęczenie, a jednak monotonny stukot kół pociągu głębokiego snu nie przynosi. Wstałabym i wyjrzała przez okno, jak wtedy, gdy jadąc w przeciwną stronę, gdzieś nad ranem, kiedy podróżne podniecenie nie pozwalało mi usnąć, zsunęłam się do ciebie na dolne łóżko, i kucając u twoich nóg, patrzyłam przez okno, obserwując, jak w bieli przykrytego śniegiem krajobrazu zanikają powolne plamy nocy. Odnosiłam wrażenie, że świerki znajdują się w odległości wyciągniętego ramienia, szyny las przecinają, a jakiś olbrzymi sopel lodowy zawisa nad urwiskiem tuż obok kolejowego nasypu, potem drzewa oddalały się, a w bieli majaczyły kopce słomy o kształcie układanych ręcznie gruszek, jak na obrazach malarzy z Nagybányai. W oddali pojawiło się kilka chałup, wiejska uliczka w nikłym oświetleniu... Nie możesz spać, Kotku? – zapytałeś i podniosłeś się na łóżku, gramoląc się za moimi plecami. Długo patrzyliśmy tak na przesuwające się krajobrazy, w milczeniu, jak ci, co wybierają się w wielką podróż, wiedząc, że wkrótce dotrą do celu.

Podniosłabym się i wyjrzała przez okno, lecz ciepło niewygodnego łóżka mimo wszystko bardziej przyciągało mnie, aniżeli widok niziny o świcie. Trzeba chyba urodzić się gdzieś w takiej okolicy, aby jej jednostajność mogła stać się emocjonująca. Acz jedna z moich przyjaciółek jest właśnie takim krajobrazem zauroczona i nie rozumie mojej obojętności. Czuje się cudownie, kiedy wzrokiem może ogarniać nieskończoność, podczas gdy cisza potęguje doskonale wykrystalizowany porządek wspólnoty ziemi, nieba i człowieka. Tam znalazła swoje miejsce w przygniatającej harmonii. Odwracam się ku ścianie i wyobrażam sobie, że łoskot pociągu wreszcie mnie uspi. Słyszę, jak sapiesz na dolnym łóżku, gdybym wsunęła się tam obok ciebie, napewno orzeźwiłoby cię ciepło mojego ciała, ale łóżko jest za wąskie, a i ciebie nie chcę rozbudzać. Przynajmniej ty pozostawaj jeszcze we śnie średniowiecznym panem odległej siedmiogrodzkiej warowni, w stronach, z których właśnie wracamy, gdzie świerki uporczywie czepiają się górskich stoków i choć kłonią się pokrytymi śniegiem gałęziami, trzaskają przy tym nieraz pod tym ciężarem, to wieńczące je cukrzane baranice są wesołe i szelmowskie. Niedźwiedzi tam nie widzieliśmy, jedynie wiewiórkę, długo mogliśmy jednak przyglądać się wśród drzew jej skokom, podczas gdy ująłeś mnie za rękę i przycisnąłeś do siebie. Patrzyłam na to małe zwierzątko i całą sobą zazdrościłam jej, wszak jakże dobrze byłoby potarzać się po śniegu, nie myśląc o tym, że ubrania nam przemienią i zagniemy potem marznąć. Wielkie miasto przemieniło nas tak niemilosiernie, podporządkowując rozumnej wygodzie także pragnienia i pozabawiając nas nawet złudy wolności. Pozostaje wyłącznie możliwość powrotu

do domu, za dwie i pół godziny dojedziemy do Dworca Keleti. W gęsim porządku wysiadziemy z pociągu, ktoś popchnie mnie swoim bagażem, tłum uniesie nas ku wyjściu, podczas gdy megafon nieprzerwanie będzie ogłaszać czas przyjazdów i odjazdów pociągów, a tłuste gołębie dworcowe pchać się będą w pobliże bufetów – człowiek kopnąłby je najchętniej, bo one całą swoją istotą noszą w sobie owo zniekształcenie, którego na co dzień nawet nie dostrzegamy, jedynie wtedy, gdy powracamy z siedmiogrodzkich kresów – jakiś chłopak z plecakiem przebiegnie, człowiek z głową jak placek powtarzać będzie falsetem: taksówka, taksówka, a my akurat w tym czasie znajdziemy się pomiędzy kantorem a straganem księgarskim, wyjdziemy na ulicę, zapalimy papierosy i pospieszymy w kierunku przystanku autobusowego. Bez słowa stąpać będziemy obok siebie, niedopałki rzucimy na ziemię i wsiadziemy do warczącego już autobusu, do dwudziestki. Nasze sny zatrzymają się gdzieś za Przełęczą Królewską, w pobliżu Kolozsváru, a ich rzeczywistość małeć będzie na każdym kolejnym przystanku autobusowym, bo pęd wsiadających i wysiadających pasażerów wyobraźnię wywieje.

Teraz posapujesz jeszcze na dolnym łóżku, nie widzę cię, ale czuję, że śpisz snem głębokim, i tego snu ci zazdroszczę, bo ty jeszcze możesz być panem warowni tam na siedmiogrodzkich kresach, być może właśnie galopujesz na koniu, pies wacha śnieg w podnieceniu i jeszcze nie przeczuwasz, że za nagimi skałami ryś czai się po to, ażebyś kiedyś, kiedy sam będziesz iść znów tym lasem, przypadkiem na niego się natknął.

NOTA. Wiadomości z Węgier

Kilka lat temu, po latach przerwy, ponownie ruszyła współpraca Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz Związku Pisarzy Węgierskich (największego spośród organizacji literackich na Węgrzech). Nastąpiła wymiana pisarzy, spotkania autorskie w Polsce i na Węgrzech, prezentacja tekstów w obydwu krajach. Obecnie znów powstał zastój, ze względu na szerzącą się pandemię.

Z najważniejszych wiadomości podaję, iż w roku ubiegłym (2019) nastąpiła zmiana prezesa tego związku. W miejsce poety Jánosa Szentmártoniego prezesem została **Kinga Erős** (ur. w 1967 r. w mieście Brassó, w Siedmiogrodzie – Rumunia). Jest krytykiem literackim, redaktorem pism kulturalnych oraz dyrektorem wydawnictwa książkowego Orpheusz, autorem siedmiu książek, laureatem najwyższej na Węgrzech nagrody literackiej im. Józsefa Attili. Zanim została prezesem ZPW, była sekretarzem generalnym tej organizacji.

*Z języka węgierskiego przełożył i notą opatrzył
Konrad Sutarski*

Z przekładów Kazimierza Świągockiego

Nowiełła Matwiejewa

Stateczek

Żył okręciak wesoły i kształtny
nad falami jak sokół szybował,
mówią o nim: sam siebie zbudował,
sam zmajstrował i żagle, i maszty.

Sam dębowe wziął bale
i nasączył je smołą,
sam się okuł metalem
i popłynął wesoło,
i popłynął odważnie w rejs.

Sam był sobie pilotem,
marynarzem, bosmanem,
władcą fal – kapitanem –
na błękitnych równinach mórz.

Szedł stateczek, szedł, szumiał żaglami
i niczego się wokoło nie bał.
A w podziwiewie nad nim aż wulkany
brwi błękitne marszczyły pod niebem.

Szedł stateczek po spokojnych morzach,
stroił miny wszystkim morskim carom,
zapisywał, gdzie skała, gdzie zorza,
gdzie kraj jaki, czy wszystko w porządku.
Wszystko sprawdzał swoją własną miarą,
po swojemu liczył od początku.

I co najmniej sto razy na dobę
spotykały go inne stateczki;
jak to statki – pogwarzają chwileczkę

i znów płyną – każdy w swoją stronę.

Szedł stateczek – marzyciel-fantasta –
co zobaczył, to pisał na masztach.
I sam z tego snuł wnioski,
kiedy fale go niosły
w niezmierzony zamorski rejs.

Sam był sobie bosmanem,
sternikiem, kapitanem –
według wiatrów żeglował i gwiazd.

Wiatr

O, jaki wielki wicher
na naszą wyspę przyszedł.
Z domków nam zdmuchnął dachy
jak z mleczów biały puch.

Jeślibyś gwóźdź do domu
przyłożył ostrym końcem,
to wiatr go wbije w ścianę
jak młotkiem – jeszcze mocniej.

rozzucił grządki w sadzie,
aż korzeń osobliwy
jak gad z ziemi wyłazi
i wypełznąwszy bokiem
do sąsiedniego sadu,
znów w glebę się zanurzył
i zniknął w niej bez śladu.

Tymczasem wiatr na morze
dwadzieścia uniósł szalup.
Rybakom coraz gorzej
żar w cybuchach rozpalać.

A rozpalić je trzeba –
więc tak schwyć iskrę w wietrze,
jak wzrokiem chwytasz w niebie
ptaka tnącego powietrze.

O, jaki wielki wicher,
jaki ogromny wiatr,
a tyś jest w izbie cichej
i tkliwie patrzysz na świat.

I nikt cię żadną siłą
już nie wyciągnie stąd.
To chyba prędzej Neptun
opuści własny tron.

O, jaki wielki wicher
na naszą wyspę przyszedł.
Zdmuchnął nam z domów dachy
jak z mleczów biały puch.

O, jaki wicher wielki
na naszą wyspę wpadł.
Połamał strop i belki,
i zrzucił z nieba grad.

Jeślibyś gwóźdź do domu
przyłożył ostrym końcem,
to wiatr go wbije w ścianę
jak młotkiem – jeszcze mocniej.

Z języka rosyjskiego przełożył Kazimierz Świgocki

NOTA

Nowiełła Nikołajewna Matwiejewa (ur. 7 października 1934 w Dietskim Siole w obwodzie leningradzkim, zm. 4 września 2016 w obwodzie moskiewskim) znana rosyjska pieśniarka, pisarka, poetka, scenarzystka, autorka sztuk teatralnych, literaturoznawczyni. Pochodziła z rodziny inteligenckiej. Jej dziadek Nikołaj Pietrowicz Matwiejew-Amurski (1866-1941) był poetą, a także pisarzem i wydawcą, autorem *Krótkiego historycznego zarysu Władywostoku* (1910). Ojciec Nikołaj Nikołajewicz Matwiejew-Bodry (1890-1979) był geografem i historykiem, członkiem Wszechzwiązkowego Towarzystwa Geograficznego, specjalizował się w badaniach etnograficznych Dalekiego Wschodu. Matka Nadieżda Timofiejewa Matwiejewa-Orleniewa była poetką. Nowiełła Matwiejewa wydała kilkanaście książek poetyckich oraz zbiorów tekstów pieśni i piosenek. W 1998 r. została uhonorowana Nagrodą Puszkina, a w 2002 za tomik poezji *Żasmin* otrzymała Państwową Nagrodę Federacji Rosyjskiej w dziedzinie literatury i sztuki. (Źródło: Wikipedia)

Z przekładów Agnieszki Syskiej

Stary Testament

(Wybrane psalmy Dawida i Salomona)

Psalmy Dawida

Psalm 24

Psalm Dawida. Wejście Pana do Świątyni.

24, 1 Ziemia Pana,
kim i czym Ją napełnił, Pana

24, 2 Na morzach
i między rzekami wzniosł, Ją

24, 3 Kogo na Odwiecznej Górze Swojej postawił, kogo umocnił na Niej

24, 4 Serce i ręce czyste dał Jego,
a Ten rozlał je,
prawdy Syn.

24, 5 Błogosławiony,
odda mu Pan i Bóg Jego.

24, 6 Syn narodu, który Go szuka,
wypatruje Twarzy Jego, Pan i Bóg Jakuba!

24, 7 Bramo odwieczna, otwórz się,
na szczyty wznies się,
wchodzi Chwały Król.

24, 8 «Który Chwały Królem?»
Bóg mocny i silny,
«Pan Zwycięski w walce».

24, 9 Bramy otwórzcie się,
na szczyty wzniescie się,
wchodzi Król Chwały.

24, 10 «Który Chwały Królem?»
«Pan Mocy i Zwierzchności: Bóg sam Królem Chwały».

Psalm 24

Psalm Dawida. Pan wchodzi do Świątyni.

24, 1 Ziemia Pana,
kto i co Ją napęlnia, Pana jest

24, 2 Na morzach
i między rzekami buduje Ją

24, 3 Kogo na Odwiecznej Górze Swojej postawi, kogo na Niej zbuduje

24, 4 Człowieka serca i rąk dziewiczych,
który duszę przed Nim wyleje,
prawdy Syna.

24, 5 Między świętymi Świętego,
odda mu Pan i Bóg Jego.

24, 6 Syn narodu, który szuka Go,
podobny Jego Twarzy, Pan i Bóg Jakuba!

24, 7 Bramo odwieczna otwórz się,
na szczyty wznies się,
wchodzi Chwały Król.

24, 8 «Który Chwały Królem?»
Bóg mocny i silny,
Pan Zwycięski w walce.

24, 9 Bramy, otwórzcie się,
na szczyty wzniescie się,

wchodzi Król Chwały.

24, 10 «Który Chwały Królem?»

«Pan Mocy i Zwierzchności: Bóg sam Królem Chwały jest».

Psalm 24

Psalm syna Dawida. Pan w Świątyni.

Panu przynależą, ziemia, całe tchnienie żywe Jego, świat i każdy
[człowiek.

Na sobie wszystko utwierdził, na morzach, na rzekach.

Kto wejdzie na Górę Jego,
kto stanie, gdzie On sam stoi?

Człowiek. Ręce jego i serce czyste,
i patrzy dusza człowieka na dobro Jego.
Czysty jest jak prawda.

Ten godny Świętego Pana i Świętego
Świętych, wynagrodzi go Bóg Zwycięski.

Ten jest z narodu, który chce być jak On,
twarzą Twarzy Pana Boga, Jakubem on.
Bramy, kiedy się podniesiecie,
wstawanie wasze odwieczne,
Król Chwały waszej wchodzi.

«Kto Nim jest? »
«Pan. Ramię i Ręka,
Pan niezwyciężony».

Bramy, podnieście się,
wstawajcie odwieczne,
Król Chwały waszej wchodzi.
«Kto Nim jest?»

«To On. Pan i Bóg Stworzonych: On sam Królem Chwały».

Psalm 24

24, 1 Pana jest Ziemia, wszechświat, tchnie, owoc Jej

24, 2 Ponad morzami, między rzekami stoi.

24, 3 Kto się na Górze Jego ostoi? Gdzie On stał, stanie?

24, 4 Ręka czysta i serce wolne, to z Niego. Dusza Prawdy.

24, 5 Kto się przed Błogosławionym ostoi? Nagrodzony.

24, 6 Który na straży twarzy Jego stoi. Jakub?

24, 7 Bramo, o spójrz, podnieście głowy bramy przedwieków! Królowi
[czci cześć i chwała. Bo wchodzi!]

24, 8 Kto równy Jemu, Synowi zwycięstwa Przedwiecznego.
[Kto Niepokonany.

24, 9 Bramo, o, spójrz, podnieście głowy bramy przedwieków! Królowi
[czci cześć i chwała. Bo wchodzi!]

24, 10 Kto równy Jemu, Synowi zwycięstwa po wiek wieków.
[Kto Niepokonany.

Psalm 121

Psalm, co się wspina.

121, 2 Patrzysz na góry, z gór pomoc.

121, 3 Pomoc Pana, z Jego Ziemi, z Jego Nieba.

121, 4 Ostrzega twoje nogi, sen daje. Sen daje, Dobry jest.

121, 5 Snu nie potrzebuje, tobie daje, Izraelu, Dobry jest.

121, 6 Strzeże cię, tobie daje swoją prawicę.

121, 7 Strzegą cię, tobie daje swoje słońce, swój księżyc.

121, 8 Zachował cię od zła wszelkiego, uchował duszę.

121, 9 Wierność wydłużył, teraz na wieki wieków.

Psalm 121

Psalm, co wstąpił.

121, 1 Patrzę na mnie góry, góry na mnie zstępują.

121, 2 Ojciec, co stworzył Niebo i Ziemię.

121, 3 Gdy zasypiam, nogi moje trzyma. To On nie śpi, Ojciec na straży.

121, 4 To On nie zaśnie, nie zmruży oka, strażnik Izraela.

121, 5 To On nocną, dzienną strażą, czuwa, nie ma anioła nad Ojca.

121, 6 Ojciec moją strażą, noc w noc, dzień w dzień przy mnie.

121, 7 Słońce i księżyc Jego, noc, dzień, aniołami Ojca.

121, 8 Ustrzegą ciało moje, duszę moją.

121, 9 Przechował mnie Bóg w sobie, w Nim teraz i na wieki.

Psalm 121

Psalm wstępowania.

Dostępowanie Pana. Nowy Górny Syjon.

121, 1 Oczy na góry otwieram, z gór ramię.

121, 2 Ramię Stwórcy nowej ziemi, nowego nieba.

121, 3 Nogi podtrzymuje, gdy śpię. Nie drzemie, nie śpi, Opiekun mój.

121, 4 Nie drzemie, nie śpi, Opiekun Izraela.

121, 5 Prawica Jego działem prawego.

121, 6 Słońce, księżyc strażami prawego.

121, 7 Bez skazy mnie zachował, duszę Jego.

121, 8 Czuwa nad moim wyjściem i powrotem, teraz, na zawsze.

Psalm Salomona

Psalm 2

2, 1 Buntują się synowie. Owoce buntu synów i narodów zepsute.

2, 2 Przeżarte.

Synowie pierwszego i drugiego wybrania grożą Synowi Ojca i Ojcu.

2, 3 Zamknijmy na nich oczy.

Siebie Synowi Ojca i Ojcu zwróćmy. Zamilknijmy.

Zamknijmy na nich uszy.

2, 4 Oddajmy ich Ojcu. Na śmiech albo na płacz ich skaże. Odda im z nieba.

2, 5 Gdy krzyknie: „Wybrałem Syna Mojego. Sam Go zrodziłem.

[Na Syjonie,

Świętej Mojej Górze postawiłem.

2, 6 Pana synów pierwszych i drugich. Ziemi bliskiej i ziem najdalszych.

2, 7 Oddaję Mu synów wszystkich.
Mowie Jego, biczowi żelaznemu.
Glinie Jego, naczyniom garncarskim”.

2, 8 Synowie wszyscy.
On jest nad wami.
Syn Mój.

2, 9 Zrozumcie.
Spokorniejcie. Pohamujcie złość waszą.
Sędziowie ziemi.

2, 10 Wyrok zapadł nad wami.
Sądu Jedyne.
Wyrok nad prawymi i nieprawymi.

2, 11 Radujcie się Panem.
Wykonawcą wyroków Moich. Gniew Mój powstrzymujcie.
Wielbijcie Pana.

2, 12 Błogosławieństwo nad Drogą Pana.
Podążają Nią synowie Jego.
Drogą Ojca.

Przekład z hebrajskiego – Agnieszka Syska

Z przekładów Grzegorza Walczaka

Miodrag Jaksić

Z tomu *Jedna od drugiej*

Kurz (Prasine)

Zostaje kurz po miłości,
zawsze.
I gdzieś się unosi wiecznie.
Nie może się nagle rozpuścić.
Znajdzie nas jeszcze.

Miłość próbuje odejść
niby.
Umknie, habitem się posłuży,
rozpruje piersi, serce wytnie,
aż za nią się zakurzy.

Masz prawo nie kochać,
kaprysić,
ode mnie stronić...
możesz swobodnie wybierać,
innego mieć,
więcej do mnie nie dzwonić.

Jakkolwiek chciałabyś zbiec,
odnaleźć wyjście, zapomnieć,
będzie cię kurz zasypywać.
Choć tyle zostanie ci po mnie.

I to już wkrótce (Bas, blizu)

Znowu nam świat rozkwitnie
w kolorach szczęścia.

I to już wkrótce.
 Kiedy się nauczę stroić instrument, wyłącznie na słuch,
 kiedy powietrze zacznę jeść, zamiast chleba
 i żyć z aplauzu, nie z pieniędzy,
 kiedy usprawnię znów mały palec u lewej ręki,
 kiedy Francuzi przestaną się napalać na film
 Saszy Petrovicia „Wkrótce będzie koniec świata”,
 kiedy się nauczę katalońskiego,
 gdy z Madonną zanocuję,
 a myśl moja będzie skoncentrowana na stałości zamierzeń,
 kiedy w nożną będziemy grać kostką
 i dzieci – gdy przyjdzie na to czas – będą przynosiły bociany,
 wtedy, widzisz, jak się te wszystkie drobiazgi złożą,
 będziemy razem, moja droga,
 i to już wkrótce...
 na wyciągnięcie ręki.
 Nieuchwytnie.

Udoskonalanie (Usavrsavanje)

Wąskimi
 drewnianymi schodami
 wspinała się
 na szóste piętro
 do swojej
 wynajętej garsoniery
 w starym budynku
 elitarniej dzielnicy
 belgradzkiego
 historycznego centrum.

Za chwilę,
 za kilka kroków,
 ponownie,
 w momencie,
 kiedy będzie zapalać światło,
 zrozumie,

że nie ma nikogo
w tych 28
kwadratowych metrach,
z kim by się mogła
podzielić szczęściem
z odniesionego sukcesu
w dniu,
w którym,
mając dopiero
30 lat,
została dyrektorką szkoły,
gdzie była dotąd
tylko nauczycielką.
Od jutra,
wraz z małą podwyżką
zdobędzie wielką liczbę
nieprzyjaciół
i przeciwników,
których będzie pokonywać
cierpliwością
– podobnie jak dotychczas –
i miłością,
wplecioną w profesję i pracę,
doskonaląc ich,
z głęboką wiarą,
że istnieje życie
bez konfliktu,
właśnie tak, jak
udoskonaliła
swoją
małą garsonierę
i nikogo w niej.

Pożegnanie (Oprostanje)

Na pożegnalnym papierze
litery są lodowate,

słowa wodniste,
 zdania żelazne.
 Wszystko to się jakoś po raz pierwszy zgadza
 i w spojrzeniu,
 i w czytaniu,
 i w marzeniu.
 Jest na miejscu, człowieczym wierszem wywiedzione,
 nie jest zajęte
 nie zamknięte,
 nie zabronione.
 Jakby żywe było.
 A o śmierci mowa.

Z tomu *Wiosna, rozmowy z żoną*

Znowu zaczyna się wiosna (Ponovo pocinje proleće)

Znowu zaczyna się wiosna.
 Zmienisz perfumy i wyjedziesz do Lizbony albo do Sztambułu,
 oczekując, że po tobie spadnie złoty deszcz.
 Dopadną cię nowe nadzieje i nowe wrażenia,
 od nowa zaczniesz wierzyć w wiersze Baudelaire'a
 i w jego miłość z Mulatką Jeanne Duval.
 Odrzucisz obyczaj rytualnej kawy.
 Staniesz się bardziej śmiała w swych rozrachunkach z własnymi
 [przesądami.
 Odnowisz członkostwo u mistrza jogi,
 i przekonana, że ubranie krępuje spotkanie z sobą samą,
 będziesz ćwiczyć jogę zupełnie naga.
 Nie zapalając się przesadnie, wykorzystasz to do...
 Potrzebny ci partner czy też nie? Rozmyślać będziesz o piercingu na
 [genitaliach.
 W wolnych chwilach prześpisz się z wieloma facetami,
 żeby zrozumieć, czego pragniesz i czego ci potrzeba.
 A przyczyn tajemnicy związku znów nie zechcesz poznać.
 Nie zechcesz tweetować. Będziesz kochać siebie.
 Nie będziesz się uchylać od pocucia szczęścia. Będziesz kochać siebie.

W snach będziesz umierać, pozostając przy życiu, aby kochać siebie.
 Żeby sobie polepszyć nastrój, kupować sobie będziesz najzwyklejsze
 [drobiazgi.

Bez wiary w tego, który ci proponuje przemianę w twym ciecie,
 będziesz nosić jeszcze krótsze sukienki,
 szydząc sobie z glonojadów – miłośniczek implantomanii,
 będziesz robić albumy, fotografując samą siebie.
 Znowu zaczyna się wiosna.
 Spróbujże raz czegoś nowego.

Upadki i wzloty (Razaranja i uzdignuća)

Poprawisz szminkę chwilę po tym, jak ten różowy karmin pożre
 jego pożądanie.
 Toaleta słynnej stołecznej kawiarni stała się gorącą sceną twojej
 nowej miłości.
 Po tylu latach małżeństwa pojawia się nadzieja, że życie jest nawet
 możliwe.
 Następuje okres samookaleczeń.
 Miętoszenie się z nieznanym.
 Barany się boją zostać same.
 Zatem krążysz i szukasz...
 Na wewnętrznym dziedzińcu przy Jevromovej, w mistycznym
 półmroku, cztery kurwy na barowych stołkach i naród,
 co się wokół nich ciśnie, zamawiając prawdziwą. Na boga,
 chcesz, żeby ciebie dostrzegli!?
 Zamiast nawyku popołudniowej drzemki i ulubionego
 owocu jagody,
 ciągniesz diabła za ogon. Czekasz na pozwolenie na grzech. Przemierzasz
 [wejście do Hadesu.
 Dorćol* pamięta wszystkie okresy tego miasta.
 Upadki i wzloty.
 Tutaj dowcip na jakiś temat, to zwykle tylko replika
 anegdotki z przeszłości.
 Tu wszystko zostało opowiedziane i wszelkie odczucia są też
 [powtórzeniem.
 Są tutejsze.
 Wspomnienia zwykle zabijają.

Chciałbym cię śnić na jawie
 i śpiewać ci, jak pijany,
 o tym, co było...
 co mogło być między nami.
 Oderwałbym kawałek nieba
 i tobie dał,
 i w końcu bym ci powiedział,
 czego najbardziej bym chciał.
 Ty wiesz, że mam to gdzieś,
 jaki dziś miesiąc i rok,
 i nawet w którym z miast
 mieszkam wciąż
 zakochany... w nas.

NOTA

Miodrag Jaksić, ur. 1969 r. w Belgradzie. Twórca i redaktor naczelny Grupy artystycznej ARTE, skupiającej ponad 300 artystów z całego świata, prowadzi międzynarodowe obozy artystyczne w Krčedinie. Dyrektor Belgradzkiego Festiwalu KANTFEST i Międzynarodowego Literackiego Festiwalu „Indijja Pro Poet”, autor ponad 200 projektów architektonicznych, 20 książek, reprezentowany w antologiach i podręcznikach, tłumaczony na wiele języków, wydawca, dziennikarz, reportażysta, felietonista w czasopismach krajowych i zagranicznych. Prowadził autorskie emisje radiowe i telewizyjne. Były wiceminister w rządzie Serbii i poseł na sejm, członek Zarządu Stowarzyszenia Literatów Serbii, Związku Kompozytorów, Niezależnego Stowarzyszenia Dziennikarzy Serbii i fanklubu tenisistki Marii Szarapowej.

Radomir Andrić, pisarz, prezes Stowarzyszenia Literatów Serbii odnotował w 2014 r.: „Jaksić jest u nas liderem nowej fali miejskich poetów, wywodzi się z tradycji rock and rolla, ale wyrósł z najwartościowszych podstaw poetyckich wartości tradycyjnej serbskiej poezji, którą tworzyli jego rodacy: Djura Jaksić, Laza Kostić, DIS, ale też Branko Miljković, Vitezović, Bora Djordjević, Bajagić... Jego wiersze precyzyjnie odczytują nasze codzienne niedoskonałości, słabości, zalety, uniesienia... Jest on poetą nadziei, poetą miłości i bólu w miłości”. Jelena M. Ćirić, pisarka z Pragi, pisała: „Micia (Miodrag) tworzy inspirowany kontaktami z ludźmi, milczeniem z kobietami, flirtowaniem z miastami, adrenaliną podczas meczów, energią na koncertach, spotkaniami z przyjaciółmi. Z nieskończonego zbioru słów wysupłuje te, które każdy z nas ma na końcu języka, a których nikt sobie na czas nie uprzytamnia. I mimo wszechogarniającej prostoty, istnieje sporo warstw, by każde kolejne odczytanie było zajmujące i odmienne”.

Przełożył i notą opatrzył Grzegorz Walczak

Teresa Bochwic

BRYLANT

opowiadania prawdziwe



Seria: Kolekcja Literacka – Tom I**Teresa Bochwic – Brylant**

Autor: Teresa Bochwic

Tytuł: Brylant

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa
i Instytut Literatury

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: listopad 2020

nr wydania: I

liczba stron: 192

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-66359-89-5 oraz 978-83-938439-4-7

copyright: Teresa Bochwic

cena: 30,00 zł

Ilustracje: Joanna Sendłak

Redakcja tomu: Zbigniew Zbikowski

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce

Opowiadania Teresy Bochwic dotyczą różnych okresów PRL – lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, okresu pierwszej Solidarności i Polski tuż po transformacji ustrojowej. Użyte w podtytule określenie „opowiadania prawdziwe” można by opatrzyć przysłówkiem – boleśnie prawdziwe. Prawdziwy jest nastrój, trafne są obserwacje obyczajowe. Czasami autorka sięga po wątki autobiograficzne. Książka odsłania sprawę z przeszłości, które nie zostały jeszcze dobrze opisane.

Anna Nasiłowska

Mało mamy literatury, która ułatwia rozumienie PRL-u, komuny i wczesnej postkomuny, czasów osobom młodym już nieznanym. A jest niesłychanie potrzebna, inaczej nie będziemy pojmowali tego, co się dzieje teraz i co się stanie wkrótce. Proza Teresy Bochwic, bezpretensjonalna, naturalna, pisana żywo, z tym koniecznym uszczypliwym brzmieniem niemal każdego zdania, wypełnia tę lukę, doskonale odtwarzając klimaty tamtych lat. Przypomina ówczesne problemy, sposób myślenia ludzi, którzy na komunizm dali się nabierać, ale i tych, którzy się nań nie godzili. Niezapomniane sceny, sylwetki ludzi, uwagi, słówka. W czasie lektury tych opowiadań, choć większość to fikcja literacka, chce się co chwila mówić: „Tak było!”.

Piotr Müldner-Nieckowski

O autorce

Teresa Bochwic – działaczka opozycji politycznej w PRL, dziennikarka, publicystka, nauczyciel akademicki. Ukończyła filozofię na UW (1971), doktor nauk humanistycznych w zakresie pedagogiki (2007), pracowała w Kancelarii Prezydenta Lecha Wałęsy (1991) i w Kancelarii Premiera Jerzego Buzka (1998-1999). W 2016 powołana przez Senat RP na członka Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

Członkini Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Stowarzyszenia Polska Jest Najważniejsza.

Autorka książek: *Walka „Solidarności” o społeczny kształt oświaty w Polsce* (1986), *Sama z dziećmi* (1994), *Narodziny i działalność Solidarności Oświaty i Wychowania 1980-1989* (2000), *III Rzeczpospolita w odcinkach. Kalendarium 1989-2004* (2005).

Wydała wspomnienia swojej matki, Anny Rudzińskiej, *O moją Polskę* (2003 i 2011).

Świniak

(fragment opowiadania)

Obok Pawła szła wysoka, ładna nauczycielka w sukni z cienkiej, tandetnej welenki, takiej samej, jaką miała żona Pawła. Podał jej tacę z chlebem i solą.

Zapytał o dziwny wygląd chłopca, który witał ich na progu. Wychowawczyni zawołała chłopaka, a kiedy przybiegł, złapała go mocno za ucho i wykręciła je.

– Przybiega się od razu na wołanie, urwiesz, wychowaj się wreszcie! Pan się tobą interesuje, pan z Warszawy! Nie widzisz, no, przedstaw się ładnie panu dyrektorowi!

– Nie jestem dyrektorem – powiedział szybko Paweł. Chłopiec wymienił swoje imię i nazwisko. Nauczycielka puściła jego ucho i podała mu tacę z chlebem i solą. Posłusznie siedł dalej obok. Zwróciła się do Pawła.

– Pewnie chodzi panu o te jego oczy? – Nie zwracała uwagi na to, że chłopiec idzie obok, jakby nie słyszał, że to o nim mowa. – No cóż, to są tak zwane sieroce oczy. Takie... puste, prawda?

– On... nie ma rodziców? – zapytał Paweł z wahaniem.

– No, mieć to ma, jak prawie wszystkie dzieci tutaj. Teraz już nie ma sierot – zaśmiała się. – Ludzie nie umierają tak jak dawniej. Teraz im się dzieci nudzą, to i podrzucają nam te jaja. Ile u nas jest sierot? – zwróciła się do chłopca.

– No, Janek, Malczycki, Właś... – wyliczał.

– Tak, parę sztuk, nie więcej niż dziesięciuro. I to przeważnie z tych starszych. No, powiedz panu, ile ty masz lat.

– Piętnaście – odburknął chłopiec.

– A kim chcesz zostać? – Paweł miał nadzieję, że chłopiec powie „kosmonautą” czy czymś w tym rodzaju, że te dzieci mają jakieś marzenia.

– Milicjantem. – Chłopiec uśmiechnął się szeroko i po raz pierwszy jego oczy nabrały wyrazu.

– Dlaczego? – zdziwił się Paweł. – Lubisz pilnować innych?

– Nie o to chodzi – odrzekł chłopiec. – Po piętnastu latach pracy można przejść na emeryturę. Stuprocentową.

W dużym chłodnym pokoju siedziało na podłodze ze trzydziścioro paroletnich dzieci ubranych po niemowlęcemu. Wszystkie rytmicznie kiwały się w przód i w tył. Na widok wchodzących jak na komendę zaczęły wszystkie wołać:

– Mama! Mama! Zabierz!

– Dlaczego tak się kiwają? – zapytał Paweł wychowawczynię.

– Och, to? To po prostu choroba sieroca – odrzekła.

Paweł zauważył w pobliżu dyrektora Wrzaska. Ten wykazywał rosnące zniecierpliwienie. Dyrektor obiektu usiłował go zainteresować poszczególnymi salami, jakimiś pracami wychowanków, mówił coś o konieczności wymiany rur, ale w końcu zauważył, że naraża się tym zwierzchnikowi i dał za wygraną.

Zaprowadzili goście do dużej świetlicy. Wszyscy zaczęli siadać, ale Wrzask powstrzymał ich gestem:

– Nie rozsiadać mi się! Zaraz odjeżdżamy!

Nauczycielki zerwały się jak oparzone z krzeseł, stłoczyły się przy drzwiach. Gruby usiadł za stołem i sapnął w stronę Wrzaska, który także usiadł:

– No i jak, panie dyrektorze?

– Dostaniecie dwieście tysięcy – powiedział Wrzask.

Pawła sam dźwięk takiej sumy przyprawił o zawrót głowy. Boże, pomyślał, żebym tak ja dostał chociaż dwadzieścia, co tam, choć dwa tysiące...

– Kochany. – Gruby skulił się prosząco. – Nie da rady, bez ośmiuset tysięcy nawet nie warto gadać. Widział pan dyrektor, to są skutki oszczędności. – Przejechał palcem wzdłuż pęknięcia na ścianie. – To było robione za trzysta i co? Już się sypie! A to na przecież tylko pół roku! Trzeba dołożyć dwieście do samej reperacji murów, bo się cały dom rozleci. Lepiej włożyć dwa razy więcej forsy i mieć spokój na parę lat. Biedaka nie stać na tandetę, a my wszyscy biedaki – uśmiechnął się pomyślnie.

Wrzask zmrużył oczy, ciemne szczotkowate wąsiki poruszyły mu się nad wargami. Popatrzył na szparę w ścianie. Wyraz twarzy mu zmiękł. Spojrzał na grubego przeciągle.

– Nooo, powiedzmy, pół miliona? – Obecni westchnęli. Gruby uśmiechnął się jeszcze milej.

– Panie dyrektorze kochany, przecież to nie z pana kieszeni idzie i nie do prywatnej pójdzie. Przecież to sierotki, niech pan się zlituje nad ich biedą!

Chłopiec z pustymi oczami patrzył ironicznie znad tacy. Nauczycielki przestępowały z nogi na nogę. Podłoga skrzypiała.

– Im nikt nie da, panie dyrektorze, jak pan nie da – wtrąciła się do rozmowy ładna wychowawczyni, szturchnięta przed chwilą nieznacznie przez grubego.

Wrzask spojrział na jej nogi. Spochmurniał.

– Siedemset tysięcy i ani grosza więcej. Ja też mam limity.

Gruby odbił się od krzesła jak piłka i podskoczył radośnie do kolan dyrektora. Zdawało się, że zaraz przed nim uklęknie.

– Często pan wysyła personel na szkolenia? – zapytał Wrzask od niechcienia. – Posłałby ich pan do miasta, choćby do nas, do Warszawy, niech się trochę otrząskają, trzeba ich też uczłowieczać. Pani przyjechałaby do nas na delegację, prawda? – zwrócił się do wychowawczyni w sukience żony Pawła.

– Oj! – zarumieniała się z radości. – Warszawa! Żebym mogła...

– Jak to? – zapytał sucho Wrzask. – Pan dyrektor ma obowiązek szkolić pracowników. Wydeleguje panią, jak będzie szkolenie dla pedagogów

domów dziecka. Pani młoda, powinna się jeszcze pani wiele nauczyć. Tak, tak, przed młodzieżą cała przyszłość.

Klepnął wychowawczynię w plecy, aż kurz poleciał z sukienki.

– No, ale komu w drogę, temu czas! Wyjeżdżamy!

Nauczycielki utworzyły szpaler i przepuściły Wrzaską, Wilczkę i Pawła do drzwi. Ostatni wyszedł gruby dyrektor domu, szepcząc coś do zaczerwienionej wychowawczynie. Znikli oboje w jakiś drzwiach.

Na dworze uderzyło ich świeże, mroźne powietrze. Wyjrzało słońce.

Nauczyciele popędzili w stronę autokaru, Wilczek i Wrzask skierowali się do samochodu.

– A pan dokąd? – zagadnął Wrzask Pawła, kierującego się do autokaru – pan jedzie z nami.

Paweł chwilę się wahał, ale pomyślał, że w końcu w tę stronę jednak jechał, więc...

Usłyszeli wołanie od wejścia budynku. Odwrócili głowy. Na progu stał gruby dyrektor z ładną wychowawczynią. Trzymali razem duży, podłużny, pakunek, owinięty w kilka warstw białego papieru. Pomagał im z wyraźnym wysiłkiem chłopiec, który chciał być milicjantem. Pozbył się już swojej tacy. Na dole pakunek zwężał się gwałtownie. Paweł zobaczył wystające stamtąd dwie różowe raciczki.

– Panie dyrektorze! – zwrócił się gruby do zdumionego Wrzaski. – Tu jeszcze drobny upominek dla pana dyrektora.

Wrzask rozejrzał się. Wiele osób wyglądało z autokaru, patrzył też Paweł i kilka osób, które jeszcze nie zdążyły przejść przez blok.

– To dla mnie? Ależ to niepotrzebne, panie dyrektorze! No, dobrze, przyjmuję, bo nic o tym nie wiedziałem, zanim przyznałem panu pieniądze. Państwo są świadkami, że nie ma przekupstwa.

Chóralnie odpowiedziano mu:

– Ależ skąd!

Wilczek nachylił się do Pawła.

– Ale mu się trafiło, co? Był przeznaczony dla Głupczyka, ale skoro tamten nie przyjechał...

– Panie Pawle... – Wrzask zrobił proszący gest.

Paweł podszedł pomóc mu włożyć pakunek do bagażnika. Spojrzał na wymykającego się z papieru prosiaka.

– Młody. Dobre, świeże mięsko – powiedział. – No i ładny grosz. Ile to może ważyć? Dwadzieścia, trzydzieści kilo? Licząc po sto dwadzieścia za kilogram...

Wrzask upychał świniaka w bagażniku.

– No i nie chce się zmieścić, cholera jasna. Więcej kłopotu niż pożytku...

– Panie dyrektorze – powiedział gruby – on jest przecięty na połówki, podzielimy, to się zmieści.

Rozwinął prosiaka, jedną część wręczył Pawłowi, drugą upchnął w poprzek między kołem zapasowym a karoserią. Paweł stał z oślizgłym, pachnącym krwią prosiakiem w ramionach. Miał przez chwilę wrażenie, że to zwłoki Głupczyka. Z jednej strony obrzydliwe, z drugiej jednak przyjemne.

Wrzask spojrział na niego i roześmiał się.

– Do twarzy panu z tym prosiakiem. Wie pan co? Dla mnie całość to za dużo. Niech pan będzie tak dobry, przyjmie ode mnie tę połówkę. Pan, przyjaciel ministra, nie odmówi pan przecież.

Wilczek spojrział na Wrzaskę wściekłym wzrokiem. Paweł zauważył to.

– Ależ dziękuję, w żadnym wypadku, mnie się nie należy, proszę, tu dyrektor Wilczek byłby poszkodowany...

– Nigdy w życiu! – zawołał Wilczek. – Ja... ostatnio żona kupiła gdzieś na wsi całego świniaka, mamy dość mięska! Bardzo proszę nie robić przykrości panu dyrektorowi!

Paweł bezradnie trzymał połówkę świniaka. No i co, pomyślał, gruby nie weźmie z powrotem, ta ładna nawet go sama nie udźwignie, zresztą nie mogę oddać czegoś, co w końcu było przeznaczone dla Wrzaska. A temu oddać? To mi odrzuci jak piłkę. Wszyscy z autokaru obserwowali tę scenę. Idiotyczna sytuacja, wygłupiłbym się.

Nic nie powiedział więcej, Wrzask przejął z rąk Pawła ślizgający się ładunek. Ułożył paczkę wzdłuż bagażnika, obok toreb z rzeczami.

– Dobrze, że tak zimno, nie zepsuje się, i tak ogrzewanie wysiadło – powiedział.

Pożegnali się z dyrektorem i wychowawczynią, chłopiec ulotnił się. Usadowili się w samochodzie. Wrzaskowi zły humor spadł z twarzy razem z trzaśnięciem drzwiczek. Usiadł z tyłu, obok dyrektorki domu dziecka z Pogórza, która musiała tu widocznie wsiąść wcześniej. Kurator gdzieś zniknął. Paweł usiadł obok Wilczka, który nadal prowadził.

– Diabli by go wzięli – zachnął się Wrzask, przekręcając kluczyk. – Wycygał w końcu te pieniądze. Człowiek ma takie miękkie serce dla tych wszystkich sierot! No, prędko do Warszawy, Wilczek, dość tej poniewierki, trzeci dzień tracę. Widział pan, jaki bezczelny typ? I tak połowę z tego ukradnie. Ta willa w głębi za ogrodem zakładowym, to za co on ją buduje? Za te pięć osiemset pensji? Plus to, co ukradnie ze stołu? Jeszcze dopłacał przedsiębiorstwu budowlanemu, żeby przy remoncie były usterki, bo mógł teraz wycygać dalsze fundusze. I człowiek musi tu tyle forsy przyznać,

żeby i willę wykończył, i coś dla tych sierot zostało. Ja ich znam, psie nasienie! Skurrrrr...!

Paweł widział kątem oka, jak dyrektorka z Pogórza sadowi się i mości obok Wrzaska. Rozpięła kożuszek, a Wrzask odwrócił się do niej całym ciałem. Czuł wzrastający wstręt do tego człowieka. Po co przyjałem to ścierwo, co ja z tym teraz zrobię? Pocieszało go tylko to, że nadal nienawidzi Wrzaska i całej jego paki, brzydził się nimi. Po chwili pomyślał o żonie, o córce, tak dawno nie jedli świeżej wieprzowiny; teściowa może zapekluje szynkę, będzie akurat na święta, a żona mu zawsze wyrzuca, że taki niezaradny, nie potrafi nic dodatkowo załapać, nawet nie wie, że mogłaby to wszystko mieć przy Głupczyku, ale za jaką cenę, nie wie, że Paweł uchronił ją przed płaceniem tej ceny. A on – no, rzeczywiście, ledwie mu się korepetycje udało złapać, a i to kolega mu ustąpił.

Zresztą, pomyślał, prosiak stworzenie apolityczne, a lepiej już, żeby Marzenka go zjadła niż wypasione bachory dyrektorskie.

Wilczek zapuścił silnik. Z autobusu wychylił się kierowca i krzyknął w kierunku samochodu dyrektorów:

– Dokąd?

Ostatni uczestnicy sympozjum brnęli do autokaru w żółtej, częściowo tylko zamrożonej glinie, przemieszanej z wapnem i żwirem. Skakali przez kałuże, usiłowali przedostać się na kamienie. Nogi mieli coraz bardziej upaprane błockiem. Paweł z ulgą pomyślał, że zaoszczędzi butów. „No, ja się przynajmniej nie uświnilem”, pomyślał. Wrzask przyglądał się całej scenie przez chwilę, wreszcie roześmiał się.

– Właśnie, dokąd? – zapytał Wilczek.

– Mielśmy jechać do Ostrowic, to ten drugi zakład. Z izbą pamięci, czy jakoś – powiedziała dyrektorka z Pogórza.

– Do Ostrowic! – Wilczek wychylił się przez okno w stronę autokaru. Autokar ryknął silnikiem, ostatni guzdralscy wskakiwali co prędzej. Ruszył z niedomkniętymi drzwiami, na których zawisła na chwilę jedna z kobiet. – A my?

– Na razie jedź pan za nim do skrzyżowania, dalej zobaczymy – powiedział Wrzask, z uwagą przyglądając się, jak mężczyźni w autokarze wciągają do środka kobietę. Zadarła sobie spódnice i widać było podarte pończochy z werżniętymi podwiązkami na udach. Błysnęły różowe majtki, potem drzwi autokaru zatrzasnęły się.

Teresa Bochwic

Janusz Andrzejczak

TAJEMNIA



Seria: Kolekcja Literacka – Tom II**Janusz Andrzejczak – Tajemnia**

Autor: Janusz Andrzejczak

Tytuł: Tajemnia

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa
i Instytut Literatury

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: listopad 2020

nr wydania: I

liczba stron: 124

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-66359-86-4 oraz 978-83-938439-6-1

copyright: Janusz Andrzejczak

cena: 20,00 zł

Ilustracje: Janusz Andrzejczak

Redakcja tomu: Andrzej Appel

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce

Las jako poetyckie uniwersum? To wcale nie tak rzadkie w literaturze ostatnich lat. Wiersze Janusza Andrzejczaka również wpisują się w ten nurt, tyle że na własnych zasadach. Ta poezja czerpie pełnymi garściami z tradycji ballady, urzekając śpiewnością i gawędziarską swobodą. Pcha ku tajemnicy i sprowadza na ziemię, bawi i przygnębia. Bo te wszystkie jasne polany i mroczne knieje w gruncie rzeczy nosimy w sobie.

Andrzej Appel

Sosny rosną ku Niebu. Przedziwnia. Puszcza utkana jest wiatrem i mgłą. Łagodnia. Żurawie odlatują i przylatują. Ulotnia. Drogi i bezdroża. Powłóczystość. Las jest żywiołem. Wzruszająca miłość, głębia, muzyka i cierpienie. Tajemnia. Oto poeta, malarz – Janusz Andrzejczak.

Jerzy Binkowski

O autorze

Janusz Andrzejczak urodził się w Toruniu 11 stycznia 1956 roku. Człowiek lasów, dróg, duktów i bezdroży. Zadebiutował zaledwie 10 lat temu. Odnaleźli go poeci: fotografii – Anna Worowska, aktorstwa – Anna Polony, słowa pisanego – Jan Leończuk i Leszek Długosz. Dalej samo poszło, prawie bez jego udziału.

Książki:

Takijeden – Książnica Podlaska, Białystok, 2011

Łagodnia – Wydawnictwo Arcana, Kraków, 2012

Ulotnia – Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń, 2013

Przedziwnia. Ballada o Genku – Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń, 2015

Powłóczystość. Drogami, bezdrożami Podlasia – Książnica Podlaska, Białystok, 2017

Wkrótce ukaże się jego pierwsza proza.

Fragmenty

Czyj to ptak...

Czyj to ptak najrzadszy z rzadkich
zamotany w jakich sieciach
z czyich rąk lub z czyjej klatki
do mej pustki dziś przyleciał

Skąd ten ptak wśród nocy głuchej
w mojej chwili i nie chwili
nocy się nastroszył puchem
przez czyjs sen ku mnie zakwilił

Czemu przy mnie uwił gniazdo
ze snów moich z przyszłej jawy
aż mój anioł zbiegł ku gwiazdom
diabeł mój do pełni zawył...

Kocham cię

Kocham Cię
śliczna moja
wesoła i smętna
za to Cię kocham
że oczu od Ciebie nie mogę oderwać
moja piękna

Za Twoją niezłomność Cię kocham
za to że jesteś w moich lasach
na łąkach na polanach
moja kochana

I za to Cię kocham
że jesteś w świątyniach kapliczkach
w ludziach i prochach
za to wszystko
i za o wiele wiele więcej
Cię Polsko kocham

Ile to warte

Ile to wszystko warte
ile
kilka pomiętych kartek
podróżny bilet
strzęp mchu w kieszeni
igliwie w butach
domyslny ledwo zenit
noc ledwo przeczuta
żaby majem czerwcem
miłosne dwie wałki
splcione w serce

Co dla innych
kurzawą pyłem
iluzją żartem
tylko tego mi trzeba
i tyle
tyle to warte

Ja i droga

Nie będą mnie obchodzić
żadni ludzie i przedmioty żadne
tak będę iść długo daleko
aż upadnę

Nie będę myślał o niczym
nie będę myślał o nikim
a gdy coś zakrzyczy
przekrzyczę ciszą
te krzyki

A gdy horyzont będzie
tuż przede mną
ja i droga

będziemy jedno

A za mną czarna noc
przede mną poranna zorza
a ja
ja będę szedł prosto
będę skręcał
będę rozdrożał

Jak to opisać

Co warto pisanie
jak to opisać

Krajobraz powłóczysty
ledwo w zarysach
przy drodze
kilka lip i jarzębin
i kapliczka w głębi
w niej baba w chuście
dziad z długą brodą
nad świętą wodą
z ikoną i świecą

A dzień już w lesie
a mgła już w łące
ostatnie ptaki lecą
posiany w niebie mak

Jak to opisać
Jak to
Jak

Jerzy Andrzejczak

Anna Bańkowska

WIERsze

cytowane



Seria: Kolekcja Literacka – Tom III**Anna Bańkowska – Wiersze cytowane**

Autor: Anna Bańkowska

Tytuł: Wiersze cytowane

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa
i Instytut Literatury

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: listopad 2020

nr wydania: I

liczba stron: 96

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-66359-87-1 oraz 978-83-938439-9-2

copyright: Anna Bańkowska

cena: 20,00 zł

Ilustracje: Dorota Suwalska

Redakcja tomu: Andrzej Appel

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce

Niemal wszyscy zgadzają się, że tłumaczenie poezji wymaga specjalnych zdolności, a kto wie, czy nie ociera się o niemożliwość przeniesienia ulotnej esencji poetyckiej do innego języka, więc udaje się tylko nielicznym. Jeśli przekłada się utwory dawniejsze, do zwykłych wymagań dochodzą jeszcze kwestie rytmu, rymu, strofy. Niektóre utwory znamy już z innych tłumaczeń, otrzymujemy więc okazję do porównania ich nowej polskiej wersji z dawniejszymi i – oczywiście – z oryginałami.

Tłumaczenia poetyckie Anny Bańkowskiej są znakomite, jesteśmy szczęśliwi, że możemy się nimi podzielić z czytelnikami.

Anna Nasiłowska

Propozycja translatorska Anny Bańkowskiej to rzecz jedyna w swoim rodzaju. Mamy bowiem do czynienia z – jak wyjaśnia Tłumaczka w przedmowie – antologią najczęściej cytowanych wierszy znanych autorów. Są to autorzy niemal wyłącznie anglojęzyczni, wybitni poeci różnych epok, reprezentowani tutaj utworami ponadczasowymi, wciąż żywymi w czytelnicznym odbiorze. Może dziwić, że niektóre z tych wierszy nie doczekały się jeszcze polskich przekładów. Niniejsza książka wypełnia tę lukę.

Andrzej Appel

O autorce

Anna Bańkowska urodziła się w 1940 roku w Warszawie. W 1964 roku ukończyła na UW polonistykę ze specjalnością językoznawczą. Do roku 1990 trudniła się edytorstwem, pracując m.in. w PIW-ie i Redakcji Słowników Języka Polskiego PWN, a także jako freelancerka. Od lat 90. zajmuje się przekładami literackimi (prozą, poezją, dramatem, literaturą faktu), współpracując z różnymi wydawnictwami. Ma na koncie ponad 70 publikacji, w tym autorską antologię *My mamy kota na punkcie kota* (Znak 2006). Od 1996 roku członkini SPP. Od 2009 roku członkini-założycielka (a od 2019 roku członkini honorowa) STL. W 2013 roku odznaczona brązowym medalem Gloria Artis.

Fragmenty

Robert Burns

Dla tego mojego Kogoś

Serce mi krwawi, ach, nie śmiem wyznać,
Serce mi krwawi przez Kogoś.
Mógłbym noc całą zimową nie spać
Dla tego mojego Kogoś.
O hej, o ha, dla Kogoś!
O hej, o ha, dla Kogoś!
Świat cały nawet mógłbym przemierzyć
Dla tego mojego Kogoś.

Który do cnej się uśmiechasz miłości,
Uśmiechnij się słodko do Kogoś.
Od wszelkiej, proszę, zachowaj go złości
I oddaj mi mego Kogoś.
O hej, o ha, mego Kogoś!

O hej, o ha, mego Kogoś!
Bo czegoż bym ja... czegoż nie zrobił
Dla tego mojego Kogoś?

Alfred Tennyson

Szarża Lekkiej Brygady

W skok i w cwał, w skok i w cwał,
W skok w kurzu bitewnym,
W dolinę Śmierci oddział gna –
Sześciuset jezdnych.
„Naprzód, Lekka Brygada!
Na działa!” – rozkaz pada
I na złamanie karku gna
Sześciuset jezdnych.

„Naprzód, Lekka Brygada!”
Czy ktoś się skrzywił? Skąd!
A jednak żołnierz wiedział:
Ktoś tu popełnił błąd.
Nie wolno racji dochodzić
Ni stawiać pytań zbędnych;
Tylko słuchać i ginąć
Mogło w dolinie Śmierci
Sześciuset jezdnych.

Od prawej kanonada,
Od lewej kanonada,
Z przeciwka kanonada,
Huk, że aż ziemia drży.
Pod gradem kul i łusek
Dzielna Lekka Brygada
W dolinę Śmierci gnała
W jezdnych sześciuset.

Wtem nagich szabel błysk!
Wtem ostrej stali świst!

Na kanonierów w mig
Szaleńczą szarżą natarli.
Zastygł w podziwiew świat,
Gdy w dymie, w ogniu z dział
Puściwszy konie w cwał,
Na linie wroga się wdarli.
Już rozgromieni Moskale,
Trup padał gęsto, więc kłusem
Ruszyli do odwrotu, lecz nie,
Już nie w sześciuset.

Od prawej kanonada,
Od lewej kanonada,
Od tyłu kanonada,
Huk, że aż ziemia drży.
Padały konie, ludzie
Pod gradem kul i łusek,
Ścigał ich ogień z dział
I ostrzał ciągle trwał,
Kiedy od piekła bram
Poszła ze Śmiercią w tan
Resztką z sześciuset.

Czy zgaśnie kiedy ich chwała,
Tych, których szarża zuchwała
Wbiła w zdumienie świat?
Nigdy nie stanie piewców
Szarży Lekkiej Brygady,
Co poszła na armaty
W sześciuset jeźdźców.

Rudyard Kipling

Brzemień białego człowieka

Ponieście brzemień białego człowieka,
Ślijcie kwiat swoich młodzieńców,
Nakażcie synom iść precz na wygnanie,

Niech świadczą na rzecz waszych jeńców!
 Niech służą, gnąc karki, w mozołe i trudzie,
 Tym trwożnym i dzikim plemionom,
 Tym zniewolonym, niechętnym wam ludziom –
 Pół dzieciom, a pół demonom!

Ponieście brzemień białego człowieka,
 W cierpliwość się uzbrojcie,
 Maskujcie wszelkie przejawy paniki
 I pychy popisy hamujcie.
 Prostym, żołnierskim językiem
 Wbijajcie im do głów po stokroć,
 Że nie za własnym mają gonić zyskiem,
 Na celu nie swoje mieć dobro.

Ponieście brzemień białego człowieka
 Wśród wojen morderczych o pokój –
 Nasyćcie wreszcie jadłem gębę Głodu,
 Wygaście ogniska chorób.
 A gdy będziecie blisko, coraz bliżej,
 Spełnienia ich pragnień i życzeń,
 Patrzcie, jak gnuśni, szaleni poganie
 Nadzieje obrócą wam w niwecz.

Ponieście brzemień białego człowieka –
 Nie w blichtrze królewskości,
 Lecz w znoju chłopów, trudzie posługaczy –
 W zwyczajnej codzienności.
 Te porty przed wami zawarte,
 Te drogi, co wam się oparły,
 Przykróćcie na kształt swoich żywych,
 Naznaczcie ciałami swych zmarłych.

Ponieście brzemień białego człowieka –
 Wnet zwykłą nagrodę zgarniecie:
 Pretensje i skargi tych uszczęśliwionych,
 Nienawiść tych, których strzeżecie.
 Krzyk tych, co udało się zwabić
 (Jak wolno!) do światła strony:

„Czemuż nas chcecie pozbawić
Ciemności tak hołubionych?”

Ponieście brzemień białego człowieka!
Nie ważcie się ulec małości,
A gdy wam będzie znużenie doskwierać,
Nie kryjcie go hasłem wolności!
Z tego, co po was zostanie, panowie,
Z szeptów czy krzyków waszych obcych słów,
Ten lud posępny a cichy się dowie,
Cóżście warci wy oraz wasz Bóg.

Ponieście brzemień białego człowieka –
Zakończcie dni dziecinady,
Czas wyrzec się tanich laurów
I łatwo zdobytej chwały.
Po latach bez krztyny wdzięczności
Dziś będą rozliczać was z męstwa
Zbrojni w kosztowną swą mądrość
Srodzy parowie Królestwa.

Rupert Brooke

Mówiłem, doskonale cię kocham

Mówiłem, doskonale cię kocham; tak nie jest.
Nie dla morza wśród lądów długie, ręce fale.
Na bogów, głupców – ciebie – spada zagrożenie,
Mnie owa gorzka słodycz nie nęci zaś wcale.
Miłość wzbija się z ziemi w ekstazie ku słońcu,
Miłość z nieba do piekła spada jak szatani.
Lecz są jeszcze pośrodku ludzie w mgle błądzący,
Co łakną cieniów, bliskości. Ci nie wiedzą sami,
Czy w ogóle kochają, a jeśli – to kogóż:
Damę ze starej pieśni, błaznicę w przebraniu,
Fantomy, a może swą własną twarz w mroku,
Dla miłości Miłości? Przez samotność serca?
Rozkosz ni ból nie dla nich. Wątpią, tęsknią srodze
I nie kochają w ogóle. Z tych ja się wywodzę.

Alan Seeger**Ze Śmiercią mam dziś rendez-vous**

Ze Śmiercią mam dziś rendez-vous
Na jakiejś spornej barykadzie,
Gdy Wiosnę słysząc w szumie drzew
I kwiat jabłoni pachnie w sadzie –
Ze Śmiercią mam dziś rendez-vous,
Gdy Wiosna dni błękitem krasi.

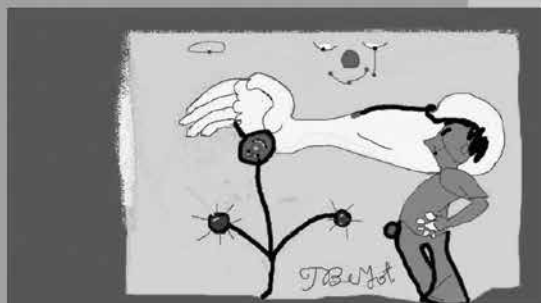
Może Śmierć ujmie moją dłoń,
Wprowadzi cicho w mroczny ląd,
Zamknie mi oczy, oddech zgasi –
A może ją wyminę znów.
Ze Śmiercią mam dziś rendez-vous
Na wzgórzu zrytym gradem kul,
Gdy Wiosna już okrąży świat,
Na łące kwitnie pierwszy kwiat.

Bóg wie, że lepiej się zakopać
W pachnącym puchu wśród jedwabii,
Miłość w czarownym chłonać śnie
I puls przy pulsie, twarzą w twarz
O czułych przebudzeniach marzyć...
Lecz mam ze Śmiercią rendez-vous
Wśród miasta płonącego łun,
Gdy Wiosna już z południa mknie...
I na wiatr nie rzucałem słów:
Stawię się na to rendez-vous.

Anna Bańkowska

Tamara Bołdak-Janowska

SZCZĘŚCIE



Seria: Kolekcja Literacka – Tom IV**Tamara Bołdak-Janowska – Szczęście**

Autor: Tamara Bołdak-Janowska

Tytuł: *Szczęście*

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa
i Instytut Literatury

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: listopad 2020

nr wydania: I

liczba stron: 68

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-66359-90-1 oraz 978-83-959291-2-0

copyright: Tamara Bołdak-Janowska

cena: 20,00 zł

Ilustracje: Tamara Bołdak-Janowska

Redakcja tomu: Krzysztof Bielecki

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce

Tamara Bołdak-Janowska, postać wielokulturowa, mocno osadzona w realiach pogranicza białorusko-polsko-tatarskiego (z całym bolesnym i ciężkim bagażem tegoż) to pisarka niepokorna. Stawia pytania, które wwiercają się w umysł czytelnika. Tamara traktuje odbiorcę poważnie, jak partnera do filozoficznej dysputy nad najbardziej istotnymi i powodującymi cierpienie przejawami życia człowieka i ziemi, a raczej Ziemi. Jednocześnie, wśród wielu dziedzin artystycznych, uprawiając rysunek „satyryczno-filozoficzny” poetka zaskakuje skojarzeniami, ostrym poczuciem humoru. We wszystkim, co robi, jest oryginalna, śmiała i wierna sobie.

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Poezja Tamary Bołdak-Janowskiej dotyka do żywego. I... do martwego. Biologia, zmysł jeden czy drugi – przenikają duszę. I przenikają duszę słowa, sprowadzając je raz na margines życia (jakby słowo było złem koniecznym i nie musiało żyć), a raz wynosząc na wyżyny. Manowce chcą być majestatem. Życie jest utrudzone. A jego sprawa, sprawa życia, postawiona zdecydowanie w jednym z utworów, okrywa cieniem gęstą treść tomu:

Komu, po co ja tu. Do kogo płaczę.

Krzysztof Bielecki

O autorce

Tamara Bołdak-Janowska uprawia prozę, poezję, filozofię, eseistykę, publicystykę, sztukę teatralną (monodram; teatralną prezentację poezji w duecie z Antonim Janowskim), sporadycznie krytykę literacką, rysunek satyryczny. Należy do warszawskiego oddziału SPP i Polskiego Pen Clubu. Przez kilkanaście lat reżyserowała coroczne widowisko pisarsko-teatralne o nazwie: *Zajazd do Naraju* w malutkiej wiosce Narejki na Podlasiu, pokrewne spektaklom Piny Bausch.

W 2007 roku otrzymała nagrodę Marszałka Województwa Warmińsko-Mazurskiego za całokształt. W 2008 roku nominowana do nagrody Mediów Publicznych Cogito – za tom poetycki *Rozdziały*. W 2010 jej powieść utopijna *Rzeczy uprzyjemniające*. *Utopia* znalazła się w finałowej dwudziestce nominowanych książek do Nagrody Literackiej Nike. W 2011 roku tomik *Ceremonia węglowa* znalazł się w finale olsztyńskiej literackiej nagrody Wawrzyn – w „Piątce Wspaniałych”. W 2012 roku otrzymała Nagrodę Prezydenta Olsztyna za całokształt. W 2016 roku otrzymała medal Gloria Artis.

Fragmenty

Pamięć

Tak. Znowu przeżyć, co było miłe.
 Ile razy zechcesz.
 Swoją pamięć znasz na pamięć
 jak cudzy dobry wiersz.
 Znowu wejść do starej chaty,
 z głośnej ziemi na głośną podłogę,
 z ziemskich skrzypnięć zewsząd łukowatym bukietem

w skrzypnięcia domowe, zebrane w żądkło, w wyczesany
 małpi ogon w szparce pomiędzy deskami
 lub w szczurzy, gładszy, w wąskim ciemnym dopływie sęku.
 Pograćżyć się w stare łóżko,
 w biel zarostu (z pieszczotliwą kulką) barchanowej pościeli.
 W to koryto, w uprzejmie noclegowy tort.
 Pokielbasić go i po uszy sklepić,
 i gołą po pachę ręką sklepienie oklepać.
 Możesz przypomnieć, jak to się robi.
 Pamięć to takie długie święto
 w miejscach, w których dziś nie masz nic,
 a tam wszystko twoje, i nie ma złodziei.

Piosenka o śnie

Widzę twoje, córko, ręce,
 małe, białe, wciąż bielejące.
 Prawa coś rysuje, coś maluje pięknie,
 a lewa pomaga jej zręcznie.
 W zamyśleniu tańczysz po wargach palcami,
 a w zapłakaniu po powiekach tak samo.
 Rzęsy masz czarne i długie.
 Na pewno mierzą pół krasnoludka.
 W twoim świecie krasnoludki są.
 To one ku mnie twoje rzęsy bajką
 plotą,
 ciągną cię ku mnie za te gęste lejce,
 w drobnym zaprzęgu przed pociemniałą tobą,
 równając poziomy, twojej i mojej nocy.
 Ty moje oczy, moje ciało tak wyróżniasz,
 abym dosięgła, poczuła, mogła
 cię znowu przy sobie mieć,
 jak dawniej małą i ciepłą.
 Lecz jesteś zatopiona w zboczu, jak szklanym,
 a ja tylko przy nim, jak widząca obcość.
 I nie możemy się ani potraścić niechcący,
 ani czule dotknąć.

Gwiazda

Gwiazda nie bywa źle skrojona.
Byłaby u stóp,
przypadkiem,
gdyby zaświecił jeź,
a on kulka też.
Jej kolce ze sobą się nie krzyżują
jak ludzkie pojazdy w katastrofie,
i w duszy pojazdy, moje i twoje,
albo jak pies, ze smyczy zerwany,
pysk w pysk z monstrum, z ludzkim bakiem jezdni,
i jak na potraskanym rondzie w posadzce filiżanka,
z którą nie mogę już iść w mocnej bliskości,
zwyczajnie, pachą kciuka pod jego pachę,
bo odwiązuje się dłoń,
bo jej uchwyt codziennie samowolnie rozkudłany.
Jest. Jest ładność na niebie, wciąż moim.
W naszej górze wszystko jest dobrze.
Tak. Wiem. Kolizje i tam bywają.
Ale one nie moje.
Lepiej znam co innego.
Czuję własny ochłodzony szkielec.
I starość, całkowicie nieznaną.

—

Tyle razy już się żegnałam z życiem.
W którąś chwilę na pewno trafię.
To jest pewność doskonała, i krańcowa,
jak osoba bez osoby,
co tkwi we wspomnieniu, we śnie,
jakby miała wolę życia i życie.
Jakiegokolwiek. Gdziekolwiek.
A jak za życia, wybiera najbliższe tobie.
To ta pewność: cień osoby:
chwila chwały cienia.
I cień przez zęby pije ziemię.
A ona się osadza.

—

Więc chwilo, ta chwilo, podściel swoją dłoń pod ból,
 pod myśl, zajętą bólem.
 Sekundą bólu tykaj w sukno,
 w filcu zwały.
 W coś, co zgłuszy i podstawę.
 Podstawę tego świata – mękę końca.
 Umiesz to. Ale ja to wiem niepewnie.
 Prosi cię o to szkieletu błada gwiazda,
 co się rozwinęła wzdłuż, w znużony sobą
 kropiący ramionami deszcz, od wczoraj niezdarny.
 Moja jesteś, chwilo. Należysz do mnie...
 jak własna skóra, którą ściągnięto i uszyto na miarę,
 z maską, czapką, z rękawicą.
 Zimitowano
 w uścisk, jakiego poza tobą nie umie nikt
 i nie zna jego reguł.
 Moja chwilo, tylko moja, że umiesz oblekać uściskiem,
 to wiem na pewno.
 Wspaniałe dzieło, po którym co?
 Na jak długo ubierzesz się we mnie
 Chwilo Perfekcjo?

Ładny wiersz

Obciążona kroplami naga gałąź krzaka.
 Jedno i drugie zdaje się mocne.
 Myślisz: płacze albo kwitnie.
 To dobra myśl.
 Nie płacze szyku
 wspólności.
 Opadło i skryształizowało się niebo.
 W powabną całość.
 Zwiśł pręt i zwiśło ono.
 Obcałowało.

Tamara Bołdak-Janowska

Monika Milewska

KRÓLOWA karnawału



Seria: Kolekcja Literacka – Tom V**Monika Milewska – Królowa karnawału**

Autor: Monika Milewska

Tytuł: Królowa karnawału

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa
i Instytut Literatury

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: listopad 2020

nr wydania: I

liczba stron: 68

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-66359-94-9 oraz 978-83-959291-4-4

copyright: Monika Milewska

cena: 20,00 zł

Ilustracje: Joanna Sendłak

Redakcja tomu: Krzysztof Bielecki

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce

Jeśli mnie intuicja nie myli, pod maską królowej karnawału kryje się twarz samej Moniki Milewskiej. Poetki, przeżywającej losy świata niczym zdarzenia własne, prywatne. Chwyta ich przebiegi nowym sposobem, zaskakująco, z nadzieją, a chwilami pewnością, że odkrywa ich ukryte sensy i ma na nie wpływ. To wiersze pisane niezmiernie utalentowaną ręką. Ich treść pod okiem Czytelnika rośnie, obejmuje, nie pozwala odejść. Wiersze dobitne, ale dzięki po mistrzowsku kształtowanemu językowi – w jakiś sposób skromne. Słowem takie, których nie da się łatwo zapomnieć.

Piotr Müldner-Nieckowski

Czas łagodny, a zaraz krwawy. Miejsce łagodne, a zaraz krwawe. Poezja Moniki Milewskiej łatwo przemyka między epokami, między dobrem a złem. Ta łatwość jest okrutna. Podszyta absurdem, który jest koniecznością chwili i koniecznością wieczności. Jabłko i głowa zabitego przez snajpera chłopca mówią tym samym językiem.

Krzysztof Bielecki

O autorce

Monika Milewska – antropolog historii, eseistka, poetka, dramatopisarka. Absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego, Szkoły Nauk Społecznych w Warszawie i EHESS w Paryżu. W latach 2002-2008 adiunkt w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Obecnie pracuje w Zakładzie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Gdańskiego. Stypendystka m.in. rządu francuskiego i włoskiego, centrów pisarzy w Rodos i Visby, fellow Akademii Amerykańskiej w Rzymie. Zadebiutowała w wieku lat 13 w Telewizji Polskiej fragmentami poematu Waterloo. Jest laureatką m.in. Grand Prix XV Festiwalu „Dwa Teatry” w Sopocie. Dwa z jej słuchowisk nominowano do Prix Italia. Autorka eseistycznych książek: *Bogowie u władzy* oraz *Ocet i łzy*, za którą otrzymała stypendium „Polityki” i nominację do Nagrody Literackiej NIKE. Wydała tomiki wierszy: *Podróż na koniec świata* (2002), *Papierowe okręty* (2005) i *Płacz komety* (2012) oraz powieść *Latawiec z betonu* (2018) uhonorowaną Pomorską Nagrodą Literacką „Wiatr od morza”. Na jej podstawie powstało słuchowisko (Program III) oraz nagradzany w Polsce i za granicą spektakl telewizyjny *Falowiec*.

Fragmenty

Królowa karnawału

Przyszła razem z tłumem
na plac Świętego Marka
Tak jak inni
zadarła głowę i patrzyła
na lot anioła
z wyniosłej kampanii
z lazurowego nieba
O, bella Italia!

Nikt jej nie rozpoznał
jak wielu innych nosiła
przekrzywioną maskę
z długim ptasim dziobem
Okoliczne stragany
uginały się od takich
weneckich maseczek
il medico della peste
wszystkie made in china

Potem chwyciła za ręce
najbliżej stojących
Ruszył karnawałowy korowód
na Piazza San Marco
królowie i błazny
książęta żebracy
pierroty colombiny
żołnierze i doktorzy
architekci i aktorzy
finansiści futboliści
niezliczeni turyści
wszystkie narody świata
poszły z nią w maskach w tan

Aż nagle zerwała własną
tłum rozstał się
muzyka ucichła
opustoszał plac
Stoi sama
z przekrzywioną twarzą
na pustej Piazza San Marco
na pustej Piazza San Pietro
na pustym Times Square
na pustym Długim Targu
Wzięła je w panowanie
dawno wygnana królowa
bohaterka średniowiecznych kronik
Stoi i patrzy

w przekrzywionej koronie
jak cyfrowymi kanałami
płynie ludzki strach

Martwa natura

Świeży bochen chleba
rozkrojony pędzlem
spoczywa na pierwszym planie
olejnego obruśu
Obok kielicha z cynobrowym winem
wije się skórka cytryny
wokół wiecznie soczystego wnętrza
Na czarze kielicha
widać odbicie krzyża
starej okiennej ramy
(za niewidzialnym malowanym oknem
rozpostarto płótna fryzyjskich pejzaży)
Czterystuletni bażant
ozdoba holenderskich polderów
przytula głowę
do srebrnego półmiska
jak do swego gniazda
Zapach starego werniksu
miesza się z wonią
niewiedzących kwiatów
ich kolor żywszy niż nasz podziw
W świetle cynkowej bieli
wielooki granat
wpatruje się w nas wzrokiem
cierpkim jak ironia

Jabłoń

Na końcu gałązki jabłko
na końcu uliczki chłopiec

jabłko jest czerwone i okrągłe
oczy chłopca są czarne i okrągłe

chłopiec uśmiecha się do jabłka
jabłko uśmiecha się do chłopca

rajska jabłoń pośrodku oblężonego Sarajewa
drzewo życia
drzewo wolności
oś świata

tak myśli chłopiec
albo myśli tylko
że jabłko jest smaczne
a on dziś nie jadł nic
że ma pięciu braci
i że to jabłko też musi mieć braci
skrytych przed wojną w gąszczu zakurzonych liści

ręka chłopca wyciąga się ku jabłku
gałąź drzewa wyciąga się ku chłopcu

kula snajpera jest celna
jabłko toczy się po sarajewskim bruku
jest czerwone jak krew zabitego chłopca

rajska jabłoń pośrodku piekła
drzewo śmierci
drzewo wolności
którego korzenie
karmią się ludzką krwią
oś naszego świata

jabłko ma braci
chłopiec ma braci
snajper przegryza snickersa
i na chwilę odkłada broń

Krzyż

Jestem niewierzący
oznajmia zebrany
zmarły
ubrany w odświętny
garnitur marmurowej urny
Powieście moje imię
na patyku
który bodzie niebo
I zawisła jego dusza
na krzyżu
z jednej tylko żerdzi
tej
która wskazuje niebo
I pochylił się Bóg
i zabrał ją do siebie

Konfitury

Na jesiennym wietrze
pukle włosów suszę
jak wielkie prawdziwki
nawlekam na nitki
twoje kapelusze

Twym śmiechem napełniam
dyktafon srebrzysty
robię konfitury
z twych najśłodszych wyznań
lepię twoje listy

Rozstawiam twe oczy
już we mnie na zawsze
zatopione w słojach
z każdej z półek moich
będą na mnie patrzeć

Wciąż robię zapasy
tak miłości łaknę
z głodu jak wiewiórka
umrę pierwszej zimy
gdy ciebie zabraknie

W tramwaju

Sierpniowy skwar
ósemka
wlecze się
w nieskończoność
pasażerowie
spuścili głowy
przez wąskie szpary wyszukiwarek
śledzą wszechświat
jak niewidomi
opuszkami palców
dotykają słów
a spod nich wyskakują
giełdowe słupki
i koty dyszące
jak zmęczony tramwaj
rośnie skwar
wydłużają się szyny
topią się eleganckie obudowy smartfonów
informacje zaczynają wyciekać
i płyną wąską strużką po podłodze tramwaju
pasażerowie unoszą głowy
ich wzrok stracił zasięg
gorąco
między ludźmi
zaczynają pękać lody

Monika Milewska

Mariusz Olbromski

NA SZLAKU dialogu



Seria: Kolekcja Literacka – Tom VI**Mariusz Olbromski – Na szlaku dialogu**

Autor: Mariusz Olbromski

Tytuł: Na szlaku dialogu

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa
i Instytut Literatury

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: grudzień 2020

nr wydania: I

liczba stron: 108

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-959291-5-1 oraz 978-83-66359-95-6

copyright: Mariusz Olbromski

cena: 20,00 zł

Ilustracje: Jan Skłodowski, Andrzej Olbromski

Ilustracja na okładce: Jan Skłodowski

Redakcja tomu: Krzysztof Bielecki

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce

Mariusz Olbromski to miłośnik Kresów, kultury z nimi związanej i pięknych postaci. Wie, że nie da się o tym śpiewać w pracach kulturoznawczych czy albumach. Zaprzęga więc do tej roli poezję, dobierając te środki wyrazu, które wykorzystują własny temperament artystyczny i zarazem idealnie służą przypomnianiu klimatu Kresów, mądrym zachwytem ich urodę. W tym świetle pojawiają się nie tylko krajobrazy. To także sylwetki ludzi, którzy wyrosli na ziemi historycznie polskiej, choć politycznie i społecznie już dziś obcej. Takiej, którą odwiedzamy myślą, pamięcią.

Mariusz Olbromski kieruje ku niej, do jej dzisiejszych gospodarzy, słowa pełne ciepła i soczystych barw.

Piotr Müldner-Nieckowski

Liryczny szlak Mariusza Olbromskiego, choć przeszły i tęskny, jest pełen światła. Ścieżki są jasne. Urok życia zdaje się oczywisty. Zatrzymane czasy, zatrzymane miejsca kolejny raz rozmawiają z czytającym. Utwory przynoszą urzeczanie tradycją, romantyczną Polską, Kresami, także tamtą poetyką: miarą wiersza, obrazowaniem. Nic nie dożywa swoich dni. Trwa.

Krzysztof Bielecki

O autorze:

Mariusz Olbromski – polonista, filolog klasyczny, muzealnik. Poeta i prozaik, autor kilkunastu książek, członek warszawskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Łączy bogatą twórczość literacką z intensywną działalnością kulturotwórczą. Zwany niekiedy przez krytykę „poetą pamięci kultury” jest orędownikiem ochrony polskiego i europejskiego dziedzictwa kulturowego w regionie przygranicznym i na terenie obecnej Ukrainy, a zarazem budowania pojednania i autentycznego porozumienia między intelektualistami polskimi i ukraińskimi. Jest – między innymi – inicjatorem i współorganizatorem odbywających się od dwudziestu lat spotkań pisarzy, muzealników i naukowców obu narodów w Muzeum Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu oraz w innych miejscowościach na terenie Ukrainy i Polski. Spotkania te noszą nazwę Dialog Dwóch Kultur. Książka poetycka *Na szlaku dialogu* jest refleksyjnym dziennikiem z podróży, która w ujęciu autora sięga w głąb historii, ale także do wydarzeń najnowszych.

Fragmenty

Za oknem

A teraz wiesz już nad nami Bono
w poświatach za oknem hotelu,
gdy kruki znów nad tobą krążą wolno.
Ptaki mądrości gniazda strzegące,
powagi murów – świadków historii.
Nauczcie mnie, skrzydlaci przyjaciele

jak po błękitach myślą błdzić,
 jak widzieć wszystko w panoramie,
 a każdy proch i kamień blisko dojrzeć.

Ukażcie swoim cichym lotem,
 że wszystko jest tu cudem.
 Wspomnijcie też o złocie ponad złoto
 nim zacznę dzień i zbudzę słowa.

W Sali Kolumnowej

Tyle razy stawałem tu w terażniejszości
 i w przeszłości, gdzie Kołłątaja i Czackiego,
 gdzie Euzebiusza Słowackiego kroki.
 Gdzie jego syn po dzieła sięgał i wiersze
 może w locie lekko chwytał spływające
 znad Góry Bony – myśli błyskawicą,
 spod białej ciszy kłębiastych obłoków.

I gdzie Piłsudski błdził orlim okiem...

Byłem tu z wieloma nie z tej ziemi
 postaciami, chłonałem obie bliskie mowy.
 I ksiąg zgłębiałem otchłań, bo książka
 jest bezmiarem i światłem osobnym.
 Rozjaśniającym tego świata ciemność.

I zawsze, gdy tam stoję, naraz chłonę
 to wszystko w jednym oka-mgnieniu:
 w sali, gdzie wciąż kolumny łączą
 kulturę Grecji i Rzymu z całą tą ziemią.

W Zbarażu

A teraz w słońcu września
 blanki zamku, mury odnowione

i fosy z trawą wystrzyżoną
krwią tu obrońców uświęcone
i tych, którzy wciąż nacierali.

Umilkły ognie dział, hakownic,
nie słyszeć komend, rżenia koni.
Dymy i twarze się rozwiały,
chorągwie porwał czasu płomień.
Opodał w parku ślubny welon,
w alejach krążą pary młodych.

I dziś już inną twierdzę tu wznosimy
pod portretami królów i hetmanów
ze słów i myśli, lotnych dźwięków,
a dawne cienie myśli przenikają.

Mądrzejsi o tych wieków parę,
o lekcje najnowszej historii.

Strofy listopadowe

Wiatr poprzewracał plansze
zdjęć z Krzemieńca na werandzie.
I nocą padło stare rajske drzewo,
które jeszcze pani Anna sadziła
wiosną, na jasnym życia brzegu.

Mgły zaduszkowe w parku idą,
czasem padają długie deszcze.
Nagle wichury z pieśnią głuchą
miotają zwilgłe liście w przestrzeń.

Serce jest tylko kruchą lampką,
oświecła grobowcową ciemność,
gdzie myśl znów mówi „otwórz”...
w chwili najzwyczajniejsze
także te zwiezione z Kresów.

Ale nie wrócisz nigdy tam zupełnie
w to samo мгновение nie wejdiesz.
Fotografia niewiele – zatrzyma –
Kołują wciąż okruchy tylko wrażeń
w czasie zawrotnym pędzie.

Stawisko, 14 XI 2015

Księżyc nad Lubaczowem

Nie będzie już takich zapachów
jak te z dzieciństwa na Mickiewicza
płynące z ogródków w odwieczarz.
Ani srebra lśniącego tak przezysto
na dachach starych domów z drewna
jak kiedy wolno po nich błądził
odwieczny lirnik świata – księżyc.

Ani ruchomych cieni na ścianach
jadących za oknem na targ rano
jeden za drugim chłopskich wozów
z pogłosem parskań i turkotów,
ta ło, ta dzie – gadek miejscowych.

Nie będzie już tak żaden inny zegar
przy mnie wciąż bałakał jak tamten
u dziadziów z Żółkwi, szafkowy.

Ani przestrzeni tej delikatnej dobroci
babci Anieli jak gdyby zawsze czuwał
przy mnie anioł i świat pierwotny,
a przedziwny pragnął mi odsłonić.

Gdziekolwiek jestem tamten księżyc
wędruje ze mną, jawi się – wschodzi.

Mariusz Olbromski

Agnieszka Stabro

LĄDY

tymczasowych przelotów



Seria: Kolekcja Literacka – Tom VII**Agnieszka Stabro – Lądy tymczasowych przelotów**

Autor: Agnieszka Stabro

Tytuł: Lądy tymczasowych przelotów

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa
i Instytut Literatury

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: grudzień 2020

nr wydania: I

liczba stron: 92

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-959291-6-8 oraz 978-83-66359-97-0

copyright: Agnieszka Stabro

cena: 20,00 zł

Zdjęcia: Bożena Boba-Dyga

Redakcja tomu: Andrzej Appel

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce

Wiersze Agnieszki Stabro dobrze się czyta. Nie rzucają czytelnikowi kłód pod nogi, roztaczają przed nim pastelowe krajobrazy. Subtelna metafora, koloryt miejsc, otwartość na urodę świata. Z drugiej strony emocjonalny konkret i pozbawiony złudzeń ogląd rzeczywistości. Jeśli zatem błoga atmosfera chorwackich miasteczek, to również sponiewierany zamachami Paryż. Jeśli nagle olśnienie podczas pocałunku, to także ból po rozstaniu. Poza tym coś jeszcze – pomiędzy słowami.

Andrzej Appel

Ląd i lot. Stałe i niestałe. Teraz i nigdy.

Poezja Agnieszki Stabro chwytą chwilę, lecz nie prosi, by trwała. Chwila – jakże tu lekka – może umykać. Ma święte prawo istnieć ułamek sekundy. Przecież do tego jest stworzona. Wszystko dzieje się tymczasem. Pośród czegoś więcej. To „więcej” jest niewypowiedziane. Zatem mamy słowo, a wokół niego nieodgadnioną aureolę ulotnej świętości – satelicką przestrzeń, satelicki oddech, satelicki dotyk. Drugi człowiek jest portem, do którego się zawija, by zadać kilka pytań o to, co mija; a potem znów płynąć. Bo żeby trwać – to niemożliwe. „Świat wciąż znika”. Uczmy się nie czekać.

Krzysztof Bielecki

O autorce

Agnieszka Stabro urodziła się 9 czerwca 1987 roku w Warszawie. Autorka tomików poezji i beletryzowanych biografii. Członkini Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz Stowarzyszenia Autorów i Wydawców COPYRIGHT POLSKA. Absolwentka Wiedzy o Kulturze oraz Animacji Kultury na Uniwersytecie Warszawskim. Publikowała w miesięczniku „Kraków”, piśmie „Topos”, a także w kwartalniku „Podgląd”. Opracowała i opatrzyła wstępem dwa wybory wierszy Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Tłumaczka z języka francuskiego korespondencji Camille Claudel, włączonej do beletryzowanej biografii rzeźbiarki pt. *Masz na imię Camille* oraz libretta Jules’a Barbiera i Michela Carrégo do opery *Faust* Charles’a Gounoda dla Opery Wrocławskiej. W roku 2020 stypendystka Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Prowadzi fanpage <https://www.facebook.com/agnieszka.stabro>.

Fragmenty

Płyną w nas te same rzeki

Płyną w nas te same rzeki
i skrzą się te same jeziora

Błękit twoich oczu
że aż boli
najmniejsza struna światła
Dotyk
jak lód na rozżarzone serce

Każde rozstanie tak duszne
jakby spotkanie miało być ostatnim
choć widzę cię wciąż
nie przymykając powiek

Pustka

Pustką
tą w sobie
można śmiać się
oddychać
śnić

Można pić wódkę z przyjacielem
palić papierosy
głaskać pieska

I można udawać
że to wszystko jeszcze cię bawi
choć naprawdę
jest ci już wszystko jedno

Powiedz

Powiedz
gdy skończy się w tobie
melodia cichych poranków

gdy zabraknie czułości
w spojrzeniu płoczej gazeli
i nie będziesz potrafił już mówić „witaj”
w deszczu spadających komet
Powiedz
gdy zapragniesz odejść po cichu

Zamienię się w kamień
i przydrożną kapliczkę

Patrząc jak odchodzisz
zawyję bezgłośnie
nikt nie usłyszy

Jabłka mojego pradiadka

Jak smakowały te jabłka dwieście lat temu, kiedy pierwsze drewniane
[belki

zwoził furman do doliny wśród beskidzkich lasów?
Czy tobie też po brodzie spływała słodko-winna strużka
którą wycierałeś niedbale pobrudzoną koszulą?

Siedzę teraz tam, gdzie ty kiedyś
zanurzając usta w kwaśnej czerwieni
Jabłonie przetrwały wojny
zimy stulecia
Susze, deszcze i wiatry
co roku rodząc owoce, których nikt już nie zbierał

Zostanie po nas to, co nienazwane
Smak jabłek, które sadziłeś z uśmiechem deszczową jesienią

myśląc o tych, co przyjdą po tobie

Nitki babiego lata powiewające po dwóch stronach czasu

* * *

Ci co odeszli
nie odeszli naprawdę
ani na zawsze
Głupi żart niewidzialności
A przecież wciąż siedzą przy stolikach
palą papierosy
zamawiają kolejne drinki
słuchają naszych rozmów
niedbale odgarniając włosy z czoła

Mają zimne oddechy
ale ciepłe serca

W snach
przenoszą nas na krańce światów
gdzie wciąż słyszeć ich srebrzysty śmiech

Tylko tęsknota
widzialna
na pustych miejscach
które zostawili po sobie

Tylko ból tak prawdziwy
że niemy

Agnieszka Stabro

Dorota Koman

I JAKBY

mimochodem



Seria: Kolekcja Literacka – Tom VIII**Dorota Koman – I jakby mimochodem**

Autor: Dorota Koman

Tytuł: I jakby mimochodem

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa
i Instytut Literatury

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: grudzień 2020

nr wydania: I

liczba stron: 84

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-938439-8-5 oraz 978-83-66359-92-5

copyright: Dorota Koman

cena: 20,00 zł

Ilustracje: Grzegorz Gortat

Redakcja tomu: Andrzej Appel

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce

W wiersze Doroty Koman wdarł się czas. Ale nie taki, jakiego byśmy się spodziewali, prowadzący nas po bożemu, od punktu a do punktu b. Tu przyszłość wypada ze swoich ram i odzywa się echem w przeszłości, a obie te wieczne, niezmierzone chwile ogarnia dzień dzisiejszy, dość pojemny, by zmieściły się w nim plany i wspomnienia, nadzieje i rozczarowania, młodość i umieranie. Ironia, czasem gorzka, czasem przez łzę pogodna – znak firmowy tej poezji – jest na tyle hojna, że nie wyklucza tego, co nazwę w obcym języku: *tendresse*. A drobiazgi, efemerydy codzienności, podpatrzone

lub podsłuchane jakby mimochodem i do żywego zapamiętane, znalazłszy kąt w celnych, ściszonych wersach, urastają do rangi najważniejszych współrzędnych życia. Książka Doroty Koman przynosi wiersze dedykowane tym, którzy „pięknie nie dorośli”. Precyzyjne, powściągliwe, nierzadko dotkliwe, warte są wielokrotnej lektury.

Jerzy Jarniewicz

Nazwanie tego zbioru książką pandemiczną byłoby grubą przesadą, a jednak można się chyba pokusić o taką – naciąganą trochę – interpretację. Kilka wierszy traktuje o obecnej pandemii wprost i są to utwory mocne, ale nie o to tylko chodzi. Poczucie izolacji i psychicznego dyskomfortu stale towarzyszy lekturze tej książki. Oszczędnym stylem poetka diagnozuje przestrzeń ludzkich spraw, nie pozostawiając zbyt wielu złudzeń.

Andrzej Appel

O autorce

Dorota Koman – poetka, redaktor książek, krytyk literacki, popularyzatorka czytelnictwa.

Wydała dziewięć tomików: od *Freud by się uśmieł* (Wydawnictwo Miniatura, Kraków 1992) do *Maszyny do czytania* (Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 2015).

Tomy z wyborami jej wierszy wydane zostały na Białorusi – 36 m2 myśli, tłum. Andrej Khadanovich; Słowacji – *Maszyna do czytania*, tłum. Peter Milčák; w Bułgarii – *Wszystkie czułe słowa*, tłum. Łyczazar Seliaszki (wydanie bułgarsko-polskie). Wiersze tłumaczono też m.in. na języki: angielski, niemiecki, czeski, węgierski.

Śpiewa wiersze, nagrała dwie płyty:

Te wszystkie kolory we mnie i *Nie zawsze święta kołęda i pastorałka*.

Od 1993 roku należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Fragmenty

Memento mori

Wychowałam się przy cmentarzu

Pamiętam, że umrę
Nie pamiętam, że żyję

Erotyk późnojesienny

gdy dużo trudniej kochać
stare, brzydkie ciało

przytul mnie
młodą

„Gdy Pan Bóg drzwi zamyka, to otwiera okno” ks. Jan Twardowski

I tak stoję, proszę księdza, w tym oknie
a za oknem przepaść

Drobiazg

Zalóżmy zatem, że nic się nie stało

Miłość w końcu spłynie ze łzami
Utonie w żółtych miskach wymiocin
Odpłynie ściekami do Wisły

Zostaną po niej zaplamione prześcieradła
Niewiara
Ból
Strach

A mogła mieć moje oczy
i twoje poczucie humoru
Mogła lubić Cohena
i hokej
Mogła mieć aż trzech starszych braci
do obrony przed całym światem
Mogła być najcudniejsza na świecie
ale przegrała
z życiem
Była ze mną zaledwie kilkanaście dni

Dałam jej na imię
Żdziebełko

Doczekać

Posprzątać, pozamiatać
Pozłatwiać sprawy

Nie przewracać stolika
Nie zaglądać w karty

Nie skupiać uwagi
Nie wzbudzać litości

Odejść po cichu, spokojnie
I jakby mimochodem

Śmierć na Facebooku

Tak wygląda na swoim profilu kobieta
która za trzy miesiące będzie trupem

Upozowana
Wystylizowana
Profesjonalnie oświetlona

Makijaż zamiast bólu

Tutaj się nie cierpi
i nie umiera samotnie na raka
w czasie pandemii
Śmierć nie prześwieca z ani jednej spacji jej wpisów

Dopiero w dniu jej śmierci ci
co jeszcze żywi

prześcigają się w kreacjach wspomnień

Proch wypełnia się literami

Wysuszone garsci słów sypię się
na wirtualne strony
Księgi bez twarzy

Dorota Koman

Anna Bernat

MIŁOŚĆ i drzewa



Seria: Kolekcja Literacka – Tom IX**Anna Bernat – Miłość i drzewa**

Autor: Anna Bernat

Tytuł: Miłość i drzewa

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa
i Instytut Literatury

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: grudzień 2020

nr wydania: I

liczba stron: 124

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-66359-88-8 oraz 978-83-959291-1-3

copyright: Anna Bernat

cena: 20,00 zł

Ilustracje: Piotr Müldner-Nieckowski

Redakcja tomu: Andrzej Appel

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce

Maria Jentys-Borelowska o wierszach Anny Bernat z tomiku Miłość i drzewa w liście do autorki pisze:

Aniu, masz dar dobierania i łączenia słów w taki sposób, że pomiędzy nimi, ponad nimi, wokół nich powstaje PRZESTRZEŃ CZYSTEJ, SUBSTANCJALNEJ POEZJI. I w tej przestrzeni człowiek czuje się jak w innym wymiarze, gdzieś, gdzie nie ma nic banalnego, nic trywialnego, nic, co by odwracało uwagę od tego, co w człowieku wewnętrzne, istotne... sama nie wiem, jak to nazwać... Piękne.

Żeby mieć coś do powiedzenia, trzeba coś przeżyć, a przede wszystkim uważnie patrzeć. Bohaterowie wierszy Anny Bernat – jesiony, wierzby, topole – to uważni i cierpliwi obserwatorzy życia w rozmaitych jego przejawach. I choć mówią do nas ściszym tonem – ledwie szmerem liści – ich głos jest doniosły. Dotyczy bowiem spraw ważnych, przykrych, bolesnych. Łatwego pocieszenia w tej liryce nie znajdziemy, ale promyk nadziei owszem.

Andrzej Appel

O autorce

Anna Bernat – poetka, autorka m.in. tomików wierszy: *Biała Wyspa*, *Niepokoje starej nocy*, *Zniebowstąpienie*, *Wiersze na dzień powszedni*, *Miłość i liście* i najnowszy *Miłość i drzewa*.

Anna Bernat jest także autorką telewizyjnego cyklu:

Wiersze na dzień powszedni w reżyserii i interpretacji Aleksandra Bardiniego.

Tworzy też popularne programy telewizyjne dla dzieci.

Jednak głównym medium wyrazu artystycznego dla poetki są audycje radiowe. Napisała wiele słuchowisk poetyckich dla Teatru Polskiego Radia.

Wiersze znajdujące się w tomiku *Miłość i drzewa* były prezentowane w Teatrze Polskiego Radia przez wybitnych aktorów, od 1970 roku, czyli roku debiutu poetki, m.in. przez Magdalenę Zawadzką, Aleksandra Bardiniego, Grażynę Barszczewską, Stanisławę Celińską, Annę Dymną, Ewę Ziętek, Edytę Jungowską, Annę Nehrebecką, Annę Polony, Bronisławę Pawlika, Maję Komorowską, Zofię Kucównę, Franciszka Pieczkę, Andrzeja Ferencę, Zofię Rysiównę.

Może dlatego o Annie Bernat mówi się „poetka, radiowa”.

Fragmenty

* * *

Stary jesion
pokrzywiony ledwie stoi
dzięcioł serca niemrawo
stuka pod korą

Jeszcze ściska liście
jak największe skarby
ale już wie
do ostatnich nerwów korzeni
że mróz silniejszy

Kiedy nocą mgła
otula pień
stary jesion wznosi nagie gałęzie
w modlitwie

Tak dziękuje niebu
za miłość i liście

* * *

W szczerym polu
z głową uniesioną w niebo
stała niczyja grusza

I była taka płodna
gruszki za gruszkami
wpadały do fartuszka
tańczącej pod nią
dziewczynki

A dzisiaj
cień gruszy pozostał jedynie
i tylko słyszać
piosenkę dziewczynki:

Aniele Boży
Ty wiesz
Ty wszystko wiesz
Ty wiesz
że wszystko minie

* * *

Spokojnie
jest jak było
boli jak bolało
umiera jak umierało
cicho powoli
serce
wiosennego bzu

Byle do wiosny
ale dobrze wiadomo
że nic się nie zmieni
nie ma takiej mocy

Kwiat bzu zgaśnie
cicho całopalnie
jak świeca powszednia
ale zapach
ten zapach i tak pozostanie
na bolesną pamięć

* * *

Nic już nie jest takie
jak się wydaje
droga
jedynie krzyżowa
zbliza do siebie

Kiedy powiew wiatru
ożywia nagie gałęzie

drzewo
pręży się dumnie
na ostatnią chwilę

A ludzie pytają:
te pod drzewem śpiące
liście to
czy motyle?

* * *

Drzewo życia
korzeniami
w ziemię wzięte

Jeszcze pełne zieleni
zagląda w okno
zawstydzona pięknem

Im starsze
tym lepiej chroni liśćmi
twoje czyste
ziemskie powietrze

Nie do wiary
ile to drzewo
może przeżyć
jaka potęga nadziei
w jego ramionach

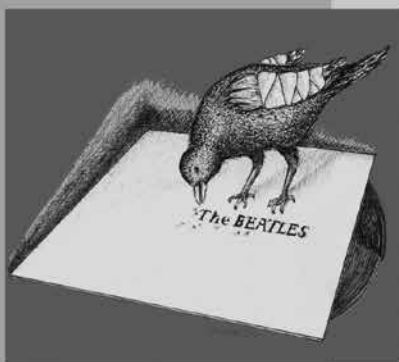
Drzewo-przyjaciół
z którego się nigdy nie wyrasta
drzewo odwieczne
drzewo-matka

Anna Bernat

Andrzej Dorobek

PIEŚŃ

nigdy nie brzmi tak samo



Seria: Kolekcja Literacka – Tom X**Andrzej Dorobek – Pieśń nigdy nie brzmi tak samo**

Autor: Andrzej Dorobek

Tytuł: Pieśń nigdy nie brzmi tak samo

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa
i Instytut Literatury

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: grudzień 2020

nr wydania: I

liczba stron: 124

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-66359-91-8 oraz 978-83-959291-3-7

copyright: Andrzej Dorobek

cena: 20,00 zł

Ilustracje: Grzegorz Gortat

Redakcja tomu: Andrzej Appel

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce

Gdy w połowie ubiegłego stulecia muzyka rockowa opanowała stacje radiowe, nikt nie dopatrywał się w niej poezji. Gdy w 2016 roku Nagrodę Nobla otrzymywał Bob Dylan, opinia społeczna była podzielona. Czy to jest literatura? Czy to jest poezja godna najważniejszej nagrody literackiej? Tomik Andrzeja Dorobka, nawiązujący tak mocno do najważniejszych światowych, ale i polskich utworów muzyki rockowej, jest dowodem, że rock to poezja. Że najlepsze rockowe teksty się z niej wywodzą i... do niej wracają. Tak, jak wróciły w wierszach prezentowanych w tym tomiku. To

uczta dla miłośnika poezji i miłośnika rocka. To książka dla każdego intelektualisty, który wie, że człowiek jest na tym świecie niczym toczący się kamień.

Małgorzata Karolina Piekarska

Ciągi skojarzeń, szarady słowne, fajerwerki wyobraźni – oto żywioł poezji Andrzeja Dorobka. Podtytuł książki „translacje muzyczne” zdaje się sugerować, że zawiera ona przekłady tekstów piosenek, zwłaszcza że autor poprzedza każdy wiersz tytułem jakiejś piosenki. Ale nic z tego, te kultowe songi stanowią jedynie punkt wyjścia do autonomicznych utworów poetyckich, pisanych z dużym rozmachem, zarówno w warstwie formalnej, jak i znaczeniowej. A nad wszystkim unosi się duch kontrkultury lat 60. i 70. zeszłego stulecia.

Andrzej Appel

O autorze

Andrzej Dorobek – absolwent warszawskiej anglistyki, doktor kulturoznawstwa, eseista, publicysta, tłumacz i poeta, członek oddziału warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. W latach 1997-2012 redaktor naczelny magazynu artystyczno-literackiego Gościniec Sztuki.

Jest autorem książki eseistycznej *Rock: problemy, sylwetki, konteksty – szkice z estetyki i socjologii rocka*; tomu szkiców wspomnieniowych *Obecność i odejścia (reminiscencje z kręgu Franciszka Dorobka)* oraz dziesięciu tomików poezji: *Odpryski*, *Po tamtej stronie światła*, *Święto Zmarłych*, *Translacje i transfiguracje*, *Polifonie*, *Śpiewnik*, *Odjazd*, *Śmierć jabłek/Der Tod der Äpfel*, *De-kadencje i Pas-jans*.

Swoje wiersze prezentuje też w formie recytacji z pianistą Maciejem Sztomberskim (jako Laboratorium Poetycko-Elektroniczne X-Ray Plus), z nowojorskim zespołem avant-jazzowym Iconoclast i z duetem Zdzisław Piernik – Sławomir Janicki, kojarzonym z tak zwaną nową muzyką improwizowaną. Reprezentował Polskę na prestiżowym międzynarodowym festiwalu „Druskiennicka Jesień Poezji” w Wilnie i Druskiennikach a jego wiersze były tłumaczone na niemiecki, angielski i litewski.

Fragmenty

Pieśń prawie ta sama?

[Piosenka / *Song*: „The Song Remains the Same”

Album / *Album*: *Houses of the Holy* (1973)

Wykonawca / *Artist*: Led Zeppelin

Solo / *Solo*: Robert Plant – voc.

Sample / *Samples*: Led Zeppelin – „Stairway

to Heaven” (1971); Marek Grechuta i Anawa – „Kantata” (1970)]

w porannym słońcu Kalifornii
w deszczach nad Kalkutą
w zmierzchu wal
halli

pieśń
prawie ta sama

w łańcach zwiędłej trawy
w odmętach spleśniałego żyta

pieśń
jak ptaki
bez nieba

konie
bez ziemi

liście
bez drzew

strawa
bez trawy

kwiaty
bez barw

pieśń
jak pleśń

wy
ślizgane schody
do nie

wy
brzmiewająca

od bo
nie
do a
tak

nie
do końca

prze
brzmiała

oczy
bez głowy
(pleśń)

brahma
bez bramy
(pieśń)
tat
bez tvam
(pleśń)

zmierzch
bez bogów

wall
bez ściany

świat od
czarowany

pieśń
ściany

pleśń
świata

drzewa
maków

trat
wa
ży
ta

far
out

od
ściany
do

Kos czyli pas?

[Piosenka / *Song*: „Blackbird”
Album / *Album*: *The Beatles (White Album)*; 1968)
Wykonawca / *Artist*: The Beatles
Solo / *Solo*: Paul McCartney – voc.
Sample / *Samples*: The Beatles – „Why Don’t We Do
It in the Road”
(1968); „Let It Be” (1970);
„The Long and Winding Road” (1970);
Marek Grechuta & Wiem – „Ptak śpiewa o poranku” (1974)]

kos
śpiewa o po
ranku
do pół
nocy

od pół
nocy
do świtu

droga długa
kręta
głucha

kos
śpiewa
niech tak będzie

nie dba
co robimy
czego nie robimy
po
drodze

długiej
krętej
głuchej

ślepej

nie wie
w lewo
czy w prawo

w przód
czy wspak

czy na skos

nie wie
że mrok

że brzask

że los

że las

że czas

nie dba
że my

że z nami
o nas
bez nas

w nas

że oko
ucho

ślepo
głucho

boso

koso

że chyba już
pas

śpiewa

Andrzej Dorobek

Joanna Sendłak

OSTINATO

wojenne dni Grażyny Bacewicz



Seria: Kolekcja Literacka – Tom XI**Joanna Sendłak – Ostinato****Wojenne dni Grażyny Bacewicz**

Autor: Joanna Sendłak

Tytuł: Ostinato. Wojenne dni Grażyny Bacewicz

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa
i Instytut Literatury

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: grudzień 2020

nr wydania: I

liczba stron: 352

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-938439-7-8 oraz 978-83-66359-96-3

copyright: Joanna Sendłak

cena: 40,00 zł

Ilustracje: Joanna Sendłak

Redakcja tomu: Zbigniew Zbikowski

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce

Wokół ponura noc okupacji, a wolna dusza artysty czuje się przymuszona tylko do jednego – by tworzyć. Grażyna Bacewicz, skrzypaczka i kompozytorka, spędza wojenne lata w Warszawie, dzieląc wraz z rodziną tragiczne losy miasta. W tym okresie przychodzi na świat jej córka i powstają niektóre kompozycje. Artystka uczestniczy też w życiu artystycznym okupowanej stolicy, rozpiętym między niemiecką licencją a polską konspiracją. Kto ciekaw, jak wyglądało to życie, w którym było miejsce i na

heroizm, i na podłą zdradę, i jak się w nim odnajdywała przyszła ikona polskiej muzyki poważnej, powinien koniecznie sięgnąć po tę książkę.

Zbigniew Zbikowski

Jest to powieść dokumentalna, wykorzystująca źródła historyczne, odwołująca się do opracowań, a także sięgająca do archiwów rodzinnych, w tym do listów Grażyny Bacewicz do męża. Autorka ukazuje w niej trudne wybory, przed jakimi stawiała jej bohaterka: jak w wojennej rzeczywistości ocalić niezależność, pogodzić rolę matki z twórczością artystyczną i wreszcie – jak zaakceptować rozbitcie rodziny, gdy ojciec za ojczyznę wybrał Litwę, a matka Polskę. W reminiscencjach widzimy międzywojenny pobyt kompozytorki w Paryżu, jej studia u Nadii Boulanger i początki kariery, przerwanej przez wojnę. Piękne jest i to, że postać znakomitej artystki przypomina jej wnuczka.

Anna Nasiłowska

O autorce

Joanna Sendlak urodziła się i studiowała w Warszawie, najpierw malarstwo na Akademii Sztuk Pięknych, potem filozofię na Uniwersytecie. Wystawiała obrazy w galeriach warszawskich, publikowała opowiadania w pismach literackich, m.in.: „Sycynie”, „Frazie”, „Pracowni”, „Wyspie”, „Migotaniach”, „Twórczości”.

W wydawnictwie Nowy Świat ukazały się trzy powieści:

Szklanka ambrozji, 2014

Fano i filozofowie, 2015

Marzyciel z 76th Street, 2016.

W Wydawnictwie Skarpa Warszawska – dwie:

Z ogniem, 2018

Symfonia gwiazd, 2019.

W Wydawnictwie Literatura.net.pl opublikowano:

Atotsi, Gdańsk 2019,

Labirynt, Gdańsk 2019.

Fragmenty

Koncert w Domu Sztuki u profesora Woytowicza na Nowym Świecie 27 udał się znakomicie. Grażyna długo rozglądała się, zanim znalazła wolne miejsce. W sali siedziało ponad sto osób. W półmroku dostrzegła obrazy w rzeźbionych ramach, pod ścianami ustawiono zabytkowe meble. Na środku estrady królowały dwa koncertowe fortepiany, a na podwyższenie prowadziły schodki. Grażyna siadła przy stoliku i otworzyła zeszyt z wydrukowanym repertuarem Woytowicza. Ilość możliwych do wysłuchania utworów w jego wykonaniu była ogromna, blisko dwieście pozycji. Profesor Woytowicz przechadzał się między stolikami. Z każdym z gości zamieniał kilka słów. Na widok Grażyny rozpromienił się.

– Jeżeli utwór jest obwiedziony czerwonym kółkiem, znaczy, że mogę go wykonać natychmiast, kółko niebieskie oznacza, że wykonam go podczas następnego koncertu – wskazał trzymany przez Grażynę program.

– Świetny pomysł.

– Dobrze, że przyszłaś, Grażynko. Kilka razy grał u mnie Kiejstut, prosiłem go, by cię pozdrowił. Czy to uczynił?

– Oczywiście, mówił o koncertach w SiM w samych superlatywach.

– Staramy się dać ludziom sztukę przez duże es. Występują u nas najwybitniejsi artyści. Mam nadzieję, że napiszesz dla mnie nowy utwór. Chętnie zrobię prawykonanie.

– Właśnie piszę *II Kwartet smyczkowy*. Chciałabym go dać Geni Umińskiej. Byłoby świetnie, gdyby zrobili u ciebie prawykonanie.

Woytowicz wyjął z kieszeni notes i przewrócił kilka stron.

– Kalendarz mam napięty. Co powiesz na maj? Może dwudziestego drugiego? Nie, przepraszam, dwie dwójki to dla mnie pechowa data, raczej dwudziestego pierwszego?

– Maj jest w sam raz, nareszcie będzie wiosna!

– No, to jesteśmy umówieni.

Podkreślił datę w kalendarzu i zatrzaskał notes. Zerknął niechętnie na niemieckiego oficera, który właśnie wszedł do sali.

– Wiesz, Grażynko, dawniej Niemcy nie mieli wstępu do kawiarni, ale pewnego dnia wtargnął kilkuosobowy patrol z podoficerem i przybił do ramy lustra karton z pieczęcią, że lokal jest dozwolony dla Niemców. Nie

ma rady, wszyscy potrzebujemy kawiarni do ważnych celów¹. – Mrugnął porozumiewawczo i wstał, bo na estradzie pojawili się muzycy: Roman Padlewski, Henryk Trzonek, Kazimierz Wiłkomirski i, w olśniewającej sukni, Eugenia Umińska. Popłynęła muzyka. Na kilka chwil Grażyna zapomniała o kłopotach, o tym, że ceny mleka dla dziecka skoczyły w górę, że jej mąż zachorował na gruźlicę i zostanie sama nie wiadomo na jak długo. Że na każdym rogu groziły łapanki, a na dom mogła spaść bomba... Myśli przystały, roztopiły się w dźwiękach, w świetle matematycznie doskonałym, w harmoniach odbijających kosmiczny ład.

Rozległy się oklaski. Przyłączyła się do nich z zapalem. Po koncercie pogratulowała kolegom, a przed wyjściem obiecała Eugenii, że wręczy jej nuty nowej kompozycji – *II Kwartetu smyczkowego*.

– Dam ci też *Suitę na 2 skrzypiec*, którą właśnie kończę, może zagrasz w duecie z Ireną Dubiską?

– Znakomicie, Grażynko. Słyszałaś, że dwunastego lutego Stefanowi urodził się syn?

– Jak ma na imię?

– Wacek. Jest podobny do ojca, są jak dwie krople wody.

– Uściskaj ich ode mnie.

– Do widzenia, Grażynko.

Eugenia odwróciła się i znikła w tłumie zgromadzonych w kawiarni gości.

*

W pierwszym tygodniu marca się ociepliło. Grażyna kupiła przydział kartkowej mąki i stanęła przed sklepem. Czula w powietrzu zapach wiosny. Jak by było cudownie pospacerować teraz ulicami Paryża, pomyślała, wracając do domu.

Pan Walenty uchylił kapelusza i zawołał:

– Czy doktorowa pamięta o kontrybucji?

– Jakiej kontrybucji? – zdziwiła się.

– Już dawno mówiłem doktorowi, ale nie wpłacił. Dwudziestego pierwszego lutego powiesili na mieście obwieszczenie o nałożonej na ludność kontrybucji. Ponoć dziesięć milionów. A wie pani doktorowa, jak ma być ściągnięta? W postaci opłat od właścicieli domów.

– Jak to, więc mamy spłacać Niemcom dług?

¹ Zob. E. Markowska, K. Naliwajek-Mazurek, dz. cyt., s. 98–99.

- A tak, po pięć złotych od dorosłych posiadaczy kartek żywnościowych. Grażyna otworzyła torebkę i wygrzebała z portfela dwa złote.
- Więcej nie mam. Mąż pojechał do rodziny.
- Nie ma sprawy, odda pani w ratach.
- Wieczorem siostra przyniesie panu trzy złote.

Głos Grażyny lekko drżał. Kiedy biegła po schodach na górę, przypomniała sobie smutną twarz Andrzeja. Nawet nie mogła pocałować go na do widzenia, nie mogła się przytulić! Trzymał ją na odległość wysuniętych ramion i cały drżał. Na pewno miał gorączkę...

- Co się stało, córeczko? – spytała mamusia, widząc jej zmieszanie.
- Nic, mamo. Na dworze wiosna. Wszędzie porządkują trawniki, na straganach są nowalijki, widziałam młodą sałatę, szczypiorek, nawet botwinę.
- Oczywiście z inspektów. A to by było przyjemnie zjeść talerz młodej botwinki – rozmarzyła się mamusia. Wzięła na ręce dziecko i wyszła do drugiego pokoju.

Grażyna usiadła przed fortepianem i zaczęła komponować. Na przekór wszystkiemu, wbrew niepewnej rzeczywistości, zagrała kilka żartobliwych akordów, a potem dała się porwać muzyce, która przeniosła ją w inny świat. Za każdym razem, gdy udało jej się wygospodarować kilka chwil, komponowała część *Suity na 2 skrzypiec*. Planowała napisanie cyklu siedmiu krótkich utworów. Całość zamknie w formie ABA. W jej wyobraźni utwór brzmiał bezpretensjonalnie, niefrasobliwie. Podkreślał jej paryski nastrój, przypominał pyłek strząśnięty z pięciolinii na klawiaturę fortepianu. Pierwszy utwór, *allegro*, rozpoczęła marszem, który przechodził w wesołą polkę. *Andante* napisała zaraz po całonocnym usypianiu dziecka, przyjęło formę kołysanki, III część, *vivo*, lśniło wirtuozerią, a IV część, *tempo di menuetto*, miała coś z menueta.

Grażyna przewracała kartki rękopisu. Piątą część napisała w tempie *allegro*, po nim dla kontrastu następowało *andante z fughettą*, a teraz pisała siódmą część, etiudę błyszczącą ruchliwością. Spojrzała w okno. Zamiast paryskiego nieba, zobaczyła stare poszewki spięte agrafrkami, które udrapowane na szybie w połączeniu z tekturami chroniącymi szkło, stanowiły wątpliwą ozdobę zaciemniającą mieszkanie przed sowieckimi nalotami.

Kiedy zamknęła klawiaturę fortepianu i schowała nuty do walizki stojącej w przedpokoju, obie panie już dawno usnęły. Na dworze zaczynał się świt.

*

Nocami, między ósmym a piętnastym marca, ogłaszano alarmy lotnicze. Grażyna zamierała w oczekiwaniu. Gdyby nie dziecko, zostałyaby w mieszkaniu, teraz jednak chwytiała małą i z Wandzią biegły do piwnicy. Po drodze zabierały torbę z kocami i butelkę wody. Za nimi dreptała mamusia, a potem wszystkie cztery nasłuchiwały w ciemnościach warkotu sunących nad miastem sowieckich bombowców przetaczających się z łośkotem i znikających w ciemnościach. Wsparty na miotle pan Walenty zło-rzeczył:

– Niech ich wszystkich piekło pochłonie! Ale i tak, choć grozi nam komunizm, nie znajdzie się w Polsce żaden polityk, który by się odważył pójść na współpracę z Niemcami przeciwko Sowietom. Nawet jeśli co noc będziemy musieli latać do schronów...

– Nikt się nie nabierze na propagandę, ani niemiecką, ani sowiecką – vzdychała mamusia, wracając na górę do mieszkania córki. Wanda czuła ulgę dopiero wtedy, gdy wszystkie razem siadały w kuchni.

– To się skończy, szybciej niż myślicie – zapewniała mamusia uspokajającym tonem.

*

W ciągu ostatnich miesięcy Wanda wiele razy była w trudnych sytuacjach. Na wszelki wypadek nie wspominała o tym w domu. Pewnego dnia tramwaj, którym jechała, wpadł w niemiecką łapankę. Uratowała się dzięki temu, że tramwajarz nie stanął na paru kolejnych przystankach, tylko dzwoniąc przeraźliwie głośno, pędem przejechał przez zamknięty rewir, a Niemcy nie zareagowali, pochłonięci polowaniem na uciekających chodnikami ludzi.

Pasażerowie uspokoiли się. A kiedy na skrzyżowaniu minęły się dwa tramwaje oznaczone numerem „zero” (tylko dla Niemców), ktoś krzyknął:

– Te, Felek, co tak śmierdzi?

– Nie widzisz, dwa zera się mijają!

Ludzie chichotali, a jakaś starsza pani spytała motorniczego:

– Jak daleko do Niepodległości?

– Jeszcze niecały roczek, droga pani!

Teraz cały tramwaj głośno się śmiał. Wandzia wyskoczyła na najbliższym przystanku i pobiegła do autobusu numer dwa. Do biura zdążyła na czas.

Zwykle kiedy szła do gabinetu pryncypała, zaglądała do pokoju obok, by ukradkiem zerknąć na Stanisława pochylonego nad papierami. Jednak ostatnio pokój, w którym pracował przystojny kolega, był stale zamknięty.

Przystanęła pod drzwiami, a po chwili zajrzała do wnętrza. Na miejscu Stanisława siedziała obca kobieta.

- Słucham, o co chodzi?
- Szukam pana Stanisława – zaczęła Wanda obojętnym tonem.
- Już u nas nie pracuje.
- Jak to, od kiedy?
- W zeszłym miesiącu zajęłam jego miejsce.
- Został zwolniony? Dlaczego?

Kobieta oderwała się od pracy i popatrzyła na nią uważnie.

- Nie zauważyła pani jakie miał rysy twarzy?
- Nie rozumiem, o czym pani mówi – parsknęła Wanda.
- Niech pani nie będzie dzieckiem, musiał się ukryć, dłużej nie mógł tutaj pracować, do szefa przyszedł ktoś i zażądał sporej sumy za milczenie. Co więc mógł zrobić? I tak długo u nas pracował, inni trafili za mury.
- Ktoś chciał od szefa pieniędzy za milczenie?
- Proszę, niech pani poczyta. Ale ja niczego nie wiem, nie moja sprawa. Mam do wykarmienia rodzinę – rzuciła niecierpliwie i ukradkiem sięgnęła do szuflady. Wyjęła z niej „gazetkę” i podała Wandzi.

*

Dopiero w domu Wanda przeczytała artykuł. Najpierw cicho, potem na głos, dla mamy, Kiejstuta i Grażyny, którzy domagali się nowych wiadomości:

Spółczesność polskie, mimo że samo jest ofiarą okropnego terroru, ze zgrozą i głębokim współczuciem patrzy na mordowanie przez Niemców resztek ludności żydowskiej w Polsce. Złożyło ono przeciwko tej zbrodni protest, który doszedł do wiadomości całego wolnego świata, zaś Żydom, którzy zbiegli z getta lub z obozów kaźni, udzieliło tak wydajnej pomocy, że okupant opublikował zarządzenie, grożące śmiercią tym Polakom, którzy pomagają ukrywającym się Żydom. Niemniej znalazły się jednostki, wyrzute ze czci i sumienia, rekrutujące się ze świata przestępczego, które stworzyły sobie nowe źródło występnego dochodu przez szantażowanie Polaków ukrywających Żydów i Żydów samych. K.W.C. ostrzega, że tego rodzaju wypadki szantażu są rejestrowane i będą karane z całą surowością prawa, w miarę możliwości już obecnie, a w każdym razie w przyszłości².

2 „Biuletyn Informacyjny” 18 III 1943, nr 11, [w:] W. Bartoszewski, *1859 dni Warszawy*, wyd. Znak, Kraków 2008, s. 448.

Wanda zwinęła gazetkę i wsunęła do torebki.

– Ludzie stracili moralne hamulce – westchnęła mamusia.

– Podczas pokoju mogli nie zdawać sobie z tego sprawy, ale w niepewnych czasach złe cechy wzięły w nich górę – zauważyła Grażyna.

Kiejstut w zamyśleniu pokijał głową.

– To nie tylko kwestia uśpionych skłonności. Owszem, esesmani kierują się bezinteresownym sadyzmem, ale też zakładają, że system, któremu się uda zniszczyć ofiarę, pozbawiając ją całkowicie tożsamości, jest najlepszy dla utrzymania całego narodu w stanie niewolnictwa. Warunkiem zwycięstwa esesmanów jest to, żeby torturowana ofiara pozwoliła się mordować bez protestów.

– Normalny człowiek czuje wyrzuty sumienia, mordując niewinnych ludzi. O mały włos zabiłby ciebie! – zawołała oburzona mamusia.

– Esesmani mieliby wyrzuty sumienia tylko wtedy, gdyby nie wykonali otrzymanego rozkazu – kontynuował Kiejstut. – Zakładam, że mordując Żydów, skupiają się na wcielaniu w życie rozkazów Hitlera.

– Co za różnica, z jakiego powodu coś robią, skoro są potworami! – zawołała oburzona mamusia.

– Faszyści są niezdolni do odróżnienia dobra od zła! – dodała Wanda.

Kiejstut potarł w zamyśleniu brodę, zastanawiając się, jak najlepiej wyjaśnić im problem.

– Bo uważają się za „nosicieli rozkazu”. Tym tłumaczą brzemień dziejowej odpowiedzialności, jakie rzekomo na nich spoczywa. Uważają się za wykonawców rozkazów Najwyższego Wodza Narodu. Zakładam, że program eksterminacji w komorach gazowych zrodził się z nazistowskiego planu stworzenia wyższej rasy.

– Jak można bezkarnie mordować ludzi, przecież każdy jest wyjątkowy! – W oczach Wandy zaświeciły łzy.

– Gestapowiec nie przyznaje się do nieludzkich czynów, tylko skarży się, że podczas wykonywania obowiązków musi patrzeć na straszne rzeczy, że na jego barkach spoczywa ciężkie brzemień! Oni ukrywają sumienie za sloganami, a Hitler oczekuje od żołnierzy rzeczy „nadludzko-nieludzkich”.

– Jak możesz mówić o tym tak spokojnie, synu?

– Jako filozof staram się wniknąć w przyczyny pewnych zjawisk. Nasze słowa więcej znaczą niż można przypuszczać. U podłoża ich działań kryją się określone założenia ontologiczne...

Kiejstut zamilkł. Wanda patrzyła na brata. Na jego twarzy nadal było widać blizny. Rana na łuku brwiowym trudno się goiła, a sińce na policzkach i nosie przybrały odcień szarożółty. Może taki sam los spotkał Stanisława? Czy jeszcze go spotkam? – myślała gorączkowo.

Mamusia wstała, zapaliła karbidówkę, a pokój wypełnił chłodny blask.

– A wiesz, Kiejstucie – odezwała się Grażyna, żeby zmienić temat i odebrać myśli od rzeczy wymykających się rozumowi – siedemnastego marca na cmentarzu powązkowskim odbył się pogrzeb matki Karola Szymanowskiego.

– Miała swoje lata.

– Zmarła w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat. Świętej pamięci Anna z baronów Taubów Szymanowska.

Kiejstut pokiwał smutno głową i wstał.

– Dobranoc, moje drogie. Nie rozmyślajcie o rzeczach, na które nie macie wpływu, bo to niczego nie zmienia, tak radzą stoicy.

– Dobranoc, synku – powiedziała mama.

Joanna Sendłak

Krzysztof Lipowski

MYSTERIA

48 miniatur prozą



Seria: Kolekcja Literacka – Tom XII**Krzysztof Lipowski – Mysteria. 48 miniatur prozą**

Autor: Krzysztof Lipowski

Tytuł: Mysteria. 48 miniatur prozą

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa
i Instytut Literatury

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: grudzień 2020

nr wydania: I

liczba stron: 104

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-938439-9-2 oraz 978-83-66359-93-2

do poematu *Kruk* Edgara Allana Poeo

copyright by Maciej Wit Lipowski

cena: 20,00 zł

Ilustracje: Piotr Wojciechowski

Ilustracja na okładce: Gustave Doré – fragment obrazu

Redakcja tomu: Zbigniew Zbikowski

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce

Krzysztof Lipowski nie nadaje swoim bohaterom nazwisk ani imion. W cechy indywidualne też wyposaża ich bardzo oszczędnie. Tym, na czym przede wszystkim się skupia, są wzajemne relacje bliskich sobie, choć rozdzielonych przez los osób. Ma się wrażenie, że miniatury zapełniają ludzie przegrani, którzy zgubili w życiu coś istotnego, a mimo to zwycięzcy, bo w obliczu spraw ostatecznych odnajdują na nowo swe człowieczeństwo.

W tej interesującej prozie słowa, rzeczy i zdarzenia pojawiają się na jednej płaszczyźnie, bez szczególnych wyróżnień, a oszczędny język autora sprawia, że to, co ważne, dzieje się głównie poza słowami. Wszystko razem zaś buduje niezwykle klimat, wciągający czytelnika w wir spraw, między którymi zdaje się istnieć sieć połączeń, choć do końca nie ma się co do tego pewności.

Zbigniew Zbikowski

Czytelnicy lubią długie powieści... A jednak są powody, by pewne rzeczy zapisywać w formie miniatur. Czasami miniatura prozatorska jest po prostu ekwiwalentem wiersza. Miniatury Krzysztofa Lipowskiego należą do innego typu. Mówią o spięciach, dramatach rodzinnych, niedopowiedzeniach. To takie opowiadanie, po którym powinna zapaść cisza, w której jest miejsce na krzyżujące się emocje i na pytania, na które nie ma odpowiedzi.

Anna Nasiłowska

O autorze

Krzysztof Lipowski (1961) jest doktorem nauk humanistycznych i pracuje jako nauczyciel w Krokowej. W latach 1988-1990 przebywał na stypendium Fundacji Otto Beneckiego w Berlinie Zachodnim. Po powrocie do Polski współredagował gdańskie pismo literacko-artystyczne „Przedproża”. W roku 1993 studiował literaturę na uniwersytecie w Tybindzie w Niemczech (stypendium prywatne „In Memoriam Willy Drost”). Prowadził również cykl wykładów „Elementy kultury niemieckiej” na Uniwersytecie Gdańskim w roku akademickim 2019/2020. Opublikował książki: *Miód i воск* (2008), *Skorpion na policzku*, *Słowo i obraz w twórczości Bronisława Linkego* (2014), *Last train. Opowiadania i eseje* (2019).

Fragment

Wierność

Ulica była zalana porannym słońcem. Był wczesny ranek i odgłos toczącego się bagażu po chodniku odbijał się echem od stojących domów. Starszy mężczyzna wolno podążał w stronę nadmorskiego hotelu. Cieszył się na myśl, że powraca do tego miejsca. Szedł wolno, tak jak zalecił mu lekarz. Toczenie bagażu po chodniku sprawiało mu wyraźną trudność.

Wynajął pokój na pierwszym piętrze. Gdy wszedł do pokoju, przywitał go znajomy widok z okna na niewielką rybacką przystań. Stał dłuższą chwilę przy oknie. Potem rozpakował swoje rzeczy i rozejrzał się uważnie jakby szukał śladów z przeszłości.

Każdego ranka schodził na śniadanie i zajmował miejsce przy tym samym stoliku. Jadł wolno, przyglądając się hotelowym gościom. Przez cały dzień nie wychodził z hotelu i sprawiał wrażenie człowieka, który cierpliwie czeka.

Ten pan dobrze się u nas czuje, mówiły recepcjonistki. Gdy tylko kończy mu się pobyt, płaci z góry za kolejne trzy dni.

Któregoś dnia pod hotelowe drzwi podjechała karetka pogotowia. Na noszach szybko zniesiono ciało i recepcjonistka zdążyła jedynie dostrzec skrawek siwych włosów. Po chwili udała się z pokojówką na górę, by spakować do podróźnej torby wszystkie rzeczy zmarłego.

Krzysztof Lipowski

do fajerów

Agnieszka Osiecka

Piosenka na jubileusz "Iskier"

Na klienta z półpięterka

"iskiereczka" mruga:

- Chodź opowiem ci książeczkę,
książka będzie długa:

Refren: Dla nerwowego jubilera -
portrecik gangstera,
dla młodego jeszcze zrzędy -
"Tędy i owędy",
dla panienki na ładnych nogach -
japońskie opowieści o bogach,
dla panny porycz-gorycz,
dla Pana Frania -
pułapki zarządzania,
a dla tych, co na taczkach - "Siłaczka".
... Na początku był ocean
pełen zielonych wstążek
a na końcu, a na końcu, a na końcu -
trochę książek.

Ale co to, na półeczkach,
jakoś bardzo nudno,
szepce blada "Iskiereczka":
Nasze książki chudną:

Refren: Dla nerwowego
" " "
... Na początku był ocean
pełen zielonych wstążek,
a na końcu, a na końcu -
- bardzo mało książek.

Czego życzyć ci "Iskierko"
zamiast meczu z Peru?
Może przychylnego wiatru,
szczęścia i papieru!

Refren: Dla nerwowego
Na początku był ocean
pełen zielonych wstążek
a na końcu niechaj będzie -
bardzo dużo książek.

Agnieszka Osiecka

Maszynopis „Piosenki na jubileusz Wydawnictwa ISKRY”, 1982
Z Archiwum Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Oddział Warszawski